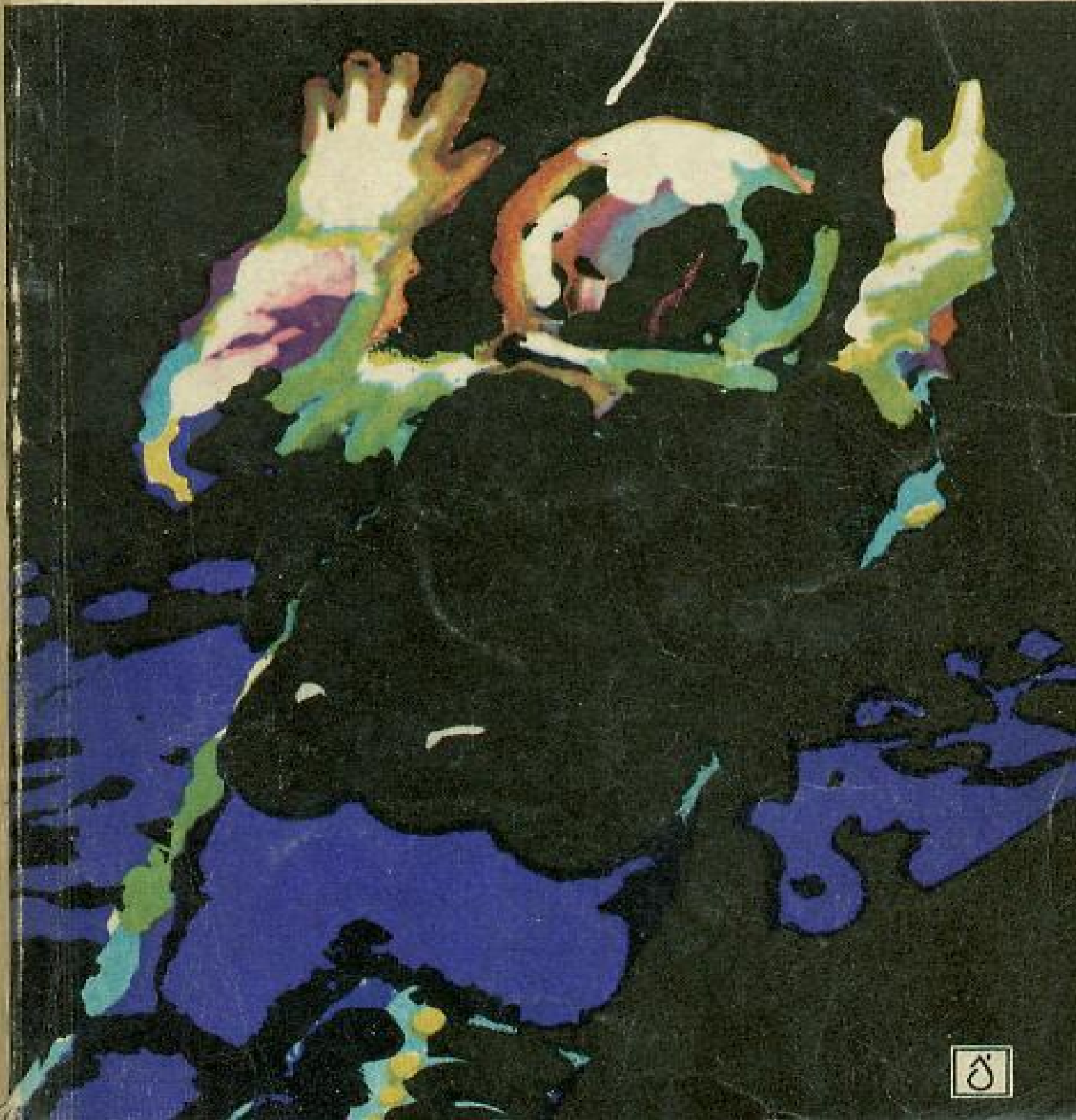


BOHDAN PETECKI

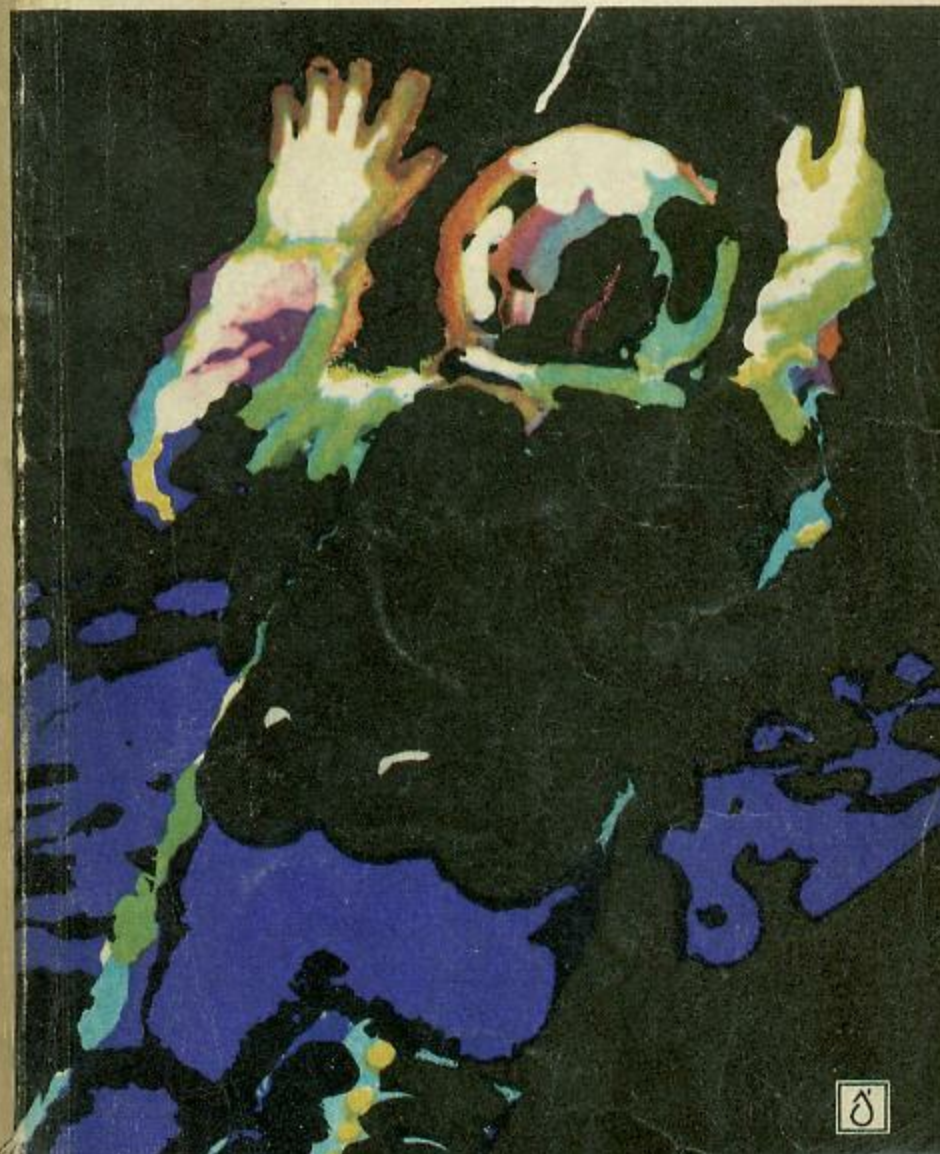
„RUBIN“ PRZERYWA MILCZENIE



**Dane książki,
informacje**

BOHDAN PETECKI

„RUBIN“ PRZERYWA MILCZENIE



Wydawnictwo: „Śląsk”

Rok wydania: 1976

Wydanie: 1

Druk: Bielskie Zakłady Graficzne

Redaktor: Wanda Wieczorek

Redaktor techniczny: Jan Frąckowiak

Korektor: Krystyna Pustówka

Okładka i ilustracje: Jan Dubiel

Format: 13x20 cm

Stron: 172

Bohdan Petecki, ur. w 1931 r. w Krakowie. Z wykształcenia orientalista, z zawodu dziennikarz. Debiutował w 1971 r. powieścią fantastyczno naukową pt. „*W połowie drogi*”. W latach następnych wydał powieści wszystkie związane z tematyką SF:

1. Bal na Pięciu Księżycach
2. Kogga z Czarnego Słońca
3. Królowa Kosmosu
4. Ludzie z gwiazdy Feriego
5. Messier 13
6. Operacja Wieczność
7. Pierwszy Ziemianin
8. Prosto w gwiazdy
9. Rubin przerywa milczenie
10. Sola z nieba północnego
11. Strefy zerowe
12. Tylko cisza
13. Tu Aluda z Planety Trzeciej...
14. Tysiąc i jeden światów
15. Wiatr od Słońca
16. W połowie drogi
17. X-1, uwolnij gwiazdy



Treść książki

– Namiar! – Fros targnął się w fotelu, jakby chciał zerwać pasy. Palce jego dłoni zawisły nad pulpitem łączności. W kabinie pociemniało. Pochwyciłem kątem oka ruch Luty w stronę ekranu i w tym samym ułamku sekundy przykuło mój wzrok pulsujące zielone światło.

Namiar. Ślad własnego świata w labiryncie galaktycznych korytarzy. Obecność ludzi, którzy na ciebie czekają, którzy przejęli statek i poprowadzą go tam, gdzie będą wiatr, chmury i słońce, horyzont i ląd pod stopami.

Tylko że ten ląd w dole dawno już przestał być naszym światem. Jego mieszkańcy przecięli nic łączącą ich z Ziemią, jedną z tysięcy planet uczeplonych najbliższych gwiazd. Stacja na martwym satelicie, ostatni posterunek macierzystej cywilizacji gospodarzy układu, zamilkła cztery lata temu. Baterie jej lidarów, kierunkowych nadajników i tachjonowych anten czekały ślepe i głuche aż do chwili, kiedy w zenicie, nie wyżej niż cztery tysiące metrów błysnie nad nimi ogień rufowych dyszy „Rubina”.

Nonsens. Nedorzeczność równie oczywista jak fakt, że nadajnik namiarowy stacji jednak podjął emisję.

Utkwiłem wzrok w niewielkim, prostokątnym ekranie, którego dolną część zasłaniał szeroki kask Luty. Nie mogło być wątpliwości.

– Nonsens – powtórzyłem na głos. – Powinni wymyśleć coś lepszego.

– Kto? – mruknął półgłosem Luta.

– Właśnie, kto?

– Kurs? – dobiegł mnie podniesiony głos Frosa. – Idziemy tak dalej?

Nikt nie odpowiedział. Głowa Luty przesłoniła cały niemal ekran kalkulatora. Światła czujników zamigotały niespokojnie. Z głębi statku, spoza grodzi ładunkowych i energetycznych dobiegło narastające, głuche dudnienie.

Powoli, jakby niechętnie, symbol rakiety schodził z linii biegnącej środkiem głównego ekranu. To była odpowiedź. Nie skorzystamy z zaproszenia, od kogo by nie pochodziło.

– Chmury – zabrzmiał w słuchawkach spokojny głos Luty. Uniosłem głowę. Obiektywy samoczynnie przeszły na podczerwień. Kontury kraterów i pasm górskich wyostrzyły się. Czerń próżni pozostała nad nami. Jeszcze dwadzieścia, trzydzieści sekund i automaty skorygowały tor lotu. Poczułem, że mięśnie mi się rozluźniają. Zmiana korytarza, kiedy statek stoi już na ogniu, nie należy do manewrów przyjemnych. Ani bezpiecznych. Nawet w znacznie większej odległości od lądu. Tymczasem pod nami widniało już jak na dłoni płytkie, rozległe zagłębienie o wygładzonych krawędziach, w które celowały płomieniste palce odrzutu.

– Chmury – powtórzył Luta.

Ponownie zlustrowałem ekrany. Tak, chmury. Zbita, białozłota masa, przypominająca nieskończonej wielkości bryłę tłuszczu. Byliśmy już pod nimi. W zenicie czerniał jakby pomniejszający się w oczach wylot pionowej studni. Droga „Rubina”. Poza tym śladu jakiegoś pojedynczego obłoku, choćby jednego, pędzonego wiatrem strzępka pary. Mogło się zdawać, że ugrzęźliśmy między dwoma dotykającymi się niemal globami, jednym przypominającym martwe satelity wielkich planet naszego układu i drugim niepodobnym do niczego, nedorzecznie płaskim, jakby sprasowanym przez niewyobrażalną siłę.

Zmieniłem położenie ekranu, szukając wzrokiem kresu tej nieco przygasłej już teraz płaszczyzny i nagle ogarnęło mnie najczystsze osłupienie. Kilka sekund trwałem bez ruchu, po czym bezwiednie sięgnąłem do pulpitu i oddaliłem obraz.

Tarcza chmur nad nami utworzyła regularne, zmniejszające się w oczach koło. Jego krawędzie

najpierw powoli, potem coraz szybciej odbiegały ku górze, okrąślały. Równocześnie środek wypuczał się w gigantycznych rozmiarów balon. Jego barwy przygasły, zmatowiały, jasne złoto przeszło w czerwień zmieszaną z fioletem. Ale i to było złudzeniem. Na powierzchni kuli, jaką tworzyły już w tej chwili chmury, kładł się tylko refleks czystego nieba, dziwnie pociemniałego, pozbawionego naturalnej perspektywy, jakby zamkniętego w przestrzeni ścianą czarnego szkła. Wpatrzyłem się w ten poszerzony absurdalnie horyzont i osłupiałem ponownie. Wokół chmur, nad naszymi głowami, rysowały się ostre i czyste kontury lądów, gór i wielkich kraterów. Planeta, ku której zmierzaliśmy, otaczała nas swoją skorupą, zamykała wewnątrz przestrzeni sferycznej zbudowanej z własnych kontynentów i oceanów. Przeniosłem wzrok wyżej. Balon chmur oddalił się, przybierając barwę rzekomego firmamentu. Przez moment jeszcze potrafiłem odgadnąć jego kształt, po czym kopuła widnokregu zamknęła się nad nami, ukazując zawieszzone prostopadle odbicie powierzchni globu.

Ale to nie było żadne odbicie. Zналиśmy atmosferę satelity, na którym osadzono stację. I nie tylko atmosferę. Zналиśmy na pamięć dane dotyczące temperatury, składu chemicznego skał, promieniowania, czego tam jeszcze. Nie wiedzieliśmy, co nas czeka na tym globie, ale potrafilibyśmy z drobiazgową dokładnością powiedzieć, w jakim to coś wystąpi otoczeniu. To tylko mój wzrok pozwolił się zaskoczyć. Co innego wiedzieć, a co innego zobaczyć. Świat, który nas wchłonał, wyglądał jak przeniesiony z gorączkowego snu.

Światelka czujników przygasły raz i drugi. Zawibrowały sprężarki tłoczące tlen w przewody skafandrów. Dobiegające z dala, jakby z wnętrza góry dudnienie przeszło w ciągły, zjadliwy grzmot. Zbyt długo patrzyłem w górny ekran. Uciekł mi moment, w którym nieznany grunt staje się lądowiskiem.

Jedno uderzenie, od którego zamrowiło mi w karku, i nagła cisza. Zamierający, ledwie słyszalny syk dyszy. Przekazywany przez obiektywy obraz lądu rozmazał się na moment, po czym wyostrzył ponownie. Staliśmy.

– Tak – powiedział Luta. – Tak to wygląda...

Żaden z nas nie odpowiedział. Siedzieliśmy bez ruchu, nie spuszczać wzroku z okienek czujników. Mijały sekundy. Podłoże trwało mocno, pewnie. Temperatura pancerza opadała. Dym i kurzawa wzbита odrzutem ustępowały, ukazując otaczający lądowisko krajobraz. Cisza.

Palce Luty ześliznęły się z pulpitu. Zabrzmiał charakterystyczny pisk amortyzatorów fotela i ciało pilota przybrało postawę siedzącą.

– Tak... – powtórzył. Odrzucił głowę do tyłu, odpiął pasy i unosząc wysoko ramiona przeciągnął się, aż mu w piersiach zatrzeszczało. Następnie wstał i nisko pochylony, chroniąc kask przed uderzeniem o zawieszane nad ekranami węzły przewodów, przeszedł w stronę sumatora, który teraz, na lądzie, stał się znowu głównym ośrodkiem koordynacyjnym aparatury pokładowej. Po chwili dobiegło stamtąd nerwowe stukanie przekaźników.

– Nie przypuszczałem... – Fros zająknął się i urwał.

Odwróciłem głowę. Nie spodziewałem się, proszę.

Słuchawki w moim kasku ożyły nagle. Buchnął, chrapliwy jazgot sygnałów, niezrozumiałe, zatarte słowa, miaukliwe nawoływanie automatycznych kodów, charakterystyczne trzaski świadczące o bliskości słońca. Skrzywiłem się odruchowo, zrzuciłem pasy, może odrobinę gwałtowniej niż było trzeba, i wstałem. Głosy ucichły jak nożem uciął. Na dobrą sprawę nie powinniśmy przerywać nasłuchu. Mogło się zdarzyć, że z urywków rozmów, jakie prowadzili ze sobą mieszkańcy układu, wywnioskujemy coś, o czym powinniśmy wiedzieć, zanim w spokojniejszej chwili sięgniemy do przystawki zapisującej. Ale ten nasłuch Ziemia prowadziła

nieustannie od siedemdziesięciu z górą lat. Fakt, że my trzej przenieśliśmy się teraz w bezpośrednie sąsiedztwo nadajników, na satelitę jedynej zamieszkałej planety tutejszego słońca, nie zmieniał w gruncie rzeczy niczego. Naiwnością byłoby sądzić, że usłyszymy coś, co uchodziło dotąd uwagi potężnych radiolatarni zainstalowanych za orbitą Transplutona.

Tak czy owak przez całą niemal drogę wszystkie czujniki w pulpicie łączności pozostawały wygaszone i ciche. Oczywiście, jeśli nie liczyć zamiaru, który po czterech latach milczenia ocknął się nagle, jakby ludzie odlecieli stąd na przydługi spacer, a teraz akurat wrócili. Przy tym to nie przybycie ziemskiego statku przywoływało ich do porządku. O ile bowiem nasze odbiorniki milczały tylko dlatego, że od ich nieustannego, bezładnego zgiełku puchły nam głowy, o tyle milczenie nadajników „Rubina”, celowe i zaplanowane, zostało uznane za warunek powodzenia wyprawy. A przynajmniej osiągnięcia przez nas punktu, który teoretycznie dawał szansę przeprowadzenia niezbędnych operacji.

W ekranie coś się poruszyło. Spod dolnej krawędzi tarczy wynurzały się powoli trzy niewielkie bryły. Automaty. Patrzyłem chwilę, jak pełzną, niezgrabnie przewalając się przez odsłonięte żyły skalne, okruchy głazów, niskie, szerokie kopczyki jakby pozostałe po dawno wymarłych, olbrzymich kretach. Wyżej wołałem nie patrzeć. Zdążę się jeszcze oswoić się z tym widokiem.

Automaty zniknęły z pola widzenia, oddalając się w trzech różnych kierunkach, aby po przebyciu kilkuset metrów utworzyć posterunki osłony. Kiedy odbierzemy od nich pierwsze meldunki, kiedy kalkulatory naniosą dane na zapisy przywiezione z Ziemi, a w okienku sumatora wyskoczą rzędy cyfr, będziemy mogli opuścić statek.

– Jest zamiar – odezwał się Fros, wskazując ekran łączności. – Masz współrzędne?

Luta skinął głową.

– Mniej więcej dwadzieścia pięć kilometrów na południowy wschód – mruknął, nie odrywając wzroku od pulpitu sumatora. – W pasie przybrzeżnym.

– Stacja – wyrwało mi się bezwiednie. Oczywiście, stacja. A cóż by innego.

– Jak to stacja?! – obruszył się Fros. – Kto? Vianden? Mykin? Ten trzeci? Poczekajcie – strzelił palcami – jak on się nazywał?

– Teller – odpowiedział po chwili Luta. W jego głosie wyczułem jakby niechęć. – Po prostu stacja – dorzucił. – Może to oni. Przespali te cztery lata i teraz im wstyd. A może nie. Myślę, że wkrótce będziesz mógł się przekonać.

Fros umilkł. Przyjrzałem mu się. Siedział sztywno wyprostowany, celując brodą w górną krawędź ekranu. Jego długie, szczupłe palce bębniły nerwowo po obudowie pulpitu. Pasy jego fotela wały się po podłodze. Gdybym go nie znał, pomyślałbym, że się boi. Ale to nie wchodziło w rachubę. Nie tylko w wypadku Frosa.

Zerknąłem na zegar i uświadomiłem sobie, że nie zapamiętałem momentu lądowania. – Ile do wyjścia? – spytałem.

– Dziewięć minut – odpowiedział natychmiast Luta.

– Stereotyp? – rzuciłem, spoglądając na tablicę sumatora. Z mojego miejsca nie mogłem widzieć wyników.

– Stereotyp – mruknął jak echo Luta.

– Wszystko w porządku – dopowiedział Fros. – Za pięć minut rozwijam anteny. Może... – zawahał się – powinniśmy poczekać do nocy? Sygnalizacja...

– Jak tu jest po zachodzie słońca? – przerwałem, zwracając się do Luty. Ten pomyślał chwilą, po czym pokiwał przecząco głową i wzruszył ramionami.

– Dostatecznie inaczej – burknął – żeby mieć kłopoty. Jakby to powiedzieć... – zatoczył łuk ręką – ciemno i przeżroczyście. Dużo z tego wiecie? – uśmiechnął się. – A w ogóle – dorzucił szybko – nie liczcie za bardzo na to, że tu już byłem... Jasne?
– Już to słyszałem – burknąłem.

Trudno zapomnieć. Zaczął w czasie pierwszej odprawy, a następnie nie przepuścił żadnej okazji, żeby dobrze wbić nam to w pamięć. Przesiedział tu dziesięć lat. Dziesięć lat wodził wzrokiem po morzach i lądach otaczających go ze wszystkich stron, wbrew temu, do czego przywykł w swoim świecie, wbrew wszystkiemu, co dyktowały zmysły i ludzki rozsądek. Dziesięć lat wsłuchiwał się w tak dobrze znane, a przecież obce głosy mieszkańców sąsiedniej planety, tkwiącej w samym centrum słonecznej ekosfery układu. Wiedział, że podświadomie oczekiwać od niego będziemy pewności w poruszaniu się po tym lądzie, jeżeli już nie szczegółowych informacji jak się zachować, aby uczynić go bardziej gościnnym. Ale też jeśli przestrzegał, by nie spodziewać się zbyt wiele po jego doświadczeniach, mogliśmy mieć pewność, że chodzi o coś więcej niż pewnego typu przezorność, która osłoniłaby go zawczasu przed ewentualnym niepowodzeniem. Skądinał o miejscu, w którym znaleźliśmy się teraz, mówiło to więcej niż jakiegokolwiek opisy.

– Tym bardziej nie ma sensu czekać – podjąłem. – Uważam, że przy obowiązującej nas ciszy radiowej ważniejsza będzie możliwość utrzymania łączności, choćby tylko optycznej, niż ewentualne ryzyko, że nas odkryją. Zresztą – dodałem, wzruszając ramionami – jeśli po tym szumie, jakiego narobiliśmy siadając, nie mają nas jeszcze na widelcu, to znaczy, że możemy odańczyć przed nimi kankana, a i tak niczego nie zauważą.

– Właśnie – syknął Fros. – Jeśli... No, dobra – rzucił innym tonem, jakby sam sobie odpowiadał – otwieram parasol.

Przeniósłem wzrok na ekran. Kontury krajobrazu spęły nagle, zafalowały, po czym przybliżyły się, wypełniły barwami. Rzeźba terenu zyskała nową perspektywę, na zboczach pasm górskich załśniły niewidoczne dotychczas ostańce skalne, piargi i plamy roślinności. Penetrację otoczenia przejęły potężne pierścieniowe fotoanteny „Rubina”. Teraz mogliśmy sobie na to pozwolić bez obawy, że odbiorniki zainstalowane na pobliskiej planecie przechwycą Udarowe stożki naszych szperaczy. Dalsza konspiracja musiała przynieść więcej szkody niż pożytku. Było zresztą więcej niż wątpliwe, czy mieszkańcy układu zmontowali na tym globie jakiegokolwiek urządzenia przechwytyjące. Ich własna ziemia liczyła nie więcej niż półtora miliona mieszkańców, rozwinięli zaledwie dwa zurbanizowane ośrodki i z pewnością miną setki lat, zanim ciśnienie demograficzne obudzi w nich ducha eksploracji. Nawet jeśli to dzięki niemu właśnie znaleźli się w tym układzie.

Tak. Wszystko to prawda, jeśli nie brać pod uwagę drobnostki. Faktu, że pozostawiony na tym lądzie ziemski posterunek badawczo-obserwacyjny umilkł cztery lata temu. Umilkł, by odezwać się namiarowym kodem, dokładnie w chwili, kiedy „Rubin” wkraczał w górne warstwy atmosfery.

Ani minuty wcześniej. Luta miał rację. Tego nadajnika nie uruchomił żaden z członków załogi stacji. To znaczy dawnej załogi.

Nasze zadanie było proste. Dziecinnie proste. Objąć stację. Przejąć na najbliższe dziesięć lat obowiązki obserwatorów przy pierwszej galaktycznej kolonii Ziemi. Powiedzmy, dawnej kolonii. Że przed upływem okresu służby poprzedniej załogi? To co? Oczywiście jeśli przy okazji, w wolnej chwili, udałoby się dociec, co właściwie przydarzyło się naszym poprzednikom, nikt nie miałby nic przeciwko temu. Tylko tyle. Wylądować, podpłynąć do stacji

osadzonej w przybrzeżnym paśmie południowego oceanu na czwartym kontynencie, uruchomić łączność, aparaturę badawczą i przystąpić do normalnych zajęć. A co do tamtej trójki... Cóż, jeśli nie żyją, i tak nic im nie pomożemy. Nie jest powiedziane, że bezwarunkowo musimy podzielić ich los. Gdyby jednak nie było ich tutaj, żywych ani martwych... tak, wtedy sprawy mogły się odrobinę skomplikować.

Dość. Wiadomo, że polecimy tak czy owak. Ludzie znają nazbyt dobrze własną historię i siebie samych, żeby zostawić w spokoju mieszkańców najbliższej gwiazdy, którzy odlatując kiedyś z Ziemi, zabrali z sobą dziedzictwo wszystkich pokoleń macierzystej cywilizacji.

– Idziemy, Mur – rzucił Luta, przeciskając się w stronę korytarza. Odruchowo sprawdziłem stan ogniów energetycznych osobistej aparatury i przetwornicy miotacza. Fros odwrócił głowę. Sprawiał wrażenie, że nie interesuje go nic poza tym, co właśnie ukazało się na ekranie sumatora. Mogłem wierzyć, że wolałby pójść z nami. Co oczywiście nie miało znaczenia. Jako logik-cybernetyk, odpowiedzialny za łączność i pokładowe zespoły informatyczne wiedział, gdzie jego miejsce. Zresztą, nachodzi się jeszcze dosyć. Jeżeli zdąży.

Trwało dobrych parę minut, zanim nad klapą wjazdu błysnęło zielone światło. Atmosfera jak w laboratorium. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent dwutlenku węgla.

Właz otworzył się bezszelestnie. Dałem krok do przodu i stanąłem na półokrągłej platformie windy. Patrzyłem cały czas pod nogi. I tylko pod nogi.

Słuchawki zatrzeszczały. Luta odchrząknął i mruknął coś niezrozumiale.

– Co mówisz?

– Pancierz – bąknął, wskazując głową. Przyjrzałem się połyskującej ciemno powłoce kadłuba. Winda sunęła płynnie w dół, plamy i ślady sadzy na pancerzu, pozostałość po lądowaniu w atmosferze, układały się w krótkie, urwane smugi. Nie było ich wiele.

– W porządku – powiedziałem.

– Właśnie – mruknął.

Zrozumiałem i przestałem interesować się statkiem. Nagle wydało mi się, że nasłuch przyniósł daleki odgłos syreny. Rozejrzałem się szybko i zobaczyłem spływający z najbliższego wybrzuszenia terenu, wirujący kłęb drobnego pyłu. Nic. To tylko wiatr.

Platforma przyhamowała miękko i zatrzymała się kilkanaście centymetrów nad powierzchnią gruntu. Wyprostowałem się odruchowo i stanąłem na wypolerowanej odrzutem skale. Nie oglądając się postąpiłem kilka kroków do przodu.

– Poczekaj – dobiegł mnie głos Luty – sprawdzimy kierunek.

Stałem. Powoli, jakbym naprowadzał na cel laserowy miotacz, uniosłem głowę i spojrzałem w niebo.

Nie było go. Nad naszymi głowami wisiała plastyczna, niedorzecznie pomniejszona mapa. Była wszędzie. W promieniu kilku kilometrów teren wydawał się płaski. Ale zza wierzchołków najbliższych gór wyzierały szczyty następnych. Za nimi też były góry, widoczne już od podnóży. Dalej, a właściwie wyżej, ład wznosił się we wszystkich kierunkach. Źle mówię: ład. Za którymś z kolei pasmem wzgórz jaśniał bezmiar oceanu. I także nie bezmiar. Jego przeciwległy brzeg, widoczny jak na dłoni, przekraczał widnokrąg już nad naszymi głowami i biegł dalej, zacieśniając się półkolem ku zenitowi. Góry poczynały zwisać szczytami jak sople, ukazując niesłychanie ostro rzeźbę dolin i grani, piargów i strumieni, jakby naprawdę chodziło o oryginalny fresk czy reliefy zdobiące kopułę wzniesionej przez ludzi budowli, a nie krajobraz przeciwległej półkuli globu. Te wiszące w zenicie oceany i kontynenty' w istocie dzieliła od patrzącego odległość nie setek, ale wielu tysięcy kilometrów. Planeta nie ustępowała wielkością

Merkuremu.

Całe wnętrze tej zastępującej grunt, horyzont i niebo kuli, wypełniało osobliwe światło, wyłuskujące najmniejsze drobiazgi z najbardziej nawet oddalonych łądów, a równocześnie ciemne. Jak gdyby miejsce atmosfery zajęła lita bryła szkła lub jakiegoś czarnego kryształu, doskonale przezroczystego o nieznanym fizyce właściwościach optycznych. Góry, rzeki, doliny, wody i pustynie, obszary porośnięte lasami, wszystko to było i bezbarwne, i ciemnofioletowe zarazem, taki też koloryt przybrało powietrze. Pomyślałem o dziesięciu latach, jakie mają mi wystarczyć, aby oswoić się z tym otoczeniem, i zrozumiałem, czemu Luta zarzekał się, żeby nie liczyć zbyt na jego doświadczenie. Żaden z nas nie miał mu tego za złe. Ale teraz uświadomiłem to sobie naprawdę.

Poczułem jego dłoń na ramieniu. Nie słyszałem, kiedy podszedł. Omiótł spojrzeniem znaczną część horyzontu, po czym zwrócił twarz w moją stronę i uśmiechnął się. Wydało mi się, że lekko skinął głową.

– No? – usłyszałem jego lekko zachrypnięty głos. Wzruszyłem ramionami.

– Wiedziałem mniej więcej, czego się spodziewać – mruknąłem niezbyt pewnie. – Zatrośczyli się o to.

Zatrośczyli się, to właściwe słowo. Maglowali nas jednaście miesięcy. Zrobili wszystko, żebyśmy czuli się tu jak u siebie. Powiedzmy, prawie wszystko.

– Mogliby tu przywozić wycieczki szkolne – dodałem po chwili. – Wzorcowy przykład atmosfery nadzałamującej. Dwutlenek. Swego czasu szukano czegoś takiego na Wenus.

– Właśnie – burknął.

To było, zdaje się, jego ulubione słówko. Przynajmniej od pewnego czasu.

Słuchawki zabrzczały cicho i rozległ się czysty głos Frosa:

– Co robicie? Przedpole wolne. Śladu ruchu. Chcecie dane?

Luta uniósł głowę i utkwiał wzrok w zboczach najbliższych wzgórz. Stał tak kilkanaście sekund. Wreszcie silniejszy podmuch wiatru jakby go obudził. Otrząsnął się nieznacznie i ruszył przed siebie.

– Dobra, Fros – mruknął, uszedłszy ładnych kilkanaście kroków. – Pilnuj tego przedpola. Poza tym nic od ciebie nie chcemy.

– Na razie – dorzuciłem półgłosem. – Na razie – zgodził się Luta.

Dozowniki tlenu w zaworach butli pracowały bez zarzutu. Szło się lekko, pomimo ciśnienia przekraczającego dość znacznie ziemskie. Może równoważyło je zmniejszone ciężenie. Albo po prostu konstruktorzy skafandrów trafili wreszcie w dziesiątkę. Wyposażono nas w najnowsze modele, pośpiesznie sprawdzone na którymś z satelitarnych poligonów.

Pierwsze wzgórza, które wydawały się tak bliskie, że tylko ręką sięgnąć, w rzeczywistości były oddalone od miejsca lądowania o przeszło osiem kilometrów.

Stojąc na wierzchołku płaskiego, kopulastego garbu, po raz któryś przebiegłem myślą listę pokładowych pojazdów „Rubina”. Nie była zbyt długa, ale zadowoliliby mnie pierwszy z brzegu łązik.

– Metal – mruknął Luta. Spojrzałem w jego stronę. Stał z nisko opuszczoną głową wpatrzony w okienko kalkulatora. Przybliżyłem się i spostrzegłem, że czujnik

wskaźnika ferroindukcyjnego rozblęsnął pomarańczowym światłem.

– Stacja?

– Um... Złóża.

– Chcesz tu kopać?

Przemilczał to. Chwilę manipulował przy miniaturowym pulpicie, poruszając palcami w grubych, szorstkich rękawicach, po czym nagłym ruchem zatrzasnął pokrywę aparatu i podciągnął go na ramieniu. Coś mnie tknęło. – To niespodzianka? – spytałem.

Pokręcił niepewnie głową.

– Nie wiem... – powiedział z wahaniem. – Oczywiście, są tu pokłady rudy. Niektóre sam lokalizowałem... na wszelki wypadek – uśmiechnął się niespodziewanie. – Ale te muszą być wyjątkowo bogate. Szkoda... – urwał.

Szkoda. Cały Luta. Na pokładzie fotonik, „w cywilu” egzobiolog, miał właściwie jedną pasję: buszowanie po świecie. A raczej po wszystkich możliwych światach. Uśmiechał się często, ale najbardziej szczerze i serdecznie, kiedy odkrył nie znaną sobie roślinę, niespotykanej barwy minerał, nowy szczegół w krajobrazie. Była przy tym ta pasja ostatnią, o którą można go było podejrzewać, kiedy spotykało się go po raz pierwszy. Liczył przeszło dwa metry wzrostu. Z barami zapaśnika wagi ciężkiej, jasnymi, niemal białymi włosami, zawsze zaczesanymi w przeciwnym kierunku, niżby to wynikało z ich naturalnej skłonności, i szerokimi, bochnowatymi rękami, sprawiał wrażenie łagodnego osiłka, oddającego się nieobowiązującym rozmyśleniom o najbliższej restauracji. W uśmiechu jego twarz stawała się niemal chłopięca, chociaż dobiegał sześćdziesiątki.

– Luta, Murky – zabrzmiał w słuchawkach podniesiony głos Frosa. – Straciłem, namiar. Słyszycie?

– Jak to straciłeś? – spytał Luta. Odwrócił się w stronę niewidocznego już "Rubina", jakby chciał przewiercić wzrokiem łańcuch wzgórz i pancierz statku, by sprawdzić, czy Fros nie ma przypadkiem gorączki.

– Przestali nadawać.

– To dobrze – powiedziałem po chwili. – Na cztery lata mamy spokój.

– Może puścić sondę? – nie wytrzymał Fros. – Z ciasną orbitą, tylko nad stacją?

– Nie.

Zabrzmiało to jak zatrzaśnięcie drzwi. Ale Fros wiedział równie dobrze jak my, że pojawienie się nad stacją aparatu zwiadowczego musiało nas ostatecznie zdekonspirować. Był bardziej wytrącony z równowagi, niżby to wynikało z sytuacji. Widać wiązał po cichu pewne nadzieje z tym pulsującym w pulpicie światłem, które tak niespodziewanie przywitało nas na orbicie globu. Może myślał o tamtej trójce, Mykinie i innych?

Ruszyliśmy dalej. Przed nami ścieliła się teraz rozległa równina zamknięta niskimi wzgórzami, za którymi była już zagięta ku górze tafla oceanu. Wyżej majaczyły zarysy dalekiego lądu. Jeszcze godzina, może półtorej i zapadnie mrok.

Droga wiodła środkiem płytkiej doliny między łagodną granią a porośniętymi zmierzwionym zielskim kopcami, zmierzającymi pojedynczym szeregiem ku równinie. Nasłuch przynosił jedynie szeleszczące odgłosy wiatru. Płaskowyż przed nami, otaczające go szerokim pierścieniem pagórki, odsłonięte partie oceanu – wszystko to sprawiało wrażenie, jakby od pierwszych dni istnienia układu nie dotknął tej ziemi wzrok żywej istoty. A przecież nie dalej niż o kilka kilometrów pięćdziesiąt cztery lata temu zamieszkali ludzie. Otrzymali niewielkie, ale potężnie wyposażone i uzbrojone schronienie, pancerną stację, oddaloną przezornie od lądu, osadzoną na ruchomym pierścieniu, przesuwanym się po plamentowym filarze wbitym w dno oceanu. Środkiem filaru, niby naczynia włoskowate w pniu rośliny, biegły przewody dostarczające paliwa piecom wodnym i automatom aprowizacyjnym. Nie pamiętam nazwisk

pierwszej trójki, która pozostała w tej bazie na pełne dziesięć lat. Pięciokrotnie zmieniano załogę. Pięćdziesiąt lat w meldunkach płynących ku Ziemi powtarzały się niemal identyczne dane dotyczące środowiska stacji i mieszkańców sąsiedniej planety. Planety ludzi, którzy opuścili Ziemię, aby zdobywać dla niej nowe światy, a potem nie chcieli o tym pamiętać.

Ostatnie zbocze. Szczyt przełęczy, a raczej szerokiego siodła między dwoma garbami przybrzeżnych wzgórz, wznosił się w odległości nie przekraczającej pięćdziesięciu metrów. Każdy krok odsłaniał bliższe połączenie oceanu. Był rudofioletowy, wydawał się zimny i jakby gęsty. Wiatr przybrał nieco na sile, jego szum przechodził chwilami w wysokie granie.

Luta zatrzymał się nagle. Uniósł prawe ramię i stał chwilę bez ruchu. Wreszcie opuścił rękę, posłał mi przelotne spojrzenie i sięgnął po pulpit kalkulatora.

Trwało kilka minut zanim sprawdził pomiary. Przez cały ten czas nie odezwałem się słowem. Pomimo że w otoczeniu nadal panował niezmacony spokój, a okolica była mi aż nadto znajoma. Plastyczna mapa w bazie na Cererze, skąd startowaliśmy, oddawała wiernie nie tylko rzeźbę terenu, ale i każde załamanie skały, zagłębienie, każdy niemal kamień czy kępę mierzwy, stanowiącej tutejszy mech. Od dobrych kilku kilometrów rozpoznawałem mijane wzniesienia, potrafiłbym wymienić z pamięci ich odległość od stacji, nie mówiąc już o wskazaniu kierunku, w jakim należało jej szukać. Ale jeśli Luta uważa, że pozostało coś do sprawdzenia, nie będę mu przeszkadzał. On tu był. Można powiedzieć, że wraca do siebie. Widać naprawdę nie jest pewny własnych doświadczeń. Lub też ma ich zbyt wiele.

Ten głaz z prawej, powyżej środka przełęczy zaznaczony był na mapie z fotograficzną dokładnością. Nawet jego rozmiary odpowiadały proporcją otoczeniu. Przez środek skały biegła jasna szczyrba. Poniżej wybrzuszenie i głęboko wcięta płyta, tworząca szeroki okap. Z przeciwległej, niewidocznej strony podobny uskok przechodził w przestronną, dość głęboką kolebę.

– Dziewięćset metrów – powiedział Luta. – Fros! – ciągnął, nie podnosząc głosu – co z tym namiarem?

Słuchawki zaświergotały. Przebiegło mi przez myśl, że zostaliśmy sami. Że „Rubin” opuścił ten glob albo po prostu zniknął, jak tamci trzej, ze stacji. To było idiotyczne.

– Cisza – odezwał się wreszcie Fros. – Siadu sygnału. Jeśli nie liczyć głosów tych z Trzeciej.

Tak. Trzecia planeta układu nie milczała. Minie kilkadziesiąt, może kilkaset lat, a miejscowa sieć łączności rozciągnie się na pozostałe globy, bliższe słońcu od tego tutaj i dalsze, martwe teraz, dotykające zaledwie ekosfery. Na razie nie śpieszy im się. Mają dość kłopotów. Nawet, jeśli sami je sobie stworzyli.

– Idziemy dalej – mruknął Luta ni to do mnie, ni do Frosa.

– Słyszę was dobrze – padło z kabiny „Rubina” ale gorzej z lokalizacją. Widzicie morze?

– Od pierwszej chwili – burknąłem.

– Mam na myśli wybrzeże? Stację?

– Um...

– Jeszcze kilka kroków – odpowiedział Luta. Słuchawki zabrzęczały ponownie. Zapanowała cisza.

Szczyt był tuż. Metr, drugi i nasze głowy zrównały się z krawędzią grani. Od pewnego momentu zauważyłem, że morze zaczyna zmieniać barwę. Płycizna – pomyślałem.

Ale to nie była płycizna. Zrobiliśmy jeszcze trzy, może cztery kroki i znaleźliśmy się na płaskiej płycie, łagodnie opadającej ku niedalekiej plaży. Była kamienista, tu i ówdzie znaczone jakby pryzmami żwiru, brudnofioletowa, ciemniejsza od poprzedzającej ją równiny. Morze

jednak od samego brzegu przykuwało wzrok przybrudzoną zielenią.

Luta stanął jak wryty. Z niezwykłym u niego pośpiechem przesunął na ramieniu tarczę kalkulatora.

– Coś nowego? – spytałem.

Potrząsnął niecierpliwie głową. Kilka sekund sprawdzał obliczenia, po czym uniósł głowę i rozejrzał się.

Słowa były zbyteczne. Jak okiem sięgnąć roztaczała się przed nami pusta przestrzeń oceanu. Wydało mi się, że w oddali, gdzie zieleń przybrzeżnych wód mętniała i gasła, dostrzegam odbicie zwisających znad nieboskłonu krajobrazów. Ale tam nie mieliśmy czego szukać. Tu natomiast, gdzie Luta przesiedział dziesięć lat w pancерnej, wzorowo wyposażonej stacji, skąd jeszcze dwie godziny temu biegł w eter regularny kod namiarowy, widniało tylko morze, pokryte zielonkawym kożuchem jakby rzadkiej trawy. Ziemskiej trawy. Ta zieleń była tu czymś tak niezwykłym, jak widok niebieskiego trawnika w londyńskim parku.

Luta raz jeszcze zlustrował wzrokiem wybrzeże, następnie dał mi znak ręką i cofnął się kilka kroków. Poszedłem za nim. Ominęliśmy szerokim łukiem środek przełęcz, po czym wspięliśmy się na nią ponownie, tym razem wychodząc u stóp owego głazu, sterczącego jak samotna baszta. Nie upłynęło pięć minut, a wkroczyliśmy w cień padający ze skalnego okapu.

– Co chcesz zrobić? – spytałem przyciszonym głosem.

– Poczekaj...

Pochylił się nisko i wolnym krokiem, szorując rękawicami po kamiennej płycie, gładkiej w tym miejscu, jakby wyszlifowanej przez wodę, zaczął okrążyć skałę. Odczekałem chwilę i poszedłem w jego ślady. Wkrótce znowu miałem przed oczami obszar oceanu, gdzie według precyzyjnych siatek współrzędnych oraz map poprawianych przez dziesięciolecia powinna znajdować się stacja. Przełęcz poszerzała się odrobinę w tym miejscu, za głazem biegła jeszcze metr, może półtora pod górę i potem dopiero przechodziła w spływające ku plaży zbocze. W ten sposób niska u stóp skały zyskiwała coś w rodzaju dobrze umocnionego przedpiersia. Nie był to najgorszy punkt obserwacyjny. Pod warunkiem, że w polu widzenia miało się rozegrać lub pojawić coś, co należało obserwować.

Luta stał chwilę, przygarbiony, jakby butle na jego plecach zyskały nagle na ciężarze, po czym mruknął coś niezrozumiale, westchnął i ułożył się wygodnie na boku, z głową zwróconą w stronę plaży. Następnie spojrzął na mnie zachęcająco i wskazał mi miejsce obok siebie.

Grunt pokrywała tutaj płytka warstwa zbitego pyłu. Leżało się na tym nieźle, zwłaszcza po kilkugodzinnym marszu. Nasze nogi tkwiły w cieniu skalnej przewieszki, ramiona i głowy spoczywały na naturalnym nasypie. Mogliśmy tak leżeć tydzień. W każdym razie dwadzieścia cztery godziny. Na tyle pozostało tlenu w płaskich, profilowanych butlach, stanowiących podobnie jak skafandry najnowsze osiągnięcie konstruktorów.

– Przyjemnie tu – bąknąłem. – Co to jest, to zielone w morzu?

Luta milczał dłuższą chwilę. Wreszcie poruszył się, poprawił pasy na ramionach, syknął, jakby go coś zabolalo, i wyjaśnił:

– To jest właśnie ta niespodzianka, której się tak dopraszałeś. Tym razem prawdziwa. Nie jak tamte złoza...

Potrzebowałem kilkunastu sekund żeby zebrać myśli.

– Nigdzie tu czegoś takiego nie widziałeś?

– Um...

Słuchawki szcęknęły krótko, przez moment zaświdrowały nam w głowach zmieszane sygnały,

po czym zabręczało i odezwał się niecierpliwy głos Frosa:

– Co z wami? Widzicie stację?

Luta westchnął ponownie i nie śpiesząc się, sięgnął po aparacik na ramieniu.

– Widzimy ocean – powiedział niedbałym tonem. – Podaj współrzędne stacji.

– Przecież masz je... co się stało? – zreflektował się Fros.

– Mam – mruknął Luta. – No więc?...

. Słuchawki milczały chwilę, po czym Fros, głosem o pół tonu wyższym zaczął wyliczać dane.

– Dobra – przerwał w pewnej chwili Luta, cały czas wpatrzony w ekranik kalkulatora. – A namiar?

„Rubin” podał współrzędne. Luta skinął głową, podniósł do oczu sterczący z bocznej ścianki aparatu celownik, potrzymał go tak chwilę, po czym zamknął pokrywę kalkulatora i powiedział:

– Zapisz. Godzina jedenasta szesnaście czasu pokładowego. Bezpośrednia obserwacja źródła emisji potwierdziła przypuszczenia, że znajduje się ono w miejscu lokalizacji stacji. Ocean jest zielony, przynajmniej w paśmie przybrzeżnym. Stacji nie ma...

– Jak to nie ma?! – przerwał Fros.

– Po prostu nie ma – wyręczyłem Lutę.

– Trafiliście na pewno? – głos Frosa zdradzał napięcie. – Jak to nie ma? – powtórzył niezbyt przytomnie.

Żaden z nas nie odpowiedział.

– Zapisaleś? – mruknął Luta.

– Tak – szcęknięło w słuchawkach. – Może jednak sonda?

– Zaczekaj – powiedział Luta. – Na razie wyślij nam transera z podwójnym wyposażeniem. Zrobimy tu coś w rodzaju bazy.

– Nie zapomnij o sprężarkach – dodałem – przydadzą się.

Luta spojrzał na mnie, uśmiechnął się i skinął głową. – Tak – rzucił. – Pójdziemy pod wodę.

– Jeżeli tam nic nie ma – odezwał się po chwili Fros – mogę przekazać statek automatom. Chciałbym to zobaczyć...

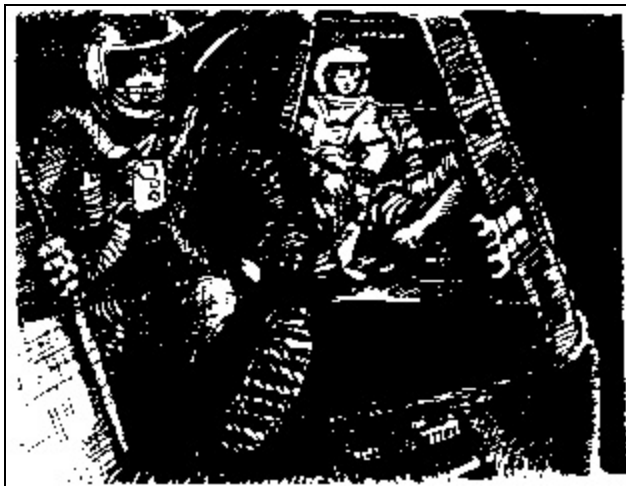
– Sam mówisz – burknąłem – że tu nic nie ma. Na razie wypuść transera.

Słuchawki umilkły. Zaległa cisza. Nawet wiatr się uspokoił. Leżeliśmy obok siebie wodząc leniwie wzrokiem po plaży i obszarze oceanu. Mijały minuty. Nic się nie działo. Zaszło słońce, raptownie, jak na Ziemi w strefie podzwrotnikowej i atmosfera wokół jakby zgęstniała. Ale widoczność nadal była dobra. Poczerniałe kontury lądu, ulatujący ku górze ocean, zawisłe nad nami obszary przeciwległej, dziennej teraz półkuli, wszystko to rysowało się ostro i wyraźnie, jak pod zaciemnionym przezroczystym szkłem. Spojrzałem ku górze i pomyślałem o gwiazdach. Luta pochwycił mój ruch i podążył za moim spojrzeniem. Po chwili poruszył lekko głową, jakby się z czymś zgadzał i mruknął:

– Tu nigdy nie ma gwiazd...

– Szkoda – bąknąłem.

– Szkoda – powtórzył jak echo.



Po kliknięciu nastąpi przeskok do nagłówka

```
', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#00006C', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">
```

Po kliknięciu nastąpi przejście do strony tytułowej

```
', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#6C3800', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">
```

Po kliknięciu nastąpi przejście do części **2**

```
', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#004800', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">
```

Zbudził mnie chłód. Nie otwierając oczu sięgnąłem do klimatyzatora. Manewrując prawą ręką przy lewym ramieniu przewaliłem się na plecy i wtedy dopiero zdałem sobie sprawę, że miejsce obok mnie jest puste.

Usiadłem i rozejrzałem się. Luty nie było. Obiema dłońmi sięgnąłem do kasku i potrząsałem głową. Nasłuch działał normalnie. Podciągnąłem nogi, prostując się i w tym momencie w słuchawkach zabrzmiał jego głos:

– Na razie nic więcej nie możemy zrobić. Idź teraz spać. Zbudzimy cię przed świtem.

Zorientowałem się, że rozmawia z Frosem.

– Gdzie jesteś? – spytałem.

– Co się stało? – zaniepokoił się Fros.

– Nic – mruknął Luta. – Koniec łączności. Gdzie jestem? – to było już do mnie. – Niedaleko.

Usłyszałem szmer kroków, szelest rękawicy trącej o skałę i zza krawędzi głązu wynurzyła się jasna plama kasku. Bez słowa wrócił na dawne miejsce obok mnie, usiadł i wpatrzył się przed siebie.

Spałem nie dłużej niż godzinę. Mimo to nie byłem śpiący. Ogarnęło mnie uczucie zniecierpliwienia, chciałem się ruszyć, zejść na plażę, poszukać śladów czyjejs obecności w tym czarnofioletowym pustkowiu.

Odetchnąłem głęboko i oprzytomniałem. Luta miał rację. Jedyne co możemy zrobić, to czekać.

– Odpocznij teraz – powiedziałem. – Co to było?

– Przyszedł transer. Zostawiłem go pod skałą, po przeciwnej stronie. Mamy teraz dość środków, by przemówić do rozsądku... komu należy.

– A komu należy? – bąknąłem. Uśmiechnął się.

– Jeżeli chcesz spać – mruknął zamiast odpowiedzi – idź do wozu. Nie ma sensu tkwić tutaj i wdychać tlen z butli.

– Teraz twoja kolej – powiedziałem. Milczał chwilę, po czym dźwignął się ciężko, wyprostował i bez słowa ruszył wzdłuż głązu.

– Będę na fonii – dobiegł mnie jego głos, kiedy zniknął mi już z oczu. – W razie czego wystarczy, że coś powiesz. I nie musisz od razu krzyżeć...

– Nic nie powiem – burknąłem. – Spij spokojnie.

Od strony oceanu nie dobiegał najcichszy szum, ale jego powierzchnia nie była gładka. Pusto. Bardziej pusto, niż może sobie wyobrazić ktoś przybywający ze świata zamieszkałego przez ludzi.

A jednak to także jest nasz świat. Jego gospodarze przywieźli tutaj kompletny bagaż tradycji ziemskiej cywilizacji, pamięć jej upadków i wzlotów.

Od kiedy jeszcze w liceum poznałem historię kolonizacji Alfy, ugruntowało się we mnie przekonanie, że rzecz była co najmniej przedwcześnie. Dwieście trzydzieści... nie, to już dwieście trzydzieści jeden lat temu opuściło Ziemię tych osiem wielkich, prymitywnych cygar, z których każde uniosło ku gwiazdom pięćdziesięciu ludzi. Tylko dlatego, że technika na to pozwalała, że pierwszy i jedyny zwiad w układzie Alfy przedstawił po powrocie jej trzecią planetę jako prawdziwy raj z książki dla dzieci i że wśród współczesnych znalazła się grupa osób ich zdaniem owianych duchem eksploracji, a według mnie po prostu nie przystosowanych. Chętnych było niemal dwustukrotnie więcej, niż mogły pomieścić rakiety.

Lot trwał wówczas osiem lat. I zakończył się pełnym sukcesem. Napływające z najbliższej gwiazdy meldunki rozpały wyobraźnię młodzieży i publicystów. Modne stało się

filozofowanie na temat dróg rozwoju ziemskiej cywilizacji. Podawano w wątpliwość celowość przystosowawczą rozumnego działania pokoleń, od czasów mitycznego Noego. Jako ilustracja faktograficzna służyły korespondencje emigrantów, wśród których pierwsze skrzypce zaczęli grać biomatematycy i genetycy. Rozwinął się rodzaj kosmicznego dialogu, który miał wykazać ludziom, jak dalece odbiegli od jedynie słusznej linii rozwojowej zadanej im przez naturę. Wreszcie ktoś mądry powiedział, że nasz model przystosowawczy kształtował się w warunkach zgoła odmiennych niż u ludzi, którzy teraz zasiedlać będą nowe światy. Że Ziemia tworzyła ten model z niczego, a jej dawni mieszkańcy dysponujący pierwocinami tego, co można nazwać świadomym rozumowaniem, i zafascynowani narzędziami, które tylko co pojawiły się w ich życiu, i tak przejawili bezprzykładną dynamikę rozwojową. Że wreszcie nie ma sensu wysyłać ludzi do gwiazd, jeśli po przybyciu na 'miejsce mają nas zasypywać destrukcyjnymi i demagogicznymi refleksjami na temat wartości ich i naszych tradycji, naszej – ale już nie ich – cywilizacji. Nie minął rok, a ta rozwinięta przez specjalistów riposta stała się obowiązującą wykładnią oficjalnego stosunku Ziemi nie tylko do jej emisariuszy, ale także, a może przede wszystkim, do własnych dziejów. O tym, że to w końcu nie koloniści z Alfey, a pozostali na naszej rodzimej planecie publicyści rozpętali cały ten pseudofilozoficzny dialog, zdawano się nie pamiętać. Wkrótce też zapomniano naprawdę. Miejsce entuzjazmu zajęła niechęć i lekceważenie. W pismach pojawiały się całe serie dowcipów o „błogosławionych naiwnych”, którzy odlecieli w gwiazdy, aby z nich nauczać bliźnich, co naprawdę są warci i jak mają żyć. Reszty dopełniła naturalna w tych okolicznościach różnica postępu technologicznego, jaki dokonywał się na Ziemi i jaki w warunkach adaptacji w całkowicie nowym środowisku możliwy był do osiągnięcia na planetach Alfey.

Z takim też nastawieniem ruszyli w stronę Centaura kolejni emigranci. Ich odlot miał miejsce w maju, bodaj czternastego maja, sto czterdzieści dziewięć lat temu. Żyli jeszcze ludzie, nawet niemała grupa, którzy uczestniczyli w ceremonii pożegnania dwunastu, stuosobowych tym razem, statków w bazie olberskiej na Lunie. Czytałem, że podnosiły się wówczas głosy protestu, krytykujące postawę, jaką w stosunku do gospodarujących już na Alfie od przeszło osiemdziesięciu lat uczestników pierwszej wyprawy, zajęli w oficjalnych, przedstartowych oświadczeniach koordynatorzy nowej misji emigracyjnej. Wobec tonu komunikatów i powszechnie panujących nastrojów głosy te trafiły jednak w próżnię. Przedstawiciele Starej Ziemi odlecieli pewni siebie, wyposażeni w najnowsze zdobycze nauki, narzędzia i automaty, o jakich ich poprzednikom nawet się nie śniło. Jeśli nie padło słowo „pacyfikacja”, zawdzięczać to należy nie tyle duchowi braterstwa Ziemian, ile okoliczności, której nikt niestety nie wziął przed startem pod uwagę. Mianowicie większość tej drugiej grupy kolonistów wcale nie uważała się za emisariuszy swojego świata. O ile bowiem względy, o których wspomniałem przed chwilą, ugruntowały w tych ludziach poczucie wyższości względem pierwszych emigrantów, o tyle pamięć argumentów, jakie wymieniały obie strony w czasie niedawnej dyskusji na temat procesów przystosowawczych, była na Ziemi, zwłaszcza w pewnych środowiskach, wciąż jeszcze nader świeża, a opinie na ten temat znacznie bardziej zróżnicowane, niż można by sądzić na podstawie oficjalnych enuncjacji.

Wszystkie te okoliczności dały znać o sobie wcześniej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Już po dwóch tygodniach lotu, nagle, bez jakichkolwiek zapowiedzi, z pokładu sztabowej rakiety wyprawy nadeszła sążnista depesza, której treść opublikowały natychmiast wszystkie dzienniki. Jej autorzy oszczędzili inwektyw opuszczonemu przez siebie światu. Stwierdzali tylko, że zgodnie postanowili stworzyć w układzie Alfey jakościowo nową cywilizację i że przenikanie

wpływów Ziemi, nieuniknione w wypadku dalszego utrzymywania swobodnej łączności, nie mówiąc już o ewentualnych kolejnych falach emigracji, w najlepszym razie opóźniłoby realizację tego przedsięwzięcia. Orzekli, że jest ich dość, by spokojnie i konsekwentnie rozwijać procesy przystosowawcze zgodnie z biologicznymi i psychicznymi predyspozycjami człowieka. To znaczy nie tak, jak ich przodkowie. To ostatnie nie zostało wprawdzie powiedziane, ale sens depeszy nie pozostawiał cienia wątpliwości. Odcinali się od własnej historii. Inaczej mówiąc, nie chcieli mieć z nami więcej do czynienia.

Oświadczenie, zresztą przydługie i okraszone mnóstwem argumentów natury etyczno-filozoficznej, skonstruowanych dostatecznie logicznie, by wprowadzić w błąd przeciętnie przygotowanego czytelnika, nosiło przeszło tysiąc podpisów. Można było snuć najrozmaitsze domysły o losie tych, którzy odżegnali się od całej afery i nie pozwolili użyć swojego nazwiska w tak, łagodnie mówiąc, wątpliwym wyzwaniu rzuconym Starej Ziemi. Było też więcej niż pewne, że spora część, jeśli zgoła nie większość uczestników misji użyczyła swego podpisu dla świętego spokoju. Jedno i drugie w niczym niestety nie zmieniało sytuacji. Ci, których głos decydował, wpatrzeni w przyszłość, urzeczeni wizją innego życia nieśli ku gwiazdom uczucia i dążenia stanowiące, przyznać trzeba, przez wieki siłę napędową postępu. Ale nie tylko. Zaczynali bowiem od zaprzeczenia lekcji historii – czemu ostatecznie ze strony Ziemi mogła towarzyszyć zwykła ciekawość, i tylko ona – oraz, co kazało już zapomnieć o cierpliwości, od programowej pogardy wobec gospodarzy świata, który obejmowali w posiadanie. Jeśli zważyć, że gospodarze ci byli przedstawicielami tej samej rasy i zestawzić razem obydwie te fakty, etyczne przesłanki nadanego z pokładów raket oświadczenia ukazywały się w świetle co najmniej dziwnym. Przy tym nie sposób było odrzucić, że znakomita większość autorów koncepcji tej nowej, odmiennej cywilizacji działała w dobrej wierze. W tym względzie coś niecoś tłumaczył skład osobowy obydwu wypraw. O ile w pierwszej uczestniczyli przeważnie ludzie obeznani z lotami kosmicznymi, po większej części młodzi naukowcy, piloci z rodzinami, zapaleńcy, ale z dobrym przygotowaniem teoretycznym i otwartymi głowami, o tyle osiemdziesiąt dwa lata później technika raketowa osiągnęła tak znaczny postęp, że przeciętny członek załogi nie musiał się wykazać żadną na dobrą sprawę specjalnością. Polecieć oczywiście naukowcy i konstruktorzy, ale większość emigrantów dobrana była raczej przypadkowo. Stanowili ją członkowie różnych towarzystw, głównie przyrodniczych, kół miłośników czegoś tam, filozofujący młodzieńcy z grup zainteresowań i niezbyt jasno zdające sobie sprawę, o co chodzi, kobiety. Jak powiedziałem, nie przystosowani.

To znaczy takie było moje osobiste zdanie.

Rzecz jasna, Ziemia nie przyjęła pokornie decyzji koordynatorów drugiej misji emigracyjnej. W ruch poszły wszystkie środki techniczne, jakimi dysponowały satelitarne stacje łączności. Nieprzerwanym strumieniem płynął w ślad za oddalającymi się statkami strumień wezwań, argumentów, próśb, a w końcu i pogrózek. Wykorzystano, jak tylko się dało, głosy pozostawionych przez emisariuszy członków ich rodzin i przyjaciół. Stawiano przed mikrofonami największe ziemskie autorytety. Powoływano się na ludzką solidarność i podobne idee. Straszono załogi odcięciem od nowych, oczekiwanych zdobyczy nauki, co jednak było już przedsięwzięciem o tyle bezsensownym, że tamtym o nic innego przecież nie chodziło. Tak czy owak wszystkie apele, tłumaczenia i upomnienia nie zdały się na nic. Początkowo odbierano odpowiedzi, w których powtarzały się bez najmniejszych zmian czy uzupełnień argumenty wymienione w pierwszej depeszy. Potem ustało i to. Statki przerwały łączność.

Spółeczeństwo ziemskie zawrzało. Gorączkowe dyskusje i narady ogarnęły wszystkie

środowiska. Podnieśli głowy ci publicyści, którym oficjalne oświadczenia na temat prawidłowości procesów przystosowawczych w przeszłości i ich ekstrapolacji odebrały przedtem pole działania. Jeśli nie doszło do drastycznie ostrych sporów, to tylko dlatego, że co do jednego przynajmniej zgodni byli wszyscy. Nie wolno poddać się bezkrytycznie biegowi wydarzeń. Nie wolno dopuścić, by ta spora w końcu rzesza ludzi wymknęła się spod wpływów i kontroli naszej cywilizacji. I to co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze nikt nie ma prawa zrzucać z siebie odpowiedzialności, nawet za krnąbrne dzieci, a po drugie człowiek zbyt dobrze zna własne możliwości, aby nie zaglądać do ogródków sąsiadom. W tej chwili emigranci lansują wobec Ziemi postawę całkowitej obojętności. A jak będzie za dziesięć lat? Za sto? Kiedy ich „jakościowo nowa” cywilizacja, poczuje z kolei, że na trzeciej planecie Alfy zrobiło się już ciasnawo?

Niemniej minęło dalszych jedenaście lat, zanim podjęto decyzję o wysłaniu misji interwencyjnej. Ściśle mówiąc, decyzję podjęto wcześniej, trudniej było natomiast osiągnąć porozumienie co do jej składu i zakresu działania. Ostatecznie poleciała jedna rakieta z kilkunastoosobową załogą, w której skład oprócz specjalnie przeszkolonych techników osłony weszli powszechnie znani uczeni.

Wyprawa poniosła zupełne fiasko. Natychmiast po wylądowaniu statek został otoczony kordonem uzbrojonych i zamkniętych na głucho pojazdów, a jego załoga poinformowana, że nie wolno jej zejść na ląd. Wszelkie próby nawiązania dialogu spaliły na panewce. Nie padło słowo odpowiedzi. W polu widzenia przez cały czas postoju rakiety nie pojawił się jeden choćby człowiek. Pilotom nie pozwolono nawet wyprowadzić maszyn w celu uzupełnienia paliwa, tak że aby zapewnić sobie możliwość powrotu na Ziemię, statek musiał lądować na jednym z najbliższych globów. Wybrano sąsiednią, drugą planetę układu, gdzie analizatory wykryły obfitość pierwiastków ziem rzadkich. Jak się okazało, był to głównie lutet. Niedoszli negocjatorzy napełnili nim grodzie energetyczne rakiety i jak niepyszni ruszyli w drogę powrotną. Jednak w czasie pobytu na tym właśnie globie, którego kontynenty i morza otaczały mnie zewsząd w tej chwili, zaświtał im nowy pomysł. Na Ziemi podchwyciono go dość skwapliwie, tym bardziej, że było to w gruncie rzeczy jedyne, co jeszcze dało się zrobić. Postanowiono mianowicie zainstalować na Drugiej, w najbliższym planetarnym sąsiedztwie ziemskiej kolonii, posterunek badawczo-obszerny. Tak też się stało. Co prawda minęło dalszych kilkadziesiąt lat, zanim z drugiej planety popłynęły w kierunku Ziemi pierwsze meldunki, ale opóźnienie to nie miało znaczenia. Postęp technologiczny kolonii na dziewiczym globie potrzebował nie lat ale stuleci aby osiągnąć stopień, z którym macierzysty świat ludzi będzie musiał liczyć się naprawdę. Meldunki były interesujące. Opierając się głównie na nasłuchu przechwyconych fal radiowych, załogi stacji donosiły o konfliktach wybuchających między starymi i nowymi osadnikami. Pod tym względem ziemscy naukowcy bezbłędnie przewidzieli rozwój wydarzeń. W pierwszych latach miały miejsce dość drastyczne incydenty, dochodziło nawet do starć zbrojnych, nigdy jednak te utarczki nie przerodziły się w konfrontację globalną – jeśli można użyć takiego określenia w stosunku do globu zamieszkałego przez kilkanaście tysięcy ludzi. To, że z biegiem lat liczba kolonistów wzrosła do półtora miliona, nie zmieniło przecież układu sił. Stopniowo tarcia wygasły, ustępując miejsca izolacji. Meldunki stawały się coraz bardziej monotonne. Mijały lata, zmieniały się załogi, topniało pokolenie, pamiętające pierwszy odlot ludzi do gwiazd, a nowe generacje przyjmowały zastaną sytuację jako oczywistą i naturalną. Przyływ zainteresowania dawną kolonią nastąpił stosunkowo niedawno, kiedy posterunek na Drugiej zaczął przechwytywać strzępy wiadomości o ludziach

żyjących w wodzie, oddychających rozrzedzonymi gazami, wciskających się bez pancernych osłon w najrozmaitsze środowiska. Zjawiska te pozwalały się wyjaśnić znanymi od dawna możliwościami, tkwiącymi w inżynierii genetycznej. Że nasz świat w pewnym momencie świadomie odrzucił te możliwości, to sprawa etyki, a nie biomatematyki czy technik biochemicznych. Co najwyżej dawni nasi ziomkowie stali nam się jeszcze bardziej obcy. Żeby postawić kropkę nad „i”: wielu ludziom wydali się teraz odrażający. Co jednak dawało do myślenia, to to, że owe eksperymenty prowadzili nie, jak można by się spodziewać, uczestnicy drugiej wyprawy, którzy swego czasu motywowali swą separację od starego świata własnym programem rozwoju procesów przystosowawczych, ale właśnie ich poprzednicy. Co więcej, spotykając się z pełnym niepohamowanego oburzenia potępieniem ze strony późniejszych osadników. Oburzenia, które w przechwyconych, lapidarnych zresztą, publikacjach przybierało niekiedy charakter groźnego w swej wymowie apostołstwa.

I w tym właśnie momencie, najzupełniej nieoczekiwanie, stacja na Drugiej zamilkła. Bez sygnału ostrzegawczego, wezwania o pomoc, bez jednego słowa, które pozwalałoby snuć przypuszczenia na temat losu załogi.

Uniosłem głowę i przebiegłem spojrzeniem linię brzegu.

Cokolwiek się wtedy wydarzyło, wydarzyło się nie gdzie indziej jak na tym fioleto – czarnym oceanie, którego skrawek miałem teraz przed sobą. Jak okiem sięgnąć, śladu obecności żywej istoty. Jednego porzuconego skrawka folii, pustego pojemnika, zapomnianego narzędzia. Nic.

A przecież katastrofa, która w skutkach przyniosłaby stacji zagładę, nie wchodziła w grę. Gdyby na pancerny grzyb bazy runął monstrualnej wielkości meteoryt, gdyby zapadło się dno morza czy wybuchły piece wodne lub inne reaktory, pozostałby martwy kikut szybu o poszarpanych krawędziach. Zbudowany ze stopu plamentowego po prostu nie mógł w całości ulec unicestwieniu. Nie. Stacja zeszła pod wodę. Spokojnie i bezpiecznie, jak to przewidzieli konstruktorzy, osadzając część mieszkalną na ślizgającym się wzdłuż szybu pierścieniu. Wyjaśnienie musiało być bardziej proste. Proste, a zarazem mniej zachęcające. Dlatego bawiliśmy się z mieszkańcami Trzeciej w kotka i myszkę, podchodząc z wygaszonymi reflektorami anten, bez łączności, bez kodu namiarowego nawet.

Dlatego odbyliśmy z Lutą dwudziestopięciokilometrowy spacer, zamiast po wystrzeleniu sondy szybko i wygodnie ruszyć do celu w kabinie transera. Ta stacja, niewidoczna teraz, żyła. Inaczej skąd wziąłby się przechwycony nagle po czterech latach milczenia jej sygnał namiarowy? Ale jaka była teraz treść tego życia? Czemu ono służyło?

– No, dość tego – zabrzmiał nagle tuż przy moim uchu spokojny głos Luty. – Teraz ty...

Podskoczyłem. W pierwszym odruchu usiadłem, od razu sztywno wyprostowany. Moja dłoń sama powędrowała do kabury miotacza.

– Czego... – zamruczał, podchodząc bliżej. – Spaleś? Trwało dobrą chwilę, zanim mogłem odpowiedzieć.

Odetchnąłem głęboko, czując, że ze skroni zaczyna mi spływać strużka zimnego potu.

– Nie – powiedziałem wreszcie, starając się panować nad głosem. – Zamyśliłem się – dodałem.

– Kiedyś cię postrzele...

Przez pociemniałą szybę kasku dostrzegłem na jego twarzy uśmiech.

– Prześpij się póki co – wymamrotał. – Może ci przejdzie. Za dwie godziny zacznie świtać.

Rozejrzałem się. W kolorycie otoczenia nic się nie zmieniło. Żadna jaśniejsza smuga nad horyzontem nie zwiastowała nadejścia dnia. Dwie godziny... Może nawet mniej. Nie będziemy

czekać, aż zrobi się całkiem jasno. Powiedziałem mu to.

– Tym bardziej – odparł. – No, znikaj.

Wstałem. Okrążając skałę przystawałem dwukrotnie, żeby zaczerpnąć tlenu. Wciąż jeszcze czułem przyśpieszone bicie serca. To niesamowite otoczenie robi swoje. Kilka dni samotności tutaj mogło kosztować niemało.

Transer stał bokiem do głązu, silnie przechylony na lewą burtę. Namacałem raczej niż wypatrzyłem stopnie na obudowie dyszy i wspiałem się do wjazdu. Był zamknięty. Gdzie jak gdzie, ale na tym globie należało oszczędzać tlenu.

Zatrzasnąłem za sobą klapę. Usiadłem w fotelu. Długi, półkolisty ekran czołowy był wygaszony. Pod nim widniał wąski pas odsłoniętej szyby. Niżej, w pulpicie pulsowało jedno nikłe światełko. Namiar. Tym razem znajomy, swojski. Droga do macierzystego statku.

Chwilę siedziałem bez ruchu. Następnie podniosłem się, sprawdziłem synchronizację łączności, po czym zrzuciłem kask i rozpiąłem bluzę skafandra. Teraz dopiero ułożyłem się wygodnie, podłożyłem ramiona pod głowę, powiedziałem sobie, że nie jestem śpiący i zamknąłem oczy.

Obudził mnie jakiś odgłos, jakby przychodzący z zewnątrz. Przetarłem twarz dłońmi i pośpiesznie zlustrowałem czujniki. Nic. Lampka kodu wywoławczego pulsuje normalnym, niespiesznym rytmem. Sygnał wezwania wygaszony. Szyba pod ekranem jakby pojaśniała.

Spojrzałem na zegarek. Spałem niecałą godzinę. Miały być dwie. Niemal dwie. Tak czy owak za wcześnie na pobudkę.

Odgłos powtórzył się. Tym razem nie było już wątpliwości.

Ktoś znajdował się obok wozu i robił coś przy jego bocznej ścianie.

Pośpiesznie nałożyłem kask i uszczelniłem skafander. Jak najciszej potrafiłem, prześliznąłem się do wieży.

To był Luta. Stał na wybrzuszeniu centralnej części kadłuba i stukał palcem w szybę. Przez chwilę widziałem tylko ten poruszający się miarowo, powiększony absurdalnie palec. Niewiele brakowało, a byłbym się roześmiał. Nie zrobiłem tego. Oprzytomniałem w samą porę. Zdałem sobie sprawę, że jeśli wybrał taki sposób nawiązania ze mną kontaktu, nie zrobił tego dla kawału. Nie czekając aż automat zasygnalizuje zamknięcie dopływu tlenu, otworzyłem wjazd.

Stał tuż przede mną, pochylony, z głową wtuloną w ramiona. Obrzucił mnie badawczym spojrzeniem, po czym odwrócił się i dał znak, żebym szedł za nim. Ruszył powoli, ostrożnie, wysoko unosząc nogi w kolanach, jakby brodził po nieznanym rozlewisku. Mimo woli zacząłem naśladować jego ruchy. Minęło dobre półtora minuty, zanim osiągnęliśmy krawędź głązu. Ale gdyby za tą krawędzią siedziała mysz, żaden dźwięk nie uprzedziłby jej o naszej obecności.

Morze pojaśniało. Widać było wyraźnie różowawe smugi wiatru na jego powierzchni. Jedna z nich omiatała zacieśniającym się łukiem niską beczkową konstrukcją sterczącą w odległości niespełna dwustu metrów od brzegu.

Odruchowo spojrzałem na Lutę. Ukląkł w zagłębieniu osłoniętym od strony plaży naturalnym nasypem i wpatrywał się w stację. Jego twarz przybrała nie znany mi wyraz. Przymrużył oczy, wargi zbiegły mu się w wąską szczelinę. Dziesięć lat to szmat czasu. Można nauczyć się nazywać domem takie metalowe pudło. Nawet tutaj. Albo właśnie tutaj.

Przyjrzałem się uważniej. Stacja przypominała spłaszczony walec. Wiedziałem, że jego średnica przekracza czterdzieści metrów, chociaż teraz, w perspektywie wypełnionej ciemnofioletowym światłem, budowla wydawała się znacznie niniejsza. Tuż nad powierzchnią morza opasywał ją wąski pomost, rodzaj galeryjki chronionej niską balustradą. Poza tym ściany

konstrukcji były gładkie i ślepe. Przykrywała je lekko wypukła płyta, zwieńczona talerzami anten. Na wprost naszego punktu obserwacyjnego czernił się owal otwartego teraz włazu.

Przebiegłem spojrzeniem przestrzeń dzielącą bazę od lądu i uwagę moją przykuł jakiś nieforemny kształt spoczywający nieruchomo na plaży, dwa lub trzy metry od brzegu. Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że ktoś porzucił tam spory, niezbyt wypchany worek. Ale to nie był worek.

Przez plecy przebiegł mi dreszcz. Powoli przeniosłem wzrok na Lutę i zrozumiałem, że od pierwszej chwili patrzy tylko w ten właśnie ciemny punkt na plaży. Nie o bazie myślał, zacinając wargi, jakby lękał się słów, które mogły zdradzić jego uczucia.

Mijały sekundy. Trwaliśmy bez ruchu, milczący, ukryci w płytkim zagłębieniu, pozornie bezpieczni, niewidoczni z morza i lądu. Mogliśmy tkwić tak dzień i dłużej. Gdyby na tym właśnie miało polegać nasze zadanie. I gdyby nie Fros.

Usłyszałem lekkie, stłumione westchnienie. Luta cofnął się krok niżej, przywarł do skały i zaczął ją okrążyć. Niebawem wyrósł przed nami pękaty korpus transera i wtedy dopiero dotarło do mnie, że noc mieliśmy już za sobą. Równina, którą przemierzaliśmy wczoraj jaśniała słonecznym blaskiem, jeśli uznać za taki fioletową poświatę wypełniającą ogrom sferycznej przestrzeni planety.

Luta zatrzymał się tylko na kilka sekund. Obrzucił spojrzeniem ciemny pancierz pojazdu, skinął głową, jakby; chciał powiedzieć, że wszystko w porządku i zaczął szybkim krokiem schodzić w dół zbocza. Przeszedł kilkanaście metrów, po czym puścił się biegiem.

Sto, dwieście, trzysta metrów. Na oczy spływał mi pot, butle tłukły niezdolnie w plecy, buty ciążyły jakby grunt pod nimi zamienił się w grzęzawisko. Ale przełęcz między dwoma wzgórzami, oddalonymi o jakieś pół kilometra od miejsca, gdzie zostawiliśmy pojazd, była tuż. Luta zwolnił. Chwilę jeszcze wspinał się pośpiesznie, jak biegacz, który po przekroczeniu linii mety musi wytracić pęd, po czym stanął, wyprostował się i obejrzał na mnie. Podszedłem i zatrzymałem się także. Kilka sekund oddychaliśmy głęboko. Wreszcie Luta odwrócił się w stronę przełęcz i skinął głową. Przytaknąłem. Podciągnąłem pasy stelaża i ruszyłem nie śpiesząc się pod górę. Po kilku krokach położyłem dłoń na uchwycie miotacza i przygarbiłem się. Jeszcze dwa, trzy metry i zza obłej grędy wyłoniły się kontury stacji. Znajdowała się teraz z boku, jakby bliżej lądu. Workowaty kształt na plaży był niewidoczny. Zakrywały go niskie, szerokie kopce, rozrzucone po nadbrzeżnej równinie.

Ostrożnie, niemal pełzając, cały czas ukryci za zboczami, podchodziliśmy do plaży. Wreszcie osiągnęliśmy miejsce, z którego ponownie odsłonił się widok na przedpole naszego dawnego punktu obserwacyjnego. Zatrzymałem się. Luta przypętlł bliżej i znieruchomiał również.

Workowaty przedmiot, spoczywający na żwirze nagle ożył.

Ujrzałem zarys głowy z widoczną białą plamą twarzy. Coś ścisnęło mi gardło. W tym samym ułamku sekundy poczułem dłoń Luty na ramieniu. Odwróciłem głowę, ale powstrzymał mnie pochwycony kątem oka ruch w oceanie.

Tak, to był człowiek. Człowiek? Ta istota, wynurzająca się powoli z wody, bez skafandra, bez kasku, choćby zwykłej maski pływackiej, jakby tylko po to, by zaczerpnąć w płuca haust czystego dwutlenku węgla? Człowiek?

Usłyszałem daleki, przyciszony głos. Odpowiedział drugi. Osobnik na plaży poruszył się ponownie. Usiadł z nogami sztywno wyrzuconymi przed siebie i czekał. Ten w morzu przyspieszył. Szedł już płycizną, ukazując pozbawione butów, okryte jakąś białą substancją stopy. Zatoczył się raz, potem drugi, potknął i przystanął na moment, żeby odzyskać równowagę.

Czekający uniósł się na łokciach. Chwilę balansował, jakby walcząc z ciężarem własnego ciała, po czym opadł z powrotem na żwir. Ten w morzu, widząc to, puścił się biegiem. Kilka sekund spod jego nóg tryskały jeszcze bryzgi wody, po czym wydostał się na plażę.

– Naprzód – usłyszałem i zanim zdążyłem pomyśleć, ujrzałem, że Luta, zaciskając dłoń na uchwycie miotacza, biegnie w stronę obcych. Ruszyłem za nim i dopiero przebywszy kilkanaście metrów, ujrzałem sylwetkę trzeciego mieszkańca stacji. Stał na otaczającym jej podnóże ganeczku i przechylony przez balustradę patrzył w kierunku brzegu. Jego głowa tkwiła w wydłużonym, białym kasku, przechodzącym dołem w luźny, jakby zbyt obszerny skafander. W pewnej chwili poruszył się. Pochwyciłem przelotny błysk. Pomyślałem, że zabawa zaczyna się na całego i przyspieszyłem, żeby dogonić Lutę. Ale nic nie nastąpiło, tylko nasłuch przyniósł dziwnie zniekształcone głosy, jakby dalekiego nawoływania. Za późno. Z rozpędu wbiegłem na zbocze ostatniego pagórka, przypominającego starą, przypłaszczoną wydmnę i usłyszałem znajomy głos, którego twarde brzmienie aż mnie zdziwiło:

– Leżeć spokojnie. Nic wam nie zrobię.

Luta stał bez ruchu. W wyciągniętej przed siebie dłoni trzymał miotacz. Człowiek, który wyszedł z morza, usiadł powoli na plaży, kilka metrów dalej. Podobnie jak pierwszy, nie próbował bronić się ani uciekać. Oparł się na łokciach, zwiesił głowę na piersi i znieruchomiał.

– Poczekaj tu – rzuciłem, nie zwalniając tempa. Przebiegłem koło nich, kierując się ku brzegowi. Nietrudno było dojść, dlatego Luta zmienił zamiar i zamiast podpłynąć po cichu do bazy, zaatakował od razu tych, którzy ją opuścili. Zorientował się, że nie są zdolni do stawienia nam czoła. W ich ruchach widoczne było osłabienie, zachowywali się jak ludzie skrajnie wyczerpani lub dotknięci ciężką chorobą. Pobieżny rzut oka wystarczał, żeby zdyskwalifikować ich jako przeciwników. Przynajmniej w ich obecnym stanie. Chodziło przecież o to tylko, żeby nie zdążyli schronić się w bazie. Mogliśmy mieć pewność, że ich ubiegniemy.

Co innego ten trzeci. Czuję już pod stopami kilkucentymetrową warstwę wody, kiedy zniknął w otwartym włazie.

– Stój! – krzyknąłem, podnosząc miotacz. Byłem już nie dalej niż o sto pięćdziesiąt metrów od kilkustopniowej drabinki, wyprowadzającej na galerię. Człowiek w skafandrze zawahał się. Chwilę stał nieruchomo, wypełniając sobą cały obrys wejścia, po czym nagle, jakby coś postanowił, wychylił się i sięgnął do uchwytu zamka. Wtedy strzeliłem. Nie w niego. Pociągnąłem równo po ścianie konstrukcji dwa metry od krawędzi włazu. Poskutkowało. Znieruchomiał na moment, następnie skurczył się, jakby zmałał, postąpił krok do przodu i oparł ręce na balustradzie. Nie zatrzymując się dałem znak ręką, żeby tak czekał, dopóki nie przyjdę. Sięgnąłem do reduktora i odkręciłem zawór. Kiedy poczułem, że bluza mojego skafandra wypełnia się powietrzem, upadłem na wodę i z wysoko uniesionym miotaczem, skierowanym cały czas w stronę postaci na galerijce, popłynąłem w kierunku stacji. W pewnym momencie usłyszałem w słuchawkach, a potem przez wzmacniacz nasłuchu narastający, wysoki dźwięk. Spojrzałem w górę. Znad wzgórz trysnęła świetlista smuga. Dobiegł mnie charakterystyczny, urywany gwizd automatów sygnałowych i zaraz potem spokojny głos Luty:

– Daj spokój sondom. Możesz już mówić... Zrozumiałem, że Fros nie wytrzymał napięcia i kiedy czujniki dały mu znać, że któryś z nas otworzył ogień, wystrzelił jednak aparat zwiadowczy.

– Widzisz mnie? – spytałem. – Jak będziesz grzeczny, to także sobie popływasz.

– Widzę – odpowiedział poważnie, lekko zachryplym głosem. – Co się stało?

– Mamy ich – powiedział Luta. – Zaprogramuj automaty i przyjeżdżaj.

– Jednym wozem? – spytał Fros. Wydało mi się, że w jego głosie zabrzmiała ulga.

– Tak... albo poczekaj – zawahał się Luta – weź dwa łaziki. Może trzeba będzie kogoś podwieźć...

Dopływałem do stacji. Jej ściany piętrzyły się nade mną, widziałem już poszarzałą linię zanurzenia, zmatowiałe uchwyty balustrady, przewody anten. Widziałem także twarz człowieka stojącego przed wejściem. Za szybą dziwnego, nieforemnego kasku wydała mi się biała jak kreda. Nie patrzył na mnie. Jego wzrok błędził po wzgórzach, przez moment zatrzymał się na krążącej nad stacją sondzie, po czym wrócił do pozostałej na plaży grupy:

Uderzyłem nogami o najniższy stopień drabinki, przewinałem się i kilka sekund później byłem na górze. Nie opuszczając ręki z miotaczem postąpiłem w stronę czekającego mieszkańca układu Alfy.

Stałem. Wszystko przemawiało za tym, że stacja jest nasza. Wykonaliśmy pierwszy etap zadania. Nie okazało się to zbyt trudne. Raczej przeciwnie. Ta łatwość mogła dać do myślenia. W każdym razie mieliśmy ich.

– No, prędzej – dobiegł mnie niecierpliwy pomruk Luty. Spojrzałem w stronę brzegu i ujrzałem całą trójkę wspinającą się po zboczu w stronę samotnej skały.

– Co chcesz zrobić? – spytałem, chociaż zamiar Luty był aż nadto jasny. Doszedł widać do podobnego wniosku, bo nie odpowiedział.

– Sprawdziłem przekaźniki – w głosie Frosa brzmiało tłumione podniecenie. – Jadę.

Człowiek stojący obok mnie poruszył się. Odruchowo uniosłem wyżej miotacz, ale on potrząsnął głową, chwile robił coś przy kasku, po czym jednym szarpnięciem odsłonił twarz. Przyjrzałem mu się zdumiony i nagle zdałem sobie sprawę, że mam do czynienia z kimś bardzo młodym. Jego mocno pobladła, szczupła, by nie rzec wychudła, twarz mogła należeć do kilkunastoletniego chłopca. Poruszył wargami. Czekałem kilka sekund, po czym podkręciłem wzmacniacz.

– Jest nas czterech... – usłyszałem słowa wypowiedziane cichym, ale wyraźnym głosem.

Zdrętwiałem. Ojczysty język zabrzmiał mi tutaj, w ustach istoty oddychającej dwutlenkiem węgla, poruszającej się po tym niesamowitym świecie bez jakiegokolwiek osłony, jak prowokacja.

– Co mówisz? – spytał Luta.

– Nic nie mówiłem – odpowiedział Fros. Milczałem. Nie, nie był już chłopcem. Licho wie, ile ma lat. Może oni wszyscy tak wyglądają?

Oprzytomniałem nagle i rzuciłem ostro:

– Gdzie ten czwarty?

Człowiek z odsłoniętą twarzą wskazał gestem wewnątrz stacji.

– Czwarty? – mruknął Luta.

– Jaki czwarty? – zainteresował się Fros.

– Jeden siedzi w środku – wyjaśniłem. – Chcę tam wejść.

– Poczekaj.

Spojrzałem w stronę łądu. Pozostała tam trójka zniknęła z pola widzenia. Usłyszałem jakieś niezrozumiałe dźwięki i przyspieszony oddech Luty. Zrozumiałem, że są już przy wozie.

– Nie ruszaj się – upomniałem bez żadnego powodu tego, który stał obok. Uniósł głowę i utkwił we mnie pytające spojrzenie. Oczy miał duże, ciemnoniebieskie. Był w nich smutek. To stanowczo więcej, niż mogłem marzyć. Czy po to się leci do gwiazd, żeby spotykać takie spojrzenia?

Na zboczu zamajaczyła sylwetka Luty. Szedł szybkim krokiem, kołysząc ramionami. Zawsze

tak chodził. Ręce zwisały mu luźno wzdłuż ciała. Były puste. Jego miotacz tkwił na swoim miejscu, w zapiętej kaburze.

Kiedy wchodził w wodę, mącąc jej zielonkawą powierzchnię, z przełęczy wzbił się obłok kurzu. Aż tu dobiegł jęk pracujących na maksymalnych obrotach silników. Fros nie żałował łazików. Wyleciał na przełęcz jak na wyścigach, odbił się od nierówności gruntu i szerokim łukiem poleciał w dół.

– Potłuczysz się – burknąłem.

– Kto... aha – zorientował się Luta. – Zostaw – mruknął jeszcze. – Należy mu się trochę ruchu...

W tym samym czasie gdy Fros stopował na plaży, ponownie wzbijając chmury kurzu, Luta dopłynął do drabinki. Pomogłem mu wejść i przepuściłem go, pozostając przy władze.

– Prowadź – rzuciłem, wskazując człowiekowi z odkrytą twarzą wewnątrz korytarza. – I spokój – dodałem. Rozumiesz?

Skinął głową. Kątem oka pochwyciłem spojrzenie Luty. W jego wzroku, kiedy przyglądał się nieznanemu, błysnęło zaciekawienie. Twarz miał pogodną. Przeszło mi przez myśl, że niewiele brakuje, a uśmiechnąłby się do niego. Nie wiem czemu wprawiło mnie to w rozdrażnienie.

Wewnątrz stacji panowały ciemności. Przed sobą widziałem tylko plecy i ślepy tył kasku tego w skafandrze. Z bliska zresztą ten skafander okazał się zwykłym roboczym kombinezonem, uszytym z jakiegoś syntetycznego materiału o nie najlepszych chyba właściwościach izolacyjnych. Był pozbawiony jakiegokolwiek aparatury.

– Luta, Mur – odezwał się Fros. – Co u was?

– Zostań tam, gdzie jesteś – usłyszałem odpowiedź. – No, dobra – ciągnął Luta – tylko spokojnie... ręce przed siebie...

Dopiero po chwili zorientowałem się, że nie mówi już do Frosa.

– Mamy wszystkich – mruknąłem. – Są grzeczni jak dzieci.

Rozbłysły lampy.

Stałem i rozejrzałem się. Kabina była zbudowana w kształcie dość szerokiego pierścienia, jej wewnętrzne ściany opasywały biegnący w głąb filar.

Czujniki i ekrany rozrzucone po całym pomieszczeniu były wygaszone. Lampy jaśniały jeszcze kilka sekund, po czym zaczęły blednąć, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Światło przeszło w nikłe żarzenie, które wkrótce zgasło. Mrok wydał się teraz jeszcze bardziej nieprzenikniony.

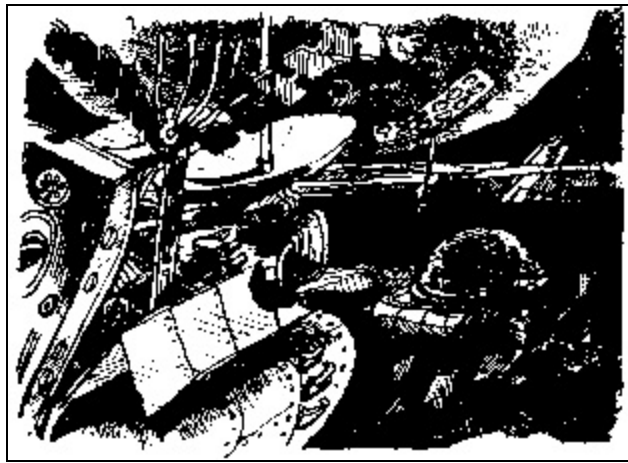
– Słuchaj, Fros – zabrzmiał z głębi głos Luty. – Zaprogramuj łaziki i zostaw je na brzegu, w przyzwoitej odległości jeden od drugiego. Niech prowadzą obserwacje i łączność z „Rubinem”. Sam weź transer i przyjedź tutaj. Tylko nie zagląдай do komory ładunkowej. Potrzebujemy ogniwo energetycznych i generatorów. Tu nie ma już nic. Nic... – powtórzył po chwili przyciszonym głosem.

W ciemności zamajaczył przede mną obcy, nedorzecznie wydłużony kask. Zapaliłem reflektor i ujrzałem białą jak kreda twarz obcego. Z głębi, spoza filaru dobiegły jakieś szmery. Usłyszałem jakby ciche pomrukiwania i nagle w białej plamie mojego światła czołowego ukazała się sylwetka człowieka. Podobnie jak ten obok miał na sobie workowaty kombinezon i kask. Poruszał się powoli, jakby niezdarnie. Za nim zajaśniał skafander Luty.

– Mamy wszystkich – powtórzyłem bezmyślnie. – Nie miałeś kłopotów?

Trwało chwilę, zanim odpowiedział: – Um...

– Są podejrzenie potulni – zauważyłem. – Nic dziwnego – głos Luty brzmiał chłodno – konają z głodu...



Po kliknięciu nastąpi przeskok do nagłówka

', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#00006C', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();" >

Po kliknięciu nastąpi przejście do części 1

', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#6C3800', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();" >

Po kliknięciu nastąpi przejście do części 3

', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#004800', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();" >

Rakieta stała na skraju małej skalnej platformy, u stóp stumetrowej ściany, ciemnej, poznaczonej głębokimi rysami i ospą białawych odprysków. Głęboko przechylona sprawiała wrażenie wraku. Obudowy jej dyszy do połowy wysokości tkwiły w skalnej masie. Gdyby załoga osadziła statek kilkanaście centymetrów dalej, nic nie ustrzegłoby go przed kapotażem.

– Coście najlepszego zrobili? – burknąłem.

Osobnik siedzący w środkowym fotelu pomiędzy mną a Frosem poruszył bezradnie głową. – Kto pilotował? Ty?

– A cóż to ma za znaczenie – Fros wzruszył ramionami. – Ktokolwiek tu siadł, pewne, że już nie wystartuje. Dałbym im dyplom tylko za to, że potrafili ruszyć to pudło z miejsca. Mają tam chyba muzeum..

– Poczekaj – przerwałem. – Niech odpowie.

Chwilę panowało milczenie. W końcu twarz obcego drgnęła. Jego wargi poruszyły się.

– Głośniej – warknąłem.

– Znaleźliśmy instrukcję... – powtórzył cicho, z wysiłkiem.

Spojrzałem na Frosa. Cofnął się w fotelu, wyprostował i wlepił wzrok w swojego sąsiada, jakby ten nagle zaśpiewał. Na jego twarzy odmalowało się niedowierzenie.

Znaleźli instrukcję, wyprowadzili statek na pole startowe i poleciecieli. Statek sprzed dwustu trzydziestu lat. Dość spojrzeć na konstrukcję dyszy i cudaczną kratownicę obejmującą długi, przypominający iglicę dziób. Chyba, że ten zabytek służył im przez cały czas. Ale w meldunkach przekazywanych ze stacji nie było jednej wzmianki, że Trzecia próbuje sięgać po sąsiednie planety.

– Latałeś już kiedyś? – spytałem. – Czy to premiera?

– Macie jeszcze zdolne do lotu statki? – uzupełnił Fros.

Mieszkaniec Alfy poruszył się, ale nic nie powiedział. – Kiedy po was przylecą? – mimo woli podniosłem głos.

Cisza. Powoli ogarniała mnie wściekłość. Uniosłem ramię. Wciąż patrząc prosto przed siebie, wziąłem rozmach...

– Zostaw! – głos Frosa załamał się histerycznie. Kątem oka pochwyciłem jego ruch i poczułem na przegubie dłoni uścisk jego palców. – Zostaw – powtórzył odrobinę ciszej. – To człowiek...

Chwilę siedziałem bez ruchu, po czym krótkim szarpnięciem uwolniłem rękę.

– To właśnie chciałbym wiedzieć... – burknąłem. Odczekałem jeszcze chwilę, następnie przebiegłem spojrzeniem czujniki i wstałem.

– Zostań tutaj – zwróciłem się do Frosa. – I nie rozczulaj się. Na brak niespodzianek i tak nie możemy narzekać. A ty pójdiesz ze mną – dodałem, muskając wzrokiem milczącą postać w środku.

– Niczego tam się nie dowiesz – mruknął Fros.

Nie odpowiedziałem. Przerzuciłem nogi przez burtę i zeskoczyłem na skałę. Odszedłem kilka kroków, stwierdziłem, że skała, choć lśni jak wyszlifowana, daje stopom dość pewne oparcie i odwróciłem się w stronę łazika.

Przybysz z Trzeciej zachowywał się tak, jakby po raz pierwszy w życiu przyszło mu zawierzyć siłę własnych mięśni. Położył się płasko na burcie i usiłował opuścić nogi, ale zaciśnięte na uchwytach dłonie odmówiły mu posłuszeństwa, zakołysał się i nie zmieniając pozycji, nie próbując nawet unieść głowy, spadł ciężko na ziemię. Dobiegł mnie przytłumiony pomruk Frosa i po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że różnice zdań na temat alfiańskiej kolonii, do których na

Ziemi wszyscy zdążyli już przywyknąć, mogą wraz z ludźmi przenieść się aż tutaj. Co do mnie, patrzyłem bez przykrości na tego „człowieka”, który gramolił się teraz u moich stóp, usiłując stanąć na nogach. Nie widziałem najmniejszego powodu, dla którego miałbym życzyć dobrego samopoczucia istocie, która zadała gwałt własnej ludzkiej naturze, aby tylko dopaść ziemską załogę, dyżurującą na sąsiedniej planecie. Nie mówiąc już o rodzicach, którzy podjęli się hodowli takiego tworu.

Podniósł się wreszcie, wyprostował i spojrzał na mnie.

W jego wzroku nie malowało się żadne ze znanych mi uczuć. Śladu bólu, zniecierpliwienia, protestu.

Odwróciłem się i bez słowa ruszyłem ku krawędzi urwiska, nad którym zatrzymaliśmy łązika. Jego ściana wznosiła się na wysokość mniej więcej dwudziestu metrów nad dnem skalnego wąwozu czy raczej szerokiej rozpadliny zasłanej płaskimi otoczakami. Wody nie było widać, ale wiosną musiał tędy spadać rwący potok.

Zejsście nie sprawiło mi kłopotu, niemal nad samo dno prowadziła skośna półka, którą od biedy dałoby się sforsować nawet terenowym pojazdem. Cztery czy trzy ostatnie metry pokonałem zjeżdżając po lekko tylko nachylonym filarku. Przekroczyłem dno parowu i odwróciłem się, aby sprawdzić jak radzi sobie nasz milczek, tym bardziej, że przekraczając krawędź urwiska zniknął Frosowi z pola widzenia. Szło mu nie najgorzej. Okraczył właśnie filarek i przystępował do zjazdu. Ale zwracając się w jego stronę, odruchowo przebiegłem spojrzeniem skalną ścianę, którą dopiero co opuściłem. Znieruchomiałem. Widok był tak niezwykły, że przez chwilę zapomniałem o wszystkim innym.

Krawędź, nad którą pozostał łązik, zaledwie odcinała się na tle zastępującego niebo, fioletowego odbicia antypodów. Ale już kilkanaście centymetrów niżej niemal poziomą linią biegła nieznacznie tylko pofałdowana wstęga kłującej wzrok żółci. W pierwszej chwili pomyślałem o mice, skała miała jednak barwę zbyt jasną, jej blask nie był dość czysty. Przypomniałem sobie, że skorupa globu obfituje w pierwiastki ziem rzadkich. Może jakaś szczególna żyła monacytu?

Ale nie koniec na tym. Szerokim, tęczowym łukiem przecinał ścianę wybiegający z podłoża pas niebieskiego lazurytu, w szczytowym punkcie rozjaśniony jakby bladym złotem. W zamkniętym przez lazuryt półkolu widniała chropawa, pokryta setkami miniaturowych kraterów, czerwonawoczarna skała z grupy gabra. Niedorzeczność. Nie zdarza się tak bliskie sąsiedztwo tylu różnych formacji. W dodatku osadzonych jak w cieście w jakimś niemożliwym, ciemnofioletowym bazalcie.

Człowiek z Trzeciej uporał się z filarkiem i stanął obok mnie. Oprzytomniałem i zwróciłem się w jego stronę. Uderzył mnie wyraz jego twarzy. Była nie mniej blada niż o świcie, kiedy ujrzałem go po raz pierwszy. Ale teraz ożywiało ją uczucie graniczące z radością. Jego oczy jaśniały. Stał i patrzył w kolorową skałę przed nami jak artysta, któremu udał się obraz.

Ogarnął mnie chłód. Odstąpiłem o krok i wskazałem mu ujście niezbyt stromej żlebu, który, jak to dostrzegłem z kabiny łązika, wyprowadzał wprost pod statek. Obrzucił mnie przelotnym spojrzeniem, po czym bez jednego gestu ruszył we wskazaną stronę. Woląłem go mieć przed sobą, przynajmniej jak długo nie wydestaniemy się znowu na otwartą przestrzeń.

Żleb nie był piarzysty, szło się nim wygodnie jak po schodach. Kiedy podniosłem głowę, widziałem tylko plecy kroczącego coraz wolniej obcego. Jeszcze ostatni, gładki, jakby ociosany głaz i stanęliśmy na skalnej półce. Teraz dopiero wyprostowałem się, zaczerpnąłem głęboko

tlenu i rozejrzałem.

Średnica półki nie przekraczała trzydziestu metrów. Jej południowa krawędź biegła nad kolorowym wąwozem. Po przeciwnej stronie, bezpośrednio z płaszczyzny strzelała w górę pionowa lub nawet lekko przewieszona ściana. Za plecami wąskie u góry ujście żlebu. Prześwit między skalnym murem a korpusem rakiety ukazywał rumowisko głazów spadające w przepaść. Za rozpadliną, nieco poniżej poziomu platformy widniał prostokąt łazika z jasną plamą kasku Frosa. Dookoła, jak okiem sięgnąć, postrzępione skalne igły, potężne baszty, najeżone śmigłymi szczytami. Pasma musiało być młode, wyrastało z nadmorskiej równiny nie poprzedzone żadnym pogórzem, żadnymi pokrytymi roślinnością upłazami.

W takim terenie, wśród gór, od których nawet teraz biła dzika surowość i groza, lądowali przybysze z Trzeciej. Było to przedsięwzięcie szalone i pozbawione wszelkich szans. Nazwałbym je samobójczym, gdyby istniał choć cień podejrzenia, że wyboru lądowiska dokonano świadomie.

Postąpiłem kilka kroków do przodu. Powierzchnia płyty opadała w stronę rakiety szerokimi stopniami o niskich, zaokrąglonych brzegach, tworząc jakby zastygłe jeziorko. Zdobiły ją rozpięchłe promieniście zagłębienia, tu i ówdzie zalane skalną masą. Zszedłem jeszcze kilka metrów i dotknąłem pancerza. Nie musiałem wysilać pamięci, aby przypomnieć sobie budowę statków tego typu. Opisy sprzętu pierwszej wyprawy emigracyjnej były dostatecznie rozpropagowane w setkach tysięcy przeróżnych publikacji, od podręczników szkolnych do plakatów i pamiątkowych holografii. Jeszcze mniej trudu kosztowało odtworzenie sytuacji zaistniałej przy lądowaniu. Bijąc nieprzerwanie z dyszy głównego ciągu, statek roztopił warstwy skały i wżarł się w nie rufą na głębokość co najmniej dziesięciu metrów. Jego korpus był teraz nienaturalnie skrócony, ale pomimo to w porównaniu z naszymi maszynami krążącymi po wszystkich możliwych orbitach układu słonecznego, wydawał się ogromny. Dziób ginął niemal z pola widzenia, kładąc się na stumetrowej skalnej ścianie niby wskazówka gigantycznego zegara słonecznego. W takich cygarach ruszyli ludzie ku gwiazdom.

Nie musiałem tu przychodzić. Dość było rzucić okiem z kabiny łazika, aby przekonać się, że co do tego przynajmniej, powiedzieli prawdę. Statek, którym przybyli ze swojej ziemi, nie wróci tam nigdy. Jego pancerz nie otrze się już o atmosferę, by runąć w próżnię. O wyrwaniu rakiety z topieli skalnej w tych warunkach i tym otoczeniu mógł pomyśleć tylko wariat. Nie mówiąc już, że przeniesienie stąd statku w pozycji pionowej na jakikolwiek teren, z którego od biedy dałoby się startować, przekraczało możliwości nawet ziemskich ekip ratowniczych wyposażonych we wszystkie konstrukcje pomocnicze. Nie. Ta czwórka zostanie na tym globie, otaczającym ich zewsząd jak najprawdziwsza pułapka. Oczywiście jeżeli naprawdę tym statkiem przybyli z Trzeciej. I jeżeli oprócz niego nie wylądowały tu inne. Nie wylądowały lub też wylądują za kilka dni czy tygodni.

Tę ostatnią ewentualność zdawał się jednak wykluczać stan, w jakim zastaliśmy obcą załogę. Pozbawieni energii, nie potrafili uruchomić ani pieców wodnych, ani syntetyzatorów w szybie aprowizacyjnym. Dzień po dniu, godzina po godzinie ich organizmy dopalały się jak nie podsycane ogniska. Przystosowani niczym zwierzęta, gorzej: rośliny, do zabójczego dla ich rasy środowiska, umierali po prostu z głodu.

Wodziłem spojrzeniem po chropawym, wyżarzonym na kość pancerzu i nagle, najzupełniej niespodziewanie, obudził się we mnie pilot. Zrobiło mi się żal statku.

– Słyszeliście coś o zimnym lądowaniu?! – spytałem ze złością. Zwrócił twarz w moją stronę. Jego brwi powędrowały do góry. Czekał.

– Nic nie wiesz, prawda?! – wysyczałem. – Zaprowadzili cię do rakiety, wcisnęli w rękę instrukcję i uruchomili zapłon. Nie spytałeś, czy oprócz tego tutaj uchował się u was bodaj kawałek innego statku. Pojęcia nie miałaś, kogo tu spotkasz! Przyleciałeś po prostu pooddychać dwutlenkiem węgla, bo twoi rodzice doszli do wniosku, że powietrze jest już za bardzo ludzkie! Czysty przypadek, że akurat tutejsza atmosfera to nic innego jak dwutlenek i że na żadnym innym globie oprócz tego nie było ziemskiej stacji. Gadaj, albo...

– Słuchaj, Mur – w głosie Frosa brzmiał źle maskowany niepokój – musimy wracać. Luta ma trzech na karku... może z nich uda się coś wycisnąć.

– Ja z nich wycisnę – burknąłem. – Tylko w średniowieczu nie wolno było przeprowadzać doświadczeń na zwierzętach...

– Nareszcie to usłyszałem – odezwał się nagle cichy głos obok mnie. Wydawał się ledwie słyszalny. Może dlatego, że nie przenosiły go fale radiowe, a mikrofony bezpośredniego nasłuchu.

– Co usłyszałeś? – warknąłem.

– Wracajcie już – powtórzył Fros. – Luta może mieć kłopoty...

– Od pierwszej chwili – głos obcego zabrzmiał odrobinę żywiej – zastanawiało mnie wasze zachowanie. Uruchomiliście aparaturę. Daliście nam jeść. Próbujecie z nami rozmawiać, zamiast wyrzucić nas na ląd i zatrzasać za sobą właz. To coś nowego w naszych wzajemnych stosunkach, prawda? Wiedziałem, że prowadzicie jakąś grę. Teraz zrozumiałem. Szukacie dawnej załogi stacji. Spodziewacie się czegoś od nas. Ale nie potraficie zdobyć się na cierpliwość. Nie otrzymując od razu potrzebnych informacji, mimo woli zaczynacie mówić waszym zwykłym językiem. Niepotrzebnie się trudzicie. O sprawach dotyczących Miasta nie dowiecie się od nas niczego. I tak tam nie wrócimy. A tych ze stacji poszukajcie raczej u siebie... Urwał. Chwilę łapał oddech, po czym zakaszłał głucho. Na jego czole załśniły kropelki potu. Mówienie sprawiało mu wyraźną trudność. Zauważyłem także, że kiedy otwiera usta, u nasady szyi, pod kołnierzem kombinezonu, występują mu jakieś zgrubienia czy narośle, jakby pęcherze. W połączeniu z delikatnymi rysami jego twarzy, spojrzeniem, brzmieniem słów, było w tym coś odrażającego.

Ale w tej chwili zaabsorbowało moją uwagę tylko to, co usłyszałem. Nieporozumienie. Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć i nagle przyszło mi na myśl, że nie ma sensu się śpieszyć. Na wyjaśnienia zawsze będzie czas. Może jako przedstawiciele ich konkurencyjnego ośrodka dowiemy się więcej niż solidarnie ignorowani Ziemianie. Jeżeli, oczywiście, ta ledwo żywa istota, która tak nieudolnie gospodarowała w naszej stacji, nie jest po prostu sprytna. Nieporozumienie mogło być pozorne, a wszystko, co usłyszałem, najzwyczajszym kamuflażem. Zobaczymy.

– Co on powiedział? – zainteresował się Fros.

– Nic takiego – odburknąłem. – Jest zdziwiony, że z nimi rozmawiamy, zamiast prychnąć z obrzydzenia wywieźć ich na jakąś pustynię i tam zostawić...

Trwało chwilę, zanim Fros połapał się, o co chodzi.

– Mur, powiedz mu...

– On wie wszystko, co trzeba... na razie – przerwałem. Mówiąc równocześnie do nadajnika i mikrofonów zewnętrznych, nie chciałem wdawać się w żadne tłumaczenia. – Przecież zniszczyliśmy nasze statki – zwróciłem się do mieszkańca Trzeciej – prawda? Jeżeli jest tak, jak mówisz, to nas tu po prostu nie ma. Co o tym myślisz?

Milczał dłuższą chwilę, zanim odpowiedział:

– Jesteście... A więc macie statki. Zbudowaliście nowe...

– A wy ich nie budujecie?

Cisza. Obcy odwrócił głowę. Jego twarz znalazła się w cieniu rakiety. Biała jak kreda, wychudła twarz o dużych, spokojnych oczach. Poczulem ponowny przyptyw rozdrażnienia. Raz jeszcze powędrowałem wzrokiem wzdłuż kadłuba do opinającej dziób kratownicy. Jej szczyt zlewał się z ciemniejącą u góry skałą. Ta z kolei jakby wrastała w jakieś góry czy pogórze zwisające z zenitu zamiast chmury. Miły kraj, nie ma co mówić.

Kilka metrów poniżej miejsca, gdzie zaczynało się zwięźnienie dziobu, widniał w korpusie obrys wjazdu. Kłapa była lekko uchylona, jakby ostatniemu, który wyszedł z kabiny, przeszkodziło coś w jej domknięciu. Chętnie zajrzałbym do środka, by rzucić okiem na zespoły informatyczne i wyposażenie. Coś przecież musieli zrobić w ciągu tych dwustu trzydziestu lat. Ale w stanie, w jakim znajdował się statek, nie było co marzyć o dostaniu się na górę. Poszarpane prowadnice windy tkwiły wtopione dźwigarami w skałę. Platforma zwisała żałośnie mniej więcej w połowie wysokości kadłuba. Licho wie, jak stamtąd zleźli. Aby wrócić, musieliby zbudować rusztowanie długości co najmniej czterdziestu metrów. Bez narzędzi i energii było to przedsięwzięcie całkowicie nierealne. Zresztą kto wie, może przyjdziemy tu jeszcze, kiedy staniemy się już zwykłą załogą stacji badawczej.

Odwróciłem się i bez słowa ruszyłem w stronę żlebu. Przed wejściem na przeciwległą ścianę wąwozu czekałem na naszego chudzielca i pomogłem mu pokonać kilkumetrowy filarek. Inaczej mówiąc, wypchałem go do góry jak worek. Skośną półkę przemierzył już o własnych siłach. – Siadajcie – ucieszył się Fros, kiedy ukazaliśmy się nad krawędzią kolorowej ściany.

– Dalej – burknąłem, nie patrząc w stronę ciężko dyszącego obcego. Ten posłusznie podszedł do łazika, zacisnął dłonie na krawędzi burty i niezgrabnie podskoczył. Spróbował ponownie z większym rozmachem, odbił się brzuchem od obudowy i niechybnie poleciałby jak długi na plecy, gdyby Fros nie chwycił go za rękę i mocnym szarpnięciem nie wciągnął do kabiny. Przybysz z Trzeciej obrzucił go spojrzeniem, w którym odmalowało się zdziwienie. Wzruszyłem ramionami i jednym wyrzutem ciała znalazłem się w fotelu.

– Czemu powiedziałeś... – zaczął niepewnie Fros – to znaczy, skąd wiesz, że on nas uważa za...

– Jedź już – przerwałem zimno. – Sam mówiłeś, że Luta czeka. Tu nie mamy nic więcej do roboty... ani do gadania – dodałem.

Przyglądał mi się chwilę z nie ukrywaną dezaprobatą, po czym westchnął, pochylił się i zapalił silnik.

Całą przestrzeń dzielącą nas od wybrzeża przebyliśmy w milczeniu. Nie trwało to długo. Mieszkańcy Alfy usiedli czy raczej spadli w odległości niespełna sześćdziesięciu kilometrów od bazy. Jeśli kierowali się namiarem, nie wystawili sobie najlepszego świadectwa jako nawigatorzy. Tak czy owak zresztą rozbili statek. Trudno uwierzyć, by po tym wszystkim zdołali nie tylko dotrzeć do miejsca przeznaczenia, ale w dodatku opanować strzeżoną przez automaty stację. Nawet jeśli jej załoga ruszyła akurat w teren.

Fros wywołał Lutę. Odpowiedź przyszła natychmiast. Łączność, która z niewiadomych powodów wygasła w sąsiedztwie gór, działała znowu sprawnie.

Luta nie miał nam wiele do powiedzenia. Oznajmił, że u niego wszystko w porządku i dodał, żebyśmy pogonili łazika, jeśli nie chcemy spóźnić się na kolację.

Wzmianka o kolacji była na miejscu. Obaj z Frosem od rana nie mieliśmy nic w ustach. Widać nie mnie jednemu przyszło to na myśl, bo łazik zwiększył nagle szybkość. Linia brzegowa oceanu rosła w oczach. W głębi, tam gdzie przestrzeń wodna zakrzywiała się, przechodząc w ścianę

kuli, majaczyły ciemnoróżowe smugi chmur. Dzięki nim w krajobrazie zaszła zmiana, jakbyśmy nagle ujrzeli coś znajomego i dlatego chyba pomyślałem, że wracamy do domu.

Transer, w którym opuściliśmy stację, nie czekał na plaży. Jego mroczny, pękaty korpus tkwił przycumowany do galeryjki, tuż przy stopniach schodzących do wody. Niebawem jednak kłapa wjazdu uchyliła się. Ujrzeliśmy znajomą sylwetkę w jasnym skafandrze. Po chwili siedzieliśmy już na pancerzu trzymając się sterczących z wieży uchwytów. Ulokowałem się tak, żeby zagrozić sobą obcemu dostęp do wody. Nie zapominałem, że czuje się w niej równie swobodnie jak my na promenadzie w cichym uzdrowisku.

Do kabiny wszedłem jako ostatni. Zerknąłem na Lutę, który zdążył się już rozebrać po powrocie z galeryjki, i bez zastanowienia zrzuciłem kask. Zaczerpnąłem głęboko powietrza i wtedy dopiero pomyślałem o naszych nieproszonych gościach.

Siedzieli w fotelach, przysuniętych do długiego, półkolistego stołu. Krzyżujące się na ich piersiach pasy były ciasno spięte za oparciami, ale ręce mieli wolne. Na blacie stołu przed nimi stały puste naczynia. Nie wiodło im się najgorzej. Przyjrzałem się ich twarzom. Były zmienione. Ustąpiła z nich bladość, wydawały się zdrowsze i pełniejsze. Ich oczy ożyły. Wszyscy trzej mieli bujne, ciemne włosy spadające nisko na kołnierze kombinezonów. Żaden z nich nie miał na głowie kasku. Oddychali tlenem.

– Uhm – mruknął Luta, pochwyciwszy moje spojrzenie – tego im było trzeba. I tego – wskazał opróżnione naczynia.

Uśmiechnąłem się. Nie był to miły uśmiech.

– A jednak – rzuciłem. – Czytałem kiedyś o chłopcu, którego wychowały wilki i który był bardzo dumny z tego, że jest jednym z nich. A potem nie mógł żyć ani w lesie, ani wśród ludzi. A przecież nawet wilki oddychają tym samym powietrzem co my...

– Nie zawsze – usłyszałem cichy głos za moimi plecami. Obejrzałem się niechętnie i napotkałem wzrok tego, który towarzyszył nam w drodze do ich statku. – Nie zawsze – powtórzył. Jego twarz nabierała powoli kolorów. W oczach pojawił się jakby ślad uśmiechu.

– W raketach oddychacie na przykład niemal czystym tlenem. Gdyby nie to, ten układ do dziś byłby niezamieszkały... – Szkoda – warknąłem – że nie pomyślano o tym wcześniej. Bez was mogło tu być całkiem znośnie.

– Tak myślisz? – spytał spokojnie jeden z obcych, siedzących przy stole. – Nie wiem. Uważam, że myśl ludzka toruje sobie w kosmosie drogę tylko razem z człowiekiem. A trudno przypuścić, byśmy kiedykolwiek potrafili stworzyć sztuczną atmosferę w całym wszechświecie.

– Aposto! myśli! – parsknąłem. – Z wbudowaną aparaturą fotosyntezy i skrzelami! Rozbierz się! – rzuciłem nagle do tego, który stał przy mnie.

Mieszkaniec Alfy zmarł.

– Na co czekasz?! – wysyczałem. – Zrzucaj ten worek!

– Mur, zwariowałeś? – obruszył się Fros.

– Spokojnie, chłopcy – głos brzmiał tak, jakby Luta właśnie zasypiał.

Ręka skoczyła mi do miotacza.

– Słyszałeś?!

Twarz obcego zmartwiała. Jego ręce poruszały się powoli, jakby każda z nich dźwigała żelazną kulę. Centymetr po centymetrze ściągał zaczep zamka, biegnącego wzdłuż dziwnego, jakby lepkiego ściegu.

– Od kiedy nie jadłeś? – usłyszałem za sobą przyciszony głos Frosa. Odpowiedziało milczenie. To było jedno z pytań, na które uparcie odmawiali odpowiedzi. Nie chcieli, abyśmy wiedzieli,

kiedy weszli do stacji. Inaczej mówiąc od jak dawna siedzą na Drugiej.

Tak mógł być zbudowany ziemski chłopak. Powiedzmy, szesnastolatek. Niezbyt wysportowany i raczej słabowity. Gdyby nie to, że takich chudzielców nie spotyka się nawet wśród ciężko chorych chłopców. I gdyby nie zbiegające spod szyi ku żołądkowi podługowate zgrubienia, pokryte płatami luźnej, jakby naciągniętej skóry.

Dłuższy czas nie odrywaliśmy od niego oczu. Nawet Fros zapomniawszy o protestach, postąpił dwa kroki do przodu.

– Chętnie obejrzałbym to od środka – mruknąłem w końcu. Luta poruszył się.

– Przemówił bionik – powiedział spokojnie. – No, dość tego – zwrócił się do nagiego chudzielca. – Ciepło tu, ale i tak się nie opalisz. Ubieraj się. Kolacja czeka.

Obcy bez pośpiechu zaczął naciągać kombinezon. Wzruszyłem ramionami i podszedłem do stołu. Fros powstał jeszcze chwilę, po czym westchnął ciężko, potarł twarz palcami, jakby spędzając z niej resztki snu i niezbyt przytomnym wzrokiem potoczył po kabinie. Luta wskazał mu miejsce przy stole.

– Zjedzcie – odezwał się po chwili – to coś wam pokażę. – Siadaj – rzucił za siebie, nie oglądając się.

Chudzielec dołączył do swoich, którzy scenę, jaka przed chwilą się rozegrała, przyjęli bez jednego słowa czy gestu i usiadł w fotelu. Luta mruknął coś niezrozumiale, podszedł do niego od tyłu i przywiązał do oparcia.

– Jedz – rzucił, podsuwając mu menażkę. – I niech ci nie odbiera apetytu ten drobiazg – wskazał naciągnięte pasy. – Sam rozumiesz, że nie chcemy, aby spotkało nas to, co poprzednią załogę...

– Właśnie – rzucił Fros, z ustami pełnymi koncentratu. – Czyli co mianowicie?

– Spytaj – powiedziałem z przekąsem. – Przy deserze może raczą ci odpowiedzieć...

– Oni nas biorą za... – zaczął Luta.

– Wiem za co nas biorą – przerwałem. Proponuję zostawić to na później.

Luta uniósł brwi i utkwiał we mnie wzrok. Jego twarz wyrażała wahanie.

– Tak myślisz... – mruknął. – Nie wiem... – dodał jakby do siebie. – Wiecie – zmienił nagle ton – ta zielenina w morzu to nic innego jak plankton. Przywieźli ze sobą jakieś kolonie i pożywki. Jeszcze kilka tygodni, a to oni nas mogliby nakarmić.

– Do tego czasu – stwierdził Fros – umarliby z głodu. Przełknąłem ostatni kęs i zwróciłem się do Luty:

– Miałeś nam coś pokazać?

Luta pokiwał głową, omiótł spojrzeniem milczącą czwórkę po przeciwnej stronie stołu i ruszył w stronę pulpitu pod ekranem łączności. Chwilę robił coś przy przystawce zapisującej, następnie wyprostował się i wdusił klawisz.

– Nie tyle pokazać – mruknął – ile dać do posłuchania. Macie...

Ekran ożył. W jego górnej części przeskoczyły jakieś liczby, po czym tarczę pokryły świetliste, falujące linie. Równocześnie odezwał się sprzężony z aparaturą głośnik.

„...zostałem w kabinie” – mówił przyciszony głos, którego charakterystyczne brzmienie było nam od kilkunastu godzin aż zbyt dobrze znane. – „Dar i Lon uruchomili wreszcie mechanizm wznoszący i stacja wynurzyła się na powierzchnię. Ale nie mieli już siły, by wspiać się po filarze, i poszli odpocząć na brzeg. W tej samej chwili ze wzgórz wypadli Nowi. Było ich dwóch. Obezwładnili Dariego i Lona, po czym ostrzelali bazę. Zara bał się, że ich zabiją, nie stawiał oporu. Nie mogę zatopić stacji. Są już w kabinie. Zróbcie coś, jeśli możecie. Wchodzi Zara...”

Z głośnika dobiegł cichy zgrzyt i nastąpiła cisza. Luta odczekał chwilę, po czym ponownie pochylił się nad pulpitem. Ekran zgasł jak zdmuchnięty.

– Co oni robili pod wodą? – spytał Fros.

– Siedzieli tam kilka dni. Tak sądzę, bo nie chcą powiedzieć – Luta wzruszył ramionami. – Pozbawieni dopływu energii nie umieli z kabiny uruchomić podnośnika. Tymczasem ten, jak wiecie, działa samoczynnie. Wystarczy zwolnić zaczepy. Wyszli na zewnątrz i udało im się. Ale tak się przy tym napracowali, że nie mieli już siły powiedzieć nam „dzień dobry”...

– Rozumiem! – wykrzyknął Fros. – Namiar... Luta skinął głową.

– Tak. Przyciskali po kolei klawisze, łączyli przewody, uruchamiali jeden po drugim wszystkie zespoły. W końcu coś osiągnęli. Może niezupełnie to, o co im chodziło, ale w ten sposób my w „Rubinie” odebraliśmy nagle czysty kod wywoławczy stacji. Po dłuższej przerwie ogniwa zawsze trochę się podładują. Pamiętajcie, że kiedy weszliśmy tutaj, wystarczyło nawet energii, by zapalić lampy. Nie na długo wprawdzie, ale zawsze. Niestety – Luta odwrócił się, wolnym krokiem podszedł do stołu i stanął na wprost milczącej czwórki. – Niestety – powtórzył – jak raz zablokowali pulpit z nadajnikiem namiarowym, tak go już zostawili. Depesza, której wysłuchaliście, ostatnie wołanie o ratunek z pokładu napadniętej stacji w chwili, kiedy najeżdźcy byli już o kilka kroków, jest w tym coś heroicznego, nie uważacie? – wtrącił – otóż ta depesza nigdy nie dotarła do adresatów. Nie powtórzyła jej żadna z anten skierowanych w stronę Trzeciej. Zrobiła tylko: pi-pi-pi i zamrugła zielonym oczkiem, jeśli przypadkiem w promieniu jakichś dwóch parseków tuła się zabłąkany statek... Tak, moi mili – pochylił się, oparł łokcie na stole i powiódł po nich spojrzeniem – udało się, ale nie ze wszystkim, jak mawiał jeden z moich przełożonych. Popatrzcie – ciągnął nie zmienionym tonem – to jest Zara, to Lon – kolejno wskazywał siedzących ruchem głowy – to nasz bohaterski łącznościowiec Kleen, w takim razie ty – zwrócił się do ostatniego z czwórki, tego który towarzyszył nam w wypadzie do rozbitego statku – będziesz Dary. Zgadza się?

Zagadnięty mierzył go przez chwilę spojrzeniem, po czym nieznacznie skinął głową. Skończył jeść i wyprostował się w fotelu, napinając wiążące go pasy.

– Pięknie – podjął Luta z uśmiechem. – Teraz kolej na nas. Ten tam – odwrócił nieznacznie głowę – nazywa się Fros. Logik – cybernetyk. Gdybyście chcieli jeszcze kiedyś porozmawiać z waszymi, zwróćcie się do niego. On nie wrzuci namiaru zamiast anteny. Ten – spojrzał na mnie – to Murky. Mówimy krótko: Mur. Bionik i pilot. Co do mnie, wiecie jak się nazywam. Jestem egzobiologiem i fotonikiem. Mam sześćdziesiąt lat i znam się na żartach, ale nie na wszystkich. A teraz, kiedy zawarliśmy już znajomość, posłuchajcie. Tylko dwie sprawy. Po pierwsze: w twoim radiogramie – zrobił ruch w stronę osobnika, którego przedstawił jako Kleena – użyłeś słowa „Nowi”. Chodzi zapewne o kolonistów, którzy przylecieli w drugiej ekspedycji. Stąd wnoszę, że wy jesteście wychowankami pierwszej. Zresztą, mniejsza z tym. Nowi! po blisko stu pięćdziesięciu latach oni są dla was ciągle jeszcze „nowi”! Jeśli się nie mylę, ta wasza skorupa ma powierzchnię o kilka tysięcy kilometrów większą niż Ziemia. Jest was, kochasiu, półtora miliona. Może mi powiesz, kiedy wreszcie, do wszystkich diabłów, przestaniecie żreć się ze sobą?! Czekał – uniósł dłoń – to jedno. Po drugie – ciągnął – to jest nasza stacja. My tu jesteśmy u siebie, nie wy. I nie przypominam sobie, żebyśmy kogoś zapraszali. Jak ktoś wejdzie do twojego domu – mówił dalej, nie spuszczać wzroku z twarzy Kleena – masz prawo żądać, by ci wyjaśnił, po co to zrobił. Zwłaszcza jeśli zastaniesz go zamiast przyjaciół, których tam zostawiłeś. Tę łupinę – tupnął w podłogę, która odpowiedziała głuchym, metalicznym echem – zbudowała Ziemia dość dawno temu. Jest bez mała w moim wieku. Przez cały ten czas ani razu

nie próbowaliśmy mieszać się w wasze sprawy. Nie wyściubiliśmy nosa za orbitę tego globu. Kolejne załogi przylatywały tu z wyraźnym zakazem szukania z wami kontaktu. Nie, to nie. Aż któregoś dnia stacja pustoszeje. Znałem tych trzech, którzy tu byli. Uczciwi badacze, nie jacyś awanturnicy. Przylatujemy my i kogo zastajemy? Uroczą czwórkę milczków. W dodatku z rozbitym muzealnym gruchotem i konających z głodu. No dobrze. Powiedzmy, że to nie wy. W takim razie kto? Kiedy? I dlaczego? A przede wszystkim gdzie oni są... jeśli żyją?...

Przy ostatnich słowach Luta zniżył głos. Zrozumiałem nagle, czemu to właśnie jego przysłali tu z nami. Z pewnością nie tylko dlatego, że przesiedział tu już te kilka lat. Przez całe plecy aż do karku przemarszował mi rój zimnych mrówek.

– Zrozumcie – podjął już normalnym tonem – my musimy wiedzieć, gdzie są ci, którzy tu byli i co się z nimi stało. Nawet jeśli nie wszystko wiecie, musimy z was wyciągnąć, co tylko się da. Po prostu nie mamy innej możliwości. A bardzo bym nie chciał – zrobił pauzę – zresztą – dodał szybko – nie będzie trzeba. Prawda?

Dłuższą chwilę panowało milczenie. Trwaliśmy bez ruchu, mierząc się nawzajem wzrokiem. Nie myślałem o niczym. Chciałem tylko, żeby wszystkie te wstępne ceregiele dobiegły wreszcie końca i żebyśmy mogli zająć się czymś konkretnym. A przede wszystkim pójść spać. Poczulem się nagle zmęczony. Nie wierzyłem, by jakakolwiek ojcowska tyrada mogła przynieść coś więcej niż stratę czasu.

– Pytałeś przedtem – usłyszałem cichy głos i dopiero kiedy ujrzałem twarz tego, którego nazywali Dary, zrozumiałem, że mówi do mnie – o nasze statki, czy latamy, jakie mamy przyrządy nawigacyjne i tak dalej. Potem kazaliście mi się rozebrać. Patrzyliście na mnie tak, jakbyście nic nie słyszeli o naszej biologii molekularnej... o inżynierii genetycznej. Teraz on – wysunął brodę w kierunku Luty – mówi, że jesteście z Ziemi. Jeżeli to prawda...

– Widzisz? – zawołał Fros. – Mówiłem..

– Oczywiście, że prawda – mruknął spokojnie Luta.

– Jeżeli tak – podjął Dary – to nie dziwcie się, że nie chcieliśmy z wami rozmawiać. Nie znacie panujących u nas stosunków...

– Coś niecoś wiemy – burknąłem.

– Coś niecoś, tak – zgodził się. – I nie spodziewajcie się, że jeżeli nie jesteście z miasta Nowych, to dowiedziecie się od nas czegoś, co dotyczy nas samych. Nie mamy żadnej gwarancji, że nie nawiążecie z nimi kontaktu, a może i więcej... przecież oni są wam bliżsi niż my. Blisko sto lat różnicy. Ta różnica właśnie pouczyła nas, w jak diametralnie rozbieżnych kierunkach rozwijają się nasze cywilizacje... I jeżeli nawet waszą od Nowych dzieli następne sto lat...

– Sto czterdzieści dziewięć – mruknął Luta.

– ...Czy sto pięćdziesiąt – ciągnął przedstawiciel któregoś tam pokolenia pierwszej fali gwiazdnej emigracji – to ta z kolei różnica obchodzi tylko was i ich. Dla nas oznacza ona nieistotne niuanse. Dość było tego, co spotkało nas ze strony przybyszów z Ziemi... muszę ich tak nazywać, bo tak ich witaliśmy... to znaczy moi dziadkowie. Wiecie już mniej więcej, co z tego wynikło...

– Wasze doświadczenia... – zaczął Fros, ale Luta przerwał mu niecierpliwym ruchem ręki.

– Zostaw – rzucił. – O filozofii pogawędzimy kiedy indziej. Mów dalej – skinął w stronę Dariego.

– Już kończę. Nie wiem, co na to powiedzą ci, z którymi tu przyleciałem – posłał przelotne spojrzenie w stronę swoich milczących towarzyszy – ale ja o naszych wewnętrznych sprawach nie będę z wami rozmawiał. To moja odpowiedź na twoje pierwsze pytanie – zwrócił się do

Luty. – Natomiast co się tyczy ziemskiej załogi tej stacji i jej losu, mogę cię zapewnić, że żaden z nas ani w ogóle nikt z naszego miasta nie ponosi odpowiedzialności za to, co się stało, cokolwiek to było. Kiedy przyszliśmy tutaj, właz był otwarty, a w kabinie żywego ducha. Nie wiemy nic pewnego, co najwyżej snuliśmy pewne przypuszczenia... i nimi możemy się z wami podzielić. Ale przedtem musicie nas przekonać, że naprawdę przylecieliście z Ziemi. Pokażcie nam wasz statek. To wszystko.

Luta wyprostował się powoli. „Słowa... słowa... słowa...” – przemknęło mi przez myśl. Kto to powiedział? Bohater jakiejś klasycznej tragedii. Nie pamiętam. Stwierdziłem z zadowoleniem, że słowa przybysza z Trzeciej, nie wywarły na nas zbyt dużego wrażenia.

– Zgoda – powiedział Luta rzeczowym tonem. – Postaramy się was przekonać. Niech to będzie pierwszy akt. Bo jeszcze wy musicie przekonać nas, że nie mieliście nic wspólnego z tym, co spotkało tutejszą załogę.

– Rozumiem – odrzekł poważnie Dary.

Odruchowo skinąłem głową. Takie postawienie sprawy wydało mi się możliwe do przyjęcia. Na razie.



Po kliknięciu nastąpi przeskok do nagłówka

', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#00006C', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">

Po kliknięciu nastąpi przejście do części 2

', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#6C3800', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">

Po kliknięciu nastąpi przejście do części 4

', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#004800', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">

Wezwałem automaty. Platforma windy łagodnie nabierając szybkości spłynęła w dół. Nasłuch przyniósł dźwięk wysokiego, przerywanego sygnału. Sprężarki śluzy poszły w ruch.

Luta dotknął ramienia siedzącego obok niego człowieka z Trzeciej – w tlenowych skafandrach wydobytych dla nich z magazynów stacji stali się nie do rozróżnienia – po czym zwrócił głowę w stronę drugiego łazika, stojącego kilka metrów dalej.

– Jeden z was może pojechać ze mną na górę – mruknął. – Ale tylko jeden.

– Nie trzeba – padła odpowiedź. W słuchawkach głos obcego brzmiał dźwięcznie. Głęboki, niski głos człowieka, którego bądź co nie wyprowadzi z równowagi.

– Jestem tego samego zdania – powiedziałem półgłosem. – Wracamy? – rzuciłem głośno.

– Czy wasz statek – podjął z wahaniem obcy – jest przystosowany do poruszania się po powierzchni łądu?

Teraz go poznałem. Głos należał do owego niefortunnego łącznościowca, który postraszył Frosa kodem namiarowym, zamiast zawiadomić Trzecią o naszym przybyciu. Jak go przedstawił Luta? Kleen? Tak, Kleen.

– Nie widzę najmniejszego powodu – warknąłem – dla którego mielibyśmy wam...

– Nie – Luta nie poczekał nawet, aż skończę. – Nie – powtórzył. – Ale możemy wodować.

– Na ilu metrach? – zainteresował się inny głos. Usłyszałem śmiech Luty.

– Widzisz Mur – powiedział z udanym ubolewaniem.

– Robię, co mogę, a oni... – westchnął. – Nie, chłopcy, – podjął po chwili normalnym tonem – na teraz dosyć. Kolej na was.

Dłuższą chwilę w słuchawkach panowało milczenie. Nasłuch przynosił szelest przesypywanych ziarenek piasku.

Kiedy opuszczaliśmy ocean atmosfera była nieruchoma, jakby stężała. Może na tym globie wiatry wieją tylko w głębi łądu?

– Wracamy – odezwał się nowy głos. Tym razem nie miałem kłopotów z jego identyfikacją. – On ma rację – mówił Dary. – Im mniej będziemy o sobie wiedzieć, tym lepiej. Nie budujmy dróg tam, gdzie ma być cisza...

– Aha. Pora na sentencje – rzuciłem ironicznie. – Ale z tą ciszą to ci nie wyszło. Był czas, kiedy ktoś mówił do nas z tego układu. I to całkiem do rzeczy. A my nic, tylko nadstawialiśmy uszu. Tak jak teraz...

– Wiesz, co chciałem powiedzieć – w głosie Dariego zaszła nieuchwytna zmiana. – A wracając do tych, którzy mówili z tej planety – ciągnął – nie wy jedni nadstawialiście uszu...

– Do rzeczy, chłopcy – zabrzmiał senny pomruk Luty.

– Otóż to – podchwyciłem. – Jak mamy wracać, to wracajmy. Tu niczego nie wystoimy.

– Zawracam – zdecydował wreszcie Fros. Jego łazik ruszył, zatoczył ciasny łuk i pomknął w stronę wybrzeża. Nie czekając, aż Luta skończy przekazywać impulsy pokładowym automatom, podążyłem za nim.

– Powiedzmy im – odezwał się milczący dotąd Zara, kiedy od miejsca lądowania "Rubina" dzieliło nas już ładnych kilka kilometrów. – Wszystko jedno teraz czy w stacji. Szkoda czasu...

Jakiś czas nikt nie podejmował wezwania. Łazik trząsł niemiłosiernie, tocząc się po równinie zasłanej sterczącymi z ubitego pyłu głazami. Mimo to nie zwalniałem, żeby nie jechać w kurzu wzbijanym przez pierwszy pojazd.

– Dobrze – zaczął wreszcie Kleen. Jego głos nie brzmiał zbyt pewnie.

– Więc tak, jak... – urwał. Ponownie zapanowała cisza. Dałbym głowę, że chciał powiedzieć

"jak uzgodniliśmy" i w ostatniej chwili ugryzł się w język. Odruchowo poszukałem spojrzeniem Luty. Przymknął oczy i nieznacznie poruszył dłonią. Nie ulegało wątpliwości, że nasze myśli biegną tym samym torem. Obcy przesiedzieli całą noc w komorze magazynowej na najniższej kondygnacji, wśród skrzyń z częściami zapasowymi i zdemontowanych pojazdów. Mieli dość czasu, żeby przepuścić przez sito

wszystkie informacje, które ich zdaniem powinny nas zadowolić. Uzgodnić każde słowo. Dość było umieścić w ładowni jeden mikrofon, aby teraz podziękować im za łaskę. Niestety, żadnemu z nas nie przyszło to na myśl. Wiem nawet czemu. Przechwytywanie tachdarowych stożków i fal radiowych to zaszczytna i odpowiedzialna służba. Podłuch z odległości parseków. Ale przez ścianę? Żaden przyzwoity człowiek nie upadnie tak nisko. A my przecież uważamy się za przyzwoitych ludzi. Logika typowa dla naszego świata. Luta ma rację. Nie pozostało nic innego, jak pokiwać głową.

– Dary powiedział prawdę z tym nadstawianiem uszu – podjął po przerwie Kleen. – Odbieraliśmy wszystkie meldunki, jakie stąd szły na Ziemię. Nie powinno was to dziwić... – zająknął się z zakłopotaniem.

– Nie powinno – mruknął Luta – i nie dziwi. Mów dalej.

Myślę, że nie. Stacja utrzymywała z nami łączność otwartym kodem. Specjalnie, żeby nie dawać takim jak ci tutaj powodów do zniecierpliwienia.

– Wcześniej od was – w głosie Kleena nie wiedzieć czemu zabrzmiała ulga – zorientowaliśmy się, że stacja zamilkła. Mamy może nieco gorszą łączność, ale jesteśmy bliżej, prawda? – zawiesił głos, jakby czekał na odpowiedź.

Nikt się nie odezwał. Kleen pomilczał chwilę, zaczerpnął powietrza i mówił dalej:

– Otóż bezpośrednio przed zerwaniem łączności nasze odbiorniki przechwyciły jakieś silne nie zidentyfikowane impulsy. Przybywały stąd, z Drugiej. To ustaliliśmy z wszelką pewnością. A nawet więcej. Nasi astrofizycy doszli do wniosku, że źródeł tych sygnałów czy zakłóceń należy szukać w pobliżu waszej stacji, w promieniu nie przekraczającym trzystu kilometrów. To ostatnie wyliczenie byłoby oczywiście niemożliwe, gdyby nie fakt, że prowadząc od tylu lat nasłuch, mieliśmy dokładne dane dotyczące zależności zachodzących w komunikacji między obu globami. Jedynym wyjaśnieniem, jakie nam się nasunęło, była katastrofa. W pierwszej chwili myśleliśmy o eksplozji wewnątrz samej stacji. Ale operator dyżurujący przy najsilniejszej kierunkowej antenie odebrał zaledwie kilka nic nie mówiących trzasków, które od biedy

mogły oznaczać gwałtowne natężenie wiatru słonecznego. Właśnie porównując jego fotogram z zapisami innych, słabszych radiolatarni, zdołaliśmy w końcu zlokalizować źródło emisji. Oczywiście z dużą tolerancją. No i poleciliśmy. Bo jeśli nawet ten chwilowy wzrost promieniowania nie miał nic wspólnego z samą stacją, to wobec niemal równoczesnego zaniku łączności było jasne, że ucierpiała jej załoga. Uruchomiliśmy statek... był starannie pielęgnowany, głównie w celach szkoleniowych... – Kleen mówił coraz wolniej, robiąc przerwy między słowami – Wybrano nas czterech... zachowały się instrukcje, które uzupełniły nasze komputery...

– Wszystko jasne – przerwałem. – Szkoda tylko, że komputery macie o tyle gorsze od anten. Co to właściwie było?

– Nie wiem... – odpowiedział po chwili. – W końcowej fazie lotu straciliśmy stabilność... rezultat widziałeś. W ostatniej chwili Zara odwrócił raketę dziobem do góry, dając pełne przyspieszenie...

Tak. To przynajmniej brzmiało przekonująco.

– Otworzył dyszę głównego ciągu? – spytałem jeszcze, chociaż odpowiedź nasuwała się sama.

– Tak.

– I co? Sytuacja była taka, że zapomniał przejść na zimne paliwo? Czy w ogóle nie myśleliście już o niczym?

– Manewrował do ostatniej chwili – odparł cicho Kleen. – Spadliśmy metr od ściany, tuż nad przepaścią. Gdyby nie on...

– Mieliście masę szczęścia – odezwał się nagle Luta. – Gdyby Zara odzyskał stateczność kilka sekund wcześniej to znaczy gdyby wydało mu się, że ją odzyskał, starczyłoby mu czasu na zmianę napędu. Przeszlibyście na zimny ciąg i teraz leżelibyście w jakimś wąwozie, prawdopodobnie do góry głowami. Bo statek, który straci stabilność kilka minut przed lądowaniem, nie odzyska jej już do końca. Nawet jeśli przy pulpicie siedzą takie asy jak wy – dodał poważnym tonem. – A tak wleźliście w skałę i to dostatecznie głęboko, by statek pozostał w pionie. Powiedzmy, niemal w pionie... – a teraz kończ o tych sygnałach – jego głos zabrzmiał pół tonu wyżej. – Wiemy już, że wybraliście się w pożyczonej ze szkolnego muzeum rakiecie, aby ratować ludzi. To więcej, niż mogliśmy się

spodziewać, przynajmniej po tym, co ofiarowaliście nam dotychczas. No dobrze. A dalej?

– Dalej... – Kleen zawahał się. – właściwie nic. Większość urządzeń pokładowych, anteny, agregaty energetyczne, odmówiły posłuszeństwa. Poszliśmy do waszej stacji i...

– I sadziliście kwiatki – dokończył Luta.

Kleen uniósł ręce w geście wyrażającym bezradność.

– Właśnie – potwierdził. – To znaczy robiliśmy co się tylko dało, żeby przyspieszyć rozwój hodowli planktonu. Stosowaliśmy pożywki... Ostatecznie, to była nasza jedyna szansa.

Tak. Nie musieliśmy mu mówić, że ta szansa w rzeczywistości równała się zeru. Wiedział o tym równie dobrze jak my.

– Pamiętacie współrzędne punktu, w którym wasi specjaliści zlokalizowali źródło emisji? – spytał Fros.

– Traficie tam? – uściśliłem pytanie.

– Myślę, że tak... – powiedział po chwili niezdecydowanym tonem Kleen. – Nasze mapy zostały wprowadzone w kabinie statku...

– Trafimy – uciął Dary.

– To dobrze – odrzekł spokojnie Luta.

Słuchawki umilkły. Łazik wspinał się właśnie ku szerokiemu siodłu z samotną skałą, spod której po raz pierwszy ujrzałem na własne oczy potomków ludzi, którzy opuścili Ziemię. Opuścili i wyparli się jej, bo rozczarowali ich ziomkowie, którzy niespełna sto lat dłużej ulegali wpływom macierzystej cywilizacji w jej naturalnym środowisku. A potem wyparli się także swojego człowieczeństwa, przynajmniej w biologicznym znaczeniu tego słowa. No i wreszcie siedzą tu koło nas, potulni jak dzieci i opowiadają, jak to ruszyli w kosmos, bez przeszkolenia, bez sprzętu, na archaicznym gruchocie, żeby tylko pośpieszyć z pomocą ziemskiej załozce, której jedyną misją w tym układzie było donieść nam w porę, że ci z Alfy planują jakieś łajdactwo. Siąść i płakać.

Zostałem w tyle. Fros jechał już skrajem plaży, kiedy my wciąż jeszcze podskakiwaliśmy na zboczach pokrytych muldami w kształcie niezgrabnych kopczyków. Luta siedział nieruchomo, z głową przechyloną do tyłu, jakby chciał dać do zrozumienia, że świat przestał dla niego istnieć. Nagle, nie zmieniając pozycji, rzucił krótko:

– Gdzie to jest?

Trwało chwilę, zanim Kleen zorientował się, że pytanie było skierowane do niego. Ubiegł go Dary:

– Myślę, że na płaskowyżu rozciągającym się między tym skalnym pasmem, które już znacie, a tutejszymi Alpami. Koło o promieniu trzystu kilometrów to nie fraszka, ale przeważającą część jego powierzchni zajmuje ocean. Tymczasem to stało się najprawdopodobniej na lądzie.

– Zatrzymaj się, Fros – Luta uniósł głowę i spojrzał przed siebie. Pierwszy łazik raptownie zwolnił, przetoczył się jeszcze kilkanaście metrów i zastopował.

– Co się stało?

– Poczekaj... Mur, jak u ciebie?

Utkwiłem wzrok w jego twarzy, nie wiedząc o co chodzi. Nagle zrozumiałem i powiedziałem szybko:

– Normalnie.

– A ty, Fros?

– Wszystko w porządku. Myślę, że im prędzej, tym lepiej...

– Uhm... Potrzebny będzie transer. Odnoszę wrażenie – Luta zwrócił się do Kleena – że bardzo dobrze wiecie, gdzie jest to, czego szukamy. Tym lepiej. Pojedziemy wodą. Wątpię, czy mieliście kiedyś do czynienia z liną i hakami. Mógłbym wprawdzie dać wam instrukcję – w jego głosie nie dało się wyczuć nawet śladu drwiny – ale przyjemności na później. No, wysiadamy. Fros, podciągnij jeszcze ze sto metrów. Ustawcie łaziki tak jak wczoraj i sprawdźcie strojenie lidarów. Póki co, chcemy mieć spokój...

Pomyślałem, że nie tylko o spokój chodzi, ale nic nie powiedziałem. Spróbujemy odnaleźć to miejsce, o którym mówili obcy... jeśli takie miejsce istnieje. Potem zobaczymy.

Fros z Lonem i Zarą zasiedli w kabinie przed ekranami. Kleenowi i Dariemu wskazał Luta miejsce z przodu, na pokrywie komory ładunkowej. Sam stanął na fotelu, wystawiając głowę z otwartej wieży. Ja ulokowałem się z tyłu, tuż nad wodą. Czuję chwilami uderzenia drobnych kropeł w powłoką skafandra i mimo woli pomyślałem o kąpiel. Dałbym nie wiem co za kawałek uczciwego, ziemskiego morza ze zwykłą, słoną wodą, piaskiem i skałami. Klimatyzacja skafandrów działała tym razem rzeczywiście sprawnie, niemniej temperatura atmosfery przekraczała w południe sześćdziesiąt stopni. Konstruktorzy zrobili wszystko, co w ludzkiej mocy. Ale jedynym izolatorem z prawdziwego zdarzenia pozostawała w dalszym ciągu próżnia.

Transer sunął miękko nad powierzchnią oceanu, burząc wodę elastyczną poduszką siłowego pola i zostawiając za sobą szeroki pas piany. Odbiliśmy od brzegu na odległość kilkuset metrów, po czym wzięliśmy bezpośredni kurs na majaczące w oddali skalne olbrzymy. Zbliżało się południe i po raz trzeci już musiałem podciągnąć zawory, zwiększając dopływ tlenu. Myśl o kąpiel stawała się chwilami nie do zniesienia.

Po pół godzinie lotu góry wyostrzyły się, pociemniały. Ich odbicie w wodzie przypominało świeżo namalowany obraz, świecący mokrymi farbami. Mieliśmy je teraz z lewej burty. Urywały się bezpośrednio nad oceanem, spadając z wysokości dwóch, może dwóch i pół tysiąca metrów pionowymi skarpami. Niepostrzeżenie zaczęły zostawać z tyłu, odsłaniając rozległy płaskowyż, zasnuty fioletową mgiełką. Jeszcze kilkanaście minut i w perspektywie zarysowała się prosta, biaława linia brzegu.

– Dochodzimy? – spytał Fros.

– Poczekaj, co powiedzą gospodarze – mruknął Luta. – No, jak? – rzucił, podnosząc głos. – Zaczynamy czy jedziemy dalej na południe?

Nikt nie zareagował. Uniosłem się na łokciach, żeby lepiej widzieć siedzącą z przodu dwójkę.

Byli odwrócenii do mnie plecami, ale ich nieruchome sylwetki zdradzały napięcie.

– Podciągnij jeszcze wzdłuż brzegu – zdecydował wreszcie Luta, nie doczekawszy się odpowiedzi.

Transer ponownie opisał łuk, oddalając się coraz bardziej od górskiego pasma zamykającego drogę lądową z terenów otaczających stację w kierunku południowego płaskowyżu. Dłuższą chwilę jechaliśmy w milczeniu. Fros prowadził teraz po stycznej do linii wybrzeża, łagodnie wybrzuszony i tworzącej w perspektywie szeroki, płaski cypel.

Łąd był coraz bliżej. Z rzadka rozrzucone głazy o zaokrąglonych łbach, wąska, kamienista plaża, nad nią jakby niewysoki próg i dalej idealnie płaska, przypominająca lotnisko równina. Nic, co zatrzymywało wzrok, co zachęcało do zawarcia bliższej znajomości z okolicą.

Dobiegający z dołu szum nagle ucichł. Maszyna zafalowała łagodnie, chwilę sunęła siłą bezwładną, raz i drugi musnęła podwoziem powierzchnię wody, po czym siadła jak wielkie, lądujące ptaszysko. Ponownie zawrzała wyrzucana spod rufy woda. Szybkość spadała gwałtownie, Dary i Kleen musieli dobrze zaciskać dłonie na uchwytach, żeby nie polecieć do przodu. Wreszcie transer wytracił pęd i zatrzymał się w odległości jakichś stu metrów od brzegu. Byliśmy na miejscu.

– Myślę, czy nie powinniśmy się podzielić – zaproponował Kleen, wspinając się ku wieży. Trafił palcami na krawędź wjazdu i wyprostował się, balansując na szeroko rozstawionych nogach.

Głowa Luty zniknęła we wjazwie. Jeszcze raz zaświergotały silniki. Transer leniwie ustawił się prostopadle do linii brzegu. Chwilę nie działo się nic, po czym maszynę przebiegł wstrząs. Spod prawej burty strzeliła wąska świetlista smuga. Nie będziemy się rozdzielać. W każdym razie zanim nie przeszukamy kilometr po kilometrze całego obszaru płaskowyżu fotonowymi obiektami sond.

Kleen zachwiał się i usiadł ponownie. Dary uniósł wreszcie głowę i pochwyciwszy nitkę odrzutu starał się nadażyć wzrokiem za aparatem zwiadowczym. Pomyślałem, że warto zejść do kabiny i popatrzeć na ekran, ale nie chciało mi się ruszyć. Zresztą wolałem nie tracić z oczu tej jakby zamarłej w oczekiwaniu dwójki na pokrywie dziobu.

W ślad za pierwszą sondą poszła druga. W dalszym ciągu w kabinie panowało milczenie. Czyli że w obrazach przekazywanych na ekran nie było nic godnego uwagi. Gdyby sytuacja miała pozostać bez zmian...

Łatwo sobie wyobrazić, co nas czeka, jeśli sondy nie trafią na ślad tego czegoś, co tak wstrząsnęło mieszkańcami sąsiedniego globu, że nie zawahali się postawić wszystkiego na jedną kartę, żeby tylko obejrzeć to z bliska. Jeśli oczywiście cały ten alarm nie wynikał z pomyłki alfańskich obserwatorów. Pomyłki, uzupełnionej następnie na miejscu, ale już wyłącznie na nasz użytek... Jeśli... jeśli...

Otóż to. Musimy mieć pewność. A to oznacza, że tak czy inaczej zawrzemy bliższą znajomość z obszarem płaskowyżu. Lekko licząc dwa tygodnie jazdy.

– Uhm... – zamruczał nagle Luta – podkreśl to... – Widziałeś?! – wybuchnął Fros. – To przecież...

– Nic nie mów... – uciął Luta. – Daj jeszcze raz... Chwila ciszy i kolejny wstrząs. Świetliste smugi strzelały teraz w równych odstępach. Jedna... druga... trzecia...

– Dostyc – powiedział z westchnieniem Luta. – Namierzyłeś?

– Tak. Jedziemy?

W głosie Frosa zabrzmiała jakaś nutka, która bardzo mi się nie spodobała. Nie gorączkował się. Nie krzyczał. Mówił cicho, jakby bał się, że kogoś zbudzi.

– Uwaga – rzucił Luta. – Ruszamy.

– Co to jest? – spytał półgłosem Dary.

Nikt nie odpowiedział. Ciężki pojazd nabierając szybkości ślizgał się nad przybrzeżną płycizną. Jeszcze kilka sekund i szum wody przeszedł w charakterystyczny, wibrujący syk. Transer frunął w górę, wreszcie zakołysał ciężko i ruszył na przestrzał przez bezkresne pustkowie płaskowyżu.

Jazda nie trwała dłużej niż dwadzieścia minut. W pewnej chwili z kabiny dobiegł nieokreślony pomruk i pojazd raptownie zwolnił. Rozejrzałem się uważnie, ale w polu widzenia w dalszym ciągu nie było nic, co mogło zwiastować, że docieramy do celu.

– Wszyscy do środka – zabrzmiał nagle głos Luty. To coś nowego. Wstałem i dałem znak obcym, żeby szli przodem. Kiedy Kleen zniknął we włazie, pochwyciłem spojrzenie Dariego. Jego osłonięta szybą kasku twarz była blada jak wtedy, kiedy ujrzałem go po raz pierwszy. A przecież teraz tlenu miał dosyć. Nie doznawał pionierskich rozkoszy rozumnej istoty, która umyśliła przekształcić swój organizm zgodnie z wymaganiami środowiska, zamiast na odwrót. I to nie nagle wezwanie Luty było przyczyną tej bladości. W jego oczach dostrzegłem lęk.

Zarygłowałem za sobą klapę włazu i wcisnąłem się między fotele. Ekran poświęcał blado, ukazując pustą przestrzeń, bez jednego wzniesienia, jednego zafalowania terenu, za którym mogło się coś ukrywać. Już chciałem spytać Lute, czemu stłoczył nas wszystkich w kabinie, kiedy wzrok mój padł na tablicę nad pulpitem sterowniczym. Jak błękitny świetlik jaśniała lampka kontrolna czujnika ferroindukcyjnego.

– Niewiele tego – mruknąłem, spojrzawszy na ekranik kalkulatora przed fotelem Frosa.

– Niewiele – przyznał Luta. – Masa równa mniej więcej temu tu – uderzył dłonią w pulpit. Zrozumiałem, że ma na myśli pojazd.

– Nie byłeś tu nigdy?

Milczał chwilę, zanim odpowiedział:

– Uhm... Tu nie ma żadnych złóż...

– Widzicie coś? – zabrzmiał głos kogoś z obcych za naszymi plecami.

– Metal – rzucił nie odwracając się Fros. – Prosto przed nami. Mieliście chyba rację – dodał. – Wy i wasi astrofizycy...

– Na razie mamy metal – burknąłem. – Co do racji jeszcze zobaczymy...

Zapanowała cisza. Fros nie spuszczał dłoni z pulpitu sterowniczego, ale silniki szły nieprzerwanie na maksymalnych obrotach. Przelecieliśmy tak jeszcze pół kilometra, zanim w dalekiej perspektywie zamajaczył jakiś kształt. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że ktoś porzucił tam pryzmę kamieni.

– Wolniej... – mruknął Luta. Palce Frosa podskoczyły na klawiszach. Transer przystopował tak nagle, że poleciałem głową naprzód, uderzając kaskiem w krawędź półki pod ekranami. Nie skończyłoby się na tym, gdyby mnie ktoś w ostatniej chwili nie przytrzymał za stelaż. Prostując się rzuciłem okiem na czujniki i zastygłem w bezruchu. Obok niebieskiego zapłonął jaskrawo czerwony ogień alarmu. Promieniowanie...

– Stop – rzucił Luta.

Pojazd z jadowitym świstem hamownic zadarł rufę i znieruchomiał.

– Ile?

Spojrzałem na tarczę kalkulatora.

– Dwie setne rentgena – powiedziałem. – Tyle, co

– Idź pierwszy – mruknął. – Nie zatrzymuj się. Kiedy dojdzie do pięciu setnych, zawracaj.

Wtedy pomyślmy co dalej...

Bez słowa zacząłem się przeciskać do wjazdu. Musiałem poczekać, aż Fros odblokuje automaty zabezpieczające. Impuls płynący z czujnika promieniowania spowodował, że mechanizm klapy nie pozwalał uruchomić się w zwykły sposób.

Wylazłem w końcu na pancierz, zeskoczyłem i nie spuszczając z oka wskaźnika dozymetru poświęcającego pod okapem kasku, ruszyłem przed siebie.

– Jak tam, Mur?

– Bez zmian – zameldowałem. – Zero, zero dwa.

– Wychodźcie – rzucił Luta, jakby z ulgą.

– Mamy iść za nim? – przerywany głos Kleena świadczył, że kosmonauta z Trzeciej gimnastykuje się właśnie w wąskim okienku wjazdu.

– Wszyscy? – upewniał się Fros.

– Poczekaj – słowa Luty padały jak uderzenie. – Wy wszyscy czterej pięćdziesiąt metrów za Murem. I ani kroku bliżej. Ty, Fros, odczekasz chwilę i wyjdiesz także. Transer w każdym razie jest tu bezpieczny...

To ostatnie podkreślenie nie zabrzmiało zachęcająco. Może dlatego w słuchawkach zapanowała nagle cisza.

Wprost przede mną, w odległości nie przekraczającej stu metrów, ciemniał szeroki lej. Jego podejrzenie gładkie krawędzie odsłaniały skalne podłoże. Było białe jak kreda. Z lewej i z prawej jak okiem sięgnąć rozrzucone różnej wielkości, przypłaszczone głązy. Pomiedzy nimi łachy brudnego żwiru zmieszanego z żuzłem i sadzą. Tu i ówdzie prześwitujące kałuże zastygłego szkliwa.

Szedłem coraz wolniej. Stawiałem stopy ostrożnie, lekko, jakby w obawie, że jakimś nieopatrzonym ruchem przywołam z przeszłości tragedię, jakiej to miejsce było świadkiem. Co do jej charakteru trudno było żywić wątpliwości. Dość napatrzyłem się takich widoków na wszystkich możliwych poligonach satelitarnych. Sądząc z rozmiarów wyrwy i promienia rozrzutu szczątków, a także z tego, że w ogóle jakieś ocalały, eksplozja nie była zbyt silna.

Zerknąłem na czujnik i stanąłem.

– Zero, zero trzy – rzuciłem.

– Widzę...

Rozejrzałem się. Nasłuch milczał. Wywnioskowałem z tego, że pozostali zatrzymali się również. Nagle poczułem lekkie muśnięcie na rękawie. Odruchowo rzuciłem głową do tyłu. Za mną stał Luta.

– Powiedziałem, że kiedyś cię postrzelę... – mruknąłem i przestraszyłem się własnego głosu. Chciałem odchrząknąć, ale wydałem tylko suchy skowyt. W gardle utknął mi jakby kłęb suchych trocin.

Nie odpowiedział. W ogóle nie zwrócił na mnie uwagi. Stał lekko przygarbiony, z twarzą zwróconą ku zachodowi, tam gdzie ziemia nie nosiła już śladów wybuchu. Tak się przynajmniej zdawało. Kiedy bowiem powędrowałem za jego wzrokiem, uderzył mnie zarys jakiejś konstrukcji. Nie umiałem skojarzyć jej sobie z niczym konkretnym, ale przecież było w niej coś znajomego...

Nie wiedząc kiedy, ruszyłem i wolnym, odmierzonym krokiem, poszedłem przed siebie. Coraz dalej w tyle zostawał krater, otoczony szlaką i wyżarzoną skałą, coraz wyraźniej rysowały się kontury dziwacznej konstrukcji, której przeznaczenie wciąż pozostawało dla mnie niejasne. Musiała być świadkiem sceny, jaka rozegrała się na tym pustkowiu. Sterczące z niej poskręcane

pręty i poszarpane krawędzie blach były dostatecznie wymowne. Zrobiłem jeszcze kilkanaście kroków i nagle zrozumiałem. W ułamku sekundy rozpoznałem rysunek wiązań podwozia, pocięte piasty napędowe, amortyzatory...

Łazik. Nic dziwnego, że od pierwszej chwili ta poskręcana masa żelastwa wydała mi się znajoma. Przybył tu wraz z ludźmi. Przemierzył na pokładzie galaktycznego statku przestrzeń dzielącą gwiazdy. Służył załodze pełniącej służbę na tym niegościnnym globie. Kiedy zdarzyło się coś, co skłoniło ludzi do podjęcia wyprawy na płaskowyż, i to tak nagle, że nie zdążyli nawet powiadomić Ziemi, posłusznie przywiózł ich aż tutaj. I tu został.

Ale nie sam. W odległości kilku metrów za resztkami pojazdu ciemniał na równym, jakby ubitym gruncie, niewielki, podługowaty kształt. Między rozdartymi połówkami kasku przeświecało coś białego. Nieco dalej sterczała w górę dolna część butli tlenowej. Tkwiła skośnie w ziemi, jakby jakiś szaleniec użył jej jako oszczepu.

Nogi niosły mnie dalej, chociaż zdawałem sobie sprawę, że powinienem stanąć i poczekać na Lutę. Minąłem wrak łazika i nie myśląc o niczym, krok po kroku zbliżałem się do tego porzuconego beładnie skafandra, zbyt, obszernego teraz jak na to, co w sobie mieścił. Wreszcie stanąłem. Dostrzegałem kątem oka, że za pierwszym widnieje drugi, taki sam kształt, że dalej są jeszcze inne, ale nie mogłem oderwać wzroku od owej białej masy, widocznej spod postrzępionych włókien kasku.

Za moimi plecami rozległ się zdławiony okrzyk. Usłyszałem tupot nóg i ciężki oddech biegnącego. Nie odwróciłem się. Obok mnie przemknął cień. Za nim następny. – To Nulen – wydyszał Kleen.

Powoli uniosłem głowę. Kilkanaście metrów dalej ujrzałem sylwetkę klęczącego nad zwłokami człowieka i w tym samym momencie uprzytomniłem sobie, że nigdy w życiu nie słyszałem imienia „Nulen”.

– To Teller – zabrzmiał tuż za mną pomruk Luty. Odwróciłem się. Chwilę patrzył mi w oczy, następnie skinął głową i jakby odpowiadając na moje pytanie, powiedział:

– Jego aparat. Nigdy się z nim nie rozstawał...

Ponownie spojrzałem pod nogi. Tuż obok kasku widniał biały niegdyś pas ucięty równo jak nożem. Wyrwany w połowie zaczepu przytrzymał duży staroświecki futerał. Wyprostowałem się i zwróciłem głowę w stronę Luty, ale nie zastałem go już na poprzednim miejscu. Stał kilka metrów dalej wpatrzony w coś, co także było kiedyś człowiekiem. Nagle pochylił się nisko. Przez chwilę widziałem tylko butle na jego plecach, po czym wstał, unosząc w otwartej dłoni jakiś niewielki przedmiot przypominający z daleka zapalniczkę. Przyglądał mu się kilka sekund, następnie odpinając kieszeń na piersi mruknął:

– . Mykin. Znałem go...

– Ten drugi to Ron... – zabrzmiał w słuchawkach słaby głos Kleena. Nie podchodź, Dary. Nie trzeba...

– Mykin – powtórzył Luta. – Teller i Mykin.

– A Yianden? – spytał bardzo cicho Fros. Uniosłem głowę. Jego wysoka, szczupła sylwetka widniała w odległości dobrych trzydziestu metrów. Stał jak skamieniały.

– Nie wiem – rzekł po chwili Luta. – Nie ma go. Jak dotąd...

Coś mnie tknęło.

– Jak to? – powiedziałem nieswoim głosem – a tamci?

– Tamci?... – powtórzył jak echo.

Błyskawicznie omiotłem spojrzeniem grupę otaczającą dwa pozostałe ciała. Stojący najbliżej

poruszył się. Za szybą kasku mignęła mi twarz Dariego. Chwilę mierzył nas wzrokiem, po czym zaczął bardzo uważnie przepatrywać teren, jakby czegoś szukając. Ale oprócz roztrzaskanego łożnika, nas i tych czterech leżących płasko na brudnym żwirze, w zasięgu wzroku nie było nic ani nikogo.

– Tamci? – jeszcze raz powiedział Luta. – To nie nasi...

Poczułem na skórze strużki potu. Jeszcze nie rozumiałem. Wiedziałem tylko, że stało się coś, co potwierdziło moje najgorsze przypuszczenia. Mój brak zaufania...

Oprzytomniałem. Na ułamek sekundy przestałem widzieć. Ogarnęła mnie wściekłość. Więc to tak...

Bez zastanowienia skoczyłem w ich stronę. Potknąłem się, przeleciałem głową do przodu kilkanaście kroków, złapałem równowagę i już byłem przy nich. Miałem ich. Dopadłem pierwszego, nie zdając sobie sprawy, kto to jest, porwałem go obiema dłońmi za skafander na piersi i zacząłem nim trząść, wkładając w to całą siłę ramion.

– Tak?! – wysyczałem. – Mieliście nasłuch?! Odebraliście impuls eksplozji i już wiedzieliście, że to właśnie tutaj? Stacja umilkła, więc polecieliście ratować ludzi, tak?! Tylko ludzi! Pomimo, że nie zajmowaliście się lotami. Nie mieliście techników raketowych, nawigatorów, pilotów. Nic, tylko przechowywane w charakterze pomocy szkolnych statki, którymi wasi protoplaści przylecieli z Ziemi! Cóż to dla was! Bylibyście tu przed nami, gdyby nie puste brzuchy! My zjawilibyśmy się na gotowe, prawda?! A to – cofnąłem się, teraz dopiero zamajaczyła mi przed oczami twarz Kleena, i podskoczyłem do bielejących na ziemi kości – to spadło z nieba, tak?! – wrzasnąłem. – I ten drugi!

– Zostaw, Mur. – głos Frosa dobiegł mnie jak przez watę. – Teraz to już nie ma sensu...

– Sensu?! – podchwyciłem. – Zobaczymy – oparłem dłoń na kaburze. – Na razie leży ich tylko dwóch – zniżyłem głos. – Trochę mało, gdyby chcieli tu przyjeżdżać z pielgrzymkami. I żeby sobie pewne rzeczy dobrze wbili do głowy. Będziecie mówić?!

Żaden nie odpowiedział. Nie poruszyli się nawet. Stali jak wmurowani z opuszczonymi głowami. Jeden tylko Kleen wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczyma. Jego wargi poruszyły się, ale nie dobiegł mnie najcichszy dźwięk. Atmosfera była nieruchoma. W całym otoczeniu panowała martwa cisza. Tak właśnie – przemknęło mi przez myśl – powinny wyglądać cmentarze dla tych, którzy ruszają ku obcym gwiazdom.

Poczułem, że mięśnie mi wiotczeją. Przytłaczał mnie ciężar kasku, najchętniej zdarłbym go z głowy, poszedł przed siebie sto, dwieście kroków, upadł na piasek i zasnął. Odruchowo sięgnąłem do karku i zwiększyłem dopływ tlenu. Czekałem na coś, co miało się wydarzyć, chociaż z każdą chwilą narastała we mnie świadomość, że czekam na próżno.

– Zginęli od razu – dobiegł mnie niewyraźny głos Luty. Obejrzałem się. Pochylony nad skafandrem Tellera wodził wokół lufą dozymetru. – Ale nawet gdyby ocaleli w czasie wybuchu – ciągnął prostując się – nie mieli żadnych szans...

Tak, oczywiście – przebiegło mi przez myśl. Po co o tym mówić?

– Weź ich, Fros – Luta szedł powoli w stronę Kleena, nie spuszczać z niego wzroku. – Weź ich i patrz im na ręce. Mają je nie od parady. Gorzej z głowami. Naprawdę myśleliście – stanął tak blisko, że Kleen odruchowo zasłonił się ramieniem – że ktokolwiek z nas uwierzy w te bzdury o kierunkowych antenach, które potrafią zlokalizować źródło sekundowego sygnału na sąsiedniej planecie? I w ten nagły atak solidarności, który tak wami wstrząsnął, że nie zważając na wszystko, co nas dzieliło, zaryzykowaliście pewną śmierć, aby tylko sprawdzić, czy naprawdę w niczym już nie można nam pomóc? Wierzę, że chodziło o stację. Na to zgoda. Ale nie o ludzi.

Domyśliliście się, że wasza pierwsza czy któraś tam z kolei wyprawa narobiła tu bigosu, i przylecieliście zobaczyć, czy przypadkiem nie da się skorzystać z okazji. Zrobiliście to. Rozbiliście statek. Znaleźliśmy was konających z głodu. Wszystko to prawda. A jednak wasza misja osiągnęła powodzenie... przynajmniej do pewnego momentu. Gdyby nie brak energii i głód, zgotowalibyście nam cieplejsze powitanie, czy nie tak? Może nawet gorące. Bardzo gorące. Piękny plan. Opanować stację, przejąć jej wyposażenie i zdobyć kontrolę... może nad całym układem, przynajmniej na długie lata. Doskonale zdawaliście sobie sprawę, co oznacza dla jednej ze stron walczących na waszej planecie obsadzenie własną załogą ziemskiej bazy na Drugiej. No, a potem...

– Mówiłem – w głosie Dariego brzmiała gorycz – żeby powiedzieć prawdę. Wy tłumacz im teraz, jeśli potrafisz...

– Przylecieliśmy, żeby ratować naszych – powiedział po chwili wahania Kleen. – Były dwa statki... nie mieliśmy ich więcej. Zналиśmy współrzędne punktu lądowania... to właśnie tutaj. Nie chciałem, żebyście wiedzieli o naszych próbach... o tym, że latamy.

– Przecież – odezwał się naraz Fros – sami przyprowadziliście nas tutaj. Jak mogliście sądzić, że zdołacie ukryć przed nami to wszystko...

– Tak właśnie wtedy powiedziałem. Że kiedy tu przyjdziemy, i tak poznacie prawdę – Kleen mówił coraz szybciej. – Liczyliśmy się z tym. Ale jak długo sami nie wiedzieliśmy nic pewnego, wolałem nie mówić. Zrozumcie, nie możemy dopuścić, żeby Nowi dowiedzieli się o naszych statkach. Wówczas zastalibyście tu nie nas, a ich.

– To oczywiście ogromna różnica – rzucił sarkastycznie Luta. – Ale nie wiem, czy akurat dla nas...

– Tak – odparł z przekonaniem Kleen. – Bo to nie było tak, jak mówisz. My po prostu...

– No, dobrze – uciał wreszcie Luta. – Na teraz dosyć. Wierzę, że macie nam to i owo do powiedzenia. Może jeszcze posłuchamy sobie tej waszej nowej wersji... w wolnej chwili. Teraz mamy ważniejsze sprawy. Wspomniałem przed chwilą o humanitaryzmie. Chodź ze mną Mur.

Nie zareagowałem. Moje myśli pełzły leniwie, jak pasma dymu, przez które prześwitują momentami fragmenty obrazów, jakieś pozbawione logicznego sensu wizje, giną, pojawiają się ponownie w zmienionym kształcie...

Odcięli się od historii. Własnej, ziemskiej historii. Jedni i drudzy. Polecili ku gwiazdom szukać nowej jakości życia. I zaraz na progu cofnęli się o stulecia. Przecież to absurd. Kompletna bzdura. Ta wyprawa i nasze warowanie w ciasnej skorupie na globie, gdzie człowiek najlepiej się czuje o tak... musnąłem spojrzeniem ciemniejące na ziemi zwłoki. Czego my tu właściwie szukamy? My i ci, co polecili szukać szczęścia z dala od swoich, jak znudzeni kochankowie. Co jeszcze chcemy sprawdzić? Dla kogo to? Żeby chociaż naprawdę chodziło o coś nowego. Ale oni tylko kopiują żalostną, choć może i zwycięską w efekcie szarpaninę, jaka była udziałem ich przodków, tych samych, od których się odzegnali... To nie może być prawda. Żeby tylko zdołał zebrać myśli... Dociec, gdzie tkwi ukryty sens tej całej farsy, obfitującej w tragiczne epizody...

– Mur!

Oprzytomniałem. Potrząsnąłem głową i szybko spojrzałem za siebie. Luta był już przy transerze. Otworzył klapę skrzynki narzędziowej w dolnej części kadłuba i nisko pochylony grzebał chwilę w jej wnętrzu. Nie zdążyłem przejść nawet połowy drogi, kiedy wyprostował się. Na ziemię spadły dwa podłużne przedmioty. Poznałem je od razu. Zwykłe stalowe saperki, jakich używa się po burzach piaskowych do usuwania zasp.

Przyjrzał im się, mruknął coś niezrozumiale i ponownie zagłębił się w otwartej wnęce. Po chwili obok pierwszych pojawiły się dwie dalsze łopatki. Luta starannie zamknął skrzynkę, obejrzał się, podniósł wydobyte narzędzia i ruszył w moją stronę. Przyspieszyłem, podszedłem do niego i wyjąłem mu z ręki dwie łopatki, jakbym go chciał uwolnić od zbyt dużego ciężaru. Nie zatrzymaliśmy się ani na moment.

– Ja bym... może ja też... – Fros zająknął się i umilkł.

– Nie spuszczaaj ich z oka – powiedziałem. – Wiesz teraz, do czego są zdolni.

– Poczekaj – dodał Luta. – To już niedługo...

Stanąłem przy zwłokach Tellera, pochyliłem się i kantem łopaty nakreśliłem na ziemi podłużny prostokąt. Następnie, nie oglądając się na pozostałych, zacząłem kopać.

– Weź to – dobiegł mnie w pewnej chwili przytłumiony, jakby niechętny pomruk Luty. Odruchowo poszukałem go spojrzeniem. Stał przed stłoczonymi w ciasną grupę obcymi i podawał im saperki. Dwie. Dwie dla nas i dwie dla nich. Rachunek się zgadzał. Gdyby taki rachunek w ogóle istniał.

Kleen trzymał łopatki na wyciągniętych przede siebie dłoniach i przyglądał im się, jakby nie wiedział, co z nimi zrobić. Wreszcie odwrócił głowę.

– Gdzie? – usłyszałem jego głos.

– Może tam gdzie to się stało – odpowiedział ktoś niezdecydowanym tonem.

– Jak uważasz, Lon?

Nie chcę, żeby leżeli przy naszych – przebiegło mi przez myśl. Przyjąłem to bez gniewu. Po prostu stwierdziłem fakt. Odwróciłem się i spokojnie uderzyłem łopata w twarde, jakby zmieszany z drobnymi okruchami żwiru grunt Drugiej.

– Zróbmy to tam, gdzie leżą. Uważam, że cała ta narada jest bez sensu.

– Tak myślisz?

– On ma rację, Kleen...

Przydałby się kilof. Ostrze łopaty dźwięczało trafiając w kamienie, ześlizgiwało się, poruszenie każdej grudki ziemi wymagało największego wysiłku, popartego ciężarem całego ciała. Tuż obok rytmicznie uderzała saperka Luty. Do tych dźwięków po chwili dołączyły dalsze. Pomyślałem, że jak ten glob długi i szeroki, jedynym, co teraz mąci jego ciszę, jest ten zmieszany brzęk łopat. Ale nie. Te głosy nie zmieniały niczego. W nich także była cisza przestrzeni.

Godzinę później stałem odwrócony plecami do czterech niewysokich podłużnych pryzm i patrzyłem, jak Luta z powrotem lokuje saperki w skrzynce narzędziowej. Zatrzasnąwszy pokrywę, nie skierował się jednak w naszą stronę, a wspiał na pancierz i zniknął w otwartym włazie. Słyszałem jego nierówny, przyspieszony oddech. Rozległ się charakterystyczny syk starterów i pojazd powoli ruszył z miejsca, wykręcając dziób w kierunku zalanego szklivem krateru. Kłapa włazu zamknęła się z głośnym stukiem.

– Odejdźcie trochę w kierunku morza – dobiegło z kabiny. – Tu jednak jest ciągle to zero, zero trzy.

Rzuciłem okiem na okienko dozymetru. Zapomniałem o nim. Kilka minut mniej czy więcej nie gra wprawdzie roli, ale tu i tak nie zostało już nic do zrobienia.

– Chodź, Fros – powiedziałem. – Niech idą przodem.

– Poczekaj chwilę...

Obejrzałem się. Stali przed usypanymi przez siebie kopcami, nisko pochylając głowy. Jeden obok drugiego, równo jak w szeregu. Mimo woli wzruszyłem ramionami. Odczekałem kilkanaście sekund i rzuciłem:

– Dość tego. Trzeba było pomyśleć zanim skleciłiście te wybuchające pudła. Zanim zerwaliście kontakt z Ziemią. Na waszym miejscu zastanowiłbym się nad tym. Ale nie tu. Fros, przemów im do rozsądku.

– Chodźcie... – odezwał się cicho Dary. – Dzień się kończy...

Spojrzałem w górę. Atmosfera wypełniająca kulę globu znowu już zgęstniała. Zatarte kontury lądów i mórz przesłaniały pasma chmur.

– Ciekawe – zabrzmiał przepojony goryczą i jakby złością głos, którego w pierwszej chwili nie poznałem – czy nam też usypią takie kopce... Jak myślicie?

'Przemilczeli to. Ja także. Tylko Fros zamruczał, jakby protestując, zresztą bez przekonania.

– Nie wiecie? – poznałem teraz. To był Zara. – Pewnie, że nie wiecie. Oni sami nte wiedzą...

– Idźcie prędzej – warknąłem. Przechodzili właśnie koło mnie, zmierzając w stronę, gdzie jeszcze przed chwilą stał transer. Żaden z nich nie obdarzył mnie spojrzeniem, ale przyśpieszyli.

Fros podązał za nimi w odległości kilkunastu kroków. Wszystko razem przypominało scenę z jakiegoś historycznego filmu. Jeńcy, prowadzeni przez pustynię, budzący jednak nie większe współczucie niż konwojujący ich żołnierz. Nonsens.

– Poczekajcie – rozległ się naraz głos Luty. – Już wracam.

– Znalazłeś coś? – spytał szybko Fros.

– Uhm...

Obcy niespokojnie poruszyli głowami.

– Coś... czy kogoś? – rzuciłem, spoglądając w stronę pojazdu.

– Nie.

Kłapa wjazdu uchyliła się. Ujrzeliśmy podwójną lufę fotonowej lornetki, a za nią górną część kasku. Nie wychylając się spoza pancерnej osłony wieży, Luta lustrował chwilę teren. W pewnym momencie zauważyłem, że anteny lidarów drgnęły i nieznacznie zmieniły położenie.

– Jest coś? – gorączkował się Fros.

– Pole startowe. Taki mały, wypalony krążek... i rozwalona konstrukcja nośna. Ale statku ani śladu.

– Może tam właśnie lądowali – powiedziałem z namysłem – i nic więcej?...

– Nie – odparł stanowczym tonem. Statek był raczej niewielki. Ten, który leży tutaj... sproszkowany, jeśli nie wyparował. Oprócz niego łazik. Także jeden. A pole startowe jest czyste. To znaczy...

– Wracaj już – przerwałem. – Sam mówiłeś, że jest ciągle zero, zero trzy.

– Dobrze – zgodził się po chwili. Przez moment widzieliśmy jego dłoń, sięgającą do uchwyty klapy, po czym zaświergotały silniki, transer zawrócił w miejscu i lekko potoczył się w naszą stronę.

– Więc to pole... – zaczął Fros, ale przerwałem mu gwałtownym ruchem ręki.

– Nie możesz poczekać?! – syknąłem. – Mało ci jeszcze?

Zapanowała cisza.

Luta nie ryglował widać klapy wjazdu, bo kiedy tylko transer przystopował, nad wieżą ponownie ukazała się jego głowa.

– Wsiadajcie – mruknął. – Najwyższy czas wracać. Wrócimy tu... ale nie szybko. Przynajmniej tak mi się zdaje... No, Fros – dodał zmieniając ton.

Wezwany zbliżył się do pojazdu, obejrzał raz, potem drugi, wreszcie potrząsnął głową i szybko, płynnymi ruchami wdrapał pod wieżę. Nie czekając aż zniknie w kabinie, zająłem swoje dawne miejsce z tyłu. Patrzyłem, jak Kleen, po nim Dary i pozostała dwójka lokują się na klapie

komory ładunkowej. Tym razem żadnego z nich nikt nie zapraszał do środka.

Fros z pewnością tkwił już w swoim fotelu przed pulpitem sterowniczym, ale transer wciąż jeszcze stał bez ruchu. Luta wychylony do połowy ciała z wieży wpatrywał się w niewyraźne z tej odległości prostokątne kopczyki obcej ziemi. Nagle przechylił się przez burtę i położył dłoń na ramieniu siedzącego najbliżej Kleena.

– Popatrzcie tam, chłopcy – powiedział swoim normalnym, sennym głosem. Wezwanie było zbyteczne, ponieważ obcy, ilu ich było, nie spuszczaali wzroku z miejsca, któreś, im wskazał. Mimo to powtórzył:

– Popatrzcie tam. Przypatrzcie się dobrze. Tak wyglądają ludzie pojednani. I tylko tak. Prawda? Zwłaszcza jeżeli dzieli ich coś więcej niż na przykład kolor włosów jak myślicie? Otóż nieprawda – ciągnął niezmiennym – Tak się składa, że my na Ziemi wiemy to bardzo dobrze. Nieprawda. Ale tego właśnie – podniósł odrobinę głos – wy musicie się dopiero nauczyć...



Po kliknięciu nastąpi przeskok do nagłówka

```
', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#00006C', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">
```

Po kliknięciu nastąpi przejście do części 3

```
', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#6C3800', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">
```

Po kliknięciu nastąpi przejście do części 5

```
', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#004800', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">
```

- Mieliśmy tylko dwa statki – powtórzył Kleen, jakby to było coś, co powinniśmy sobie szczególnie dobrze zapamiętać. Zbudowaliśmy je w instytucie łączności... nikt nie myślał o produkcji na większą skalę. Ale zainteresowali się nimi bionicy. Przeprowadzaliśmy właśnie pewne doświadczenia... – zająknął się.
- Słyszeliśmy coś o waszych doświadczeniach – powiedział Luta. – Zresztą dość przyjrzeć się wam, jak tu jesteście. Chciałbym tylko wiedzieć, czy owi bionicy... a raczej chyba genetycy spreparowali was wyłącznie z myślą o ziemskiej stacji? A może macie jakieś inne globy z podobną atmosferą?
- Nie wyłącznie, w każdym razie nie w tym sensie, w jakim to mówisz... – zaczął z wahaniem Kleen, ale przerwał mu Dary:
- Tak – rzucił krótko. – To w końcu najbliższej położoną planeta i prędzej czy później musiała stać się terenem eksploracji... dla nas albo dla Nowych. Co wy zrobilibyście w tej sytuacji? Przecież Ziemia trzyma stację aż tutaj, żeby, jak mówicie, nie dać się zaskoczyć... jeśli naprawdę o to tylko chodzi... Nasz pogląd na procesy przystosowawcze obchodzi w końcu tylko nas samych. Uważamy, że kryteria etyczne, wszystkie te bariery... w gruncie rzeczy anatomiczne, lansowane przez Nowych, to zwykłe bzdury. Ale mniejsza z tym. Chcę tylko żebyście zrozumieli, że skoro postanowiliśmy zainteresować się Drugą i tym, co się na niej dzieje, najprostszą drogą było dla nas przystosowanie organizmów przyszłych badaczy do panujących tutaj warunków. Wy naturalnie postąpilibyście inaczej... ale naprawdę nie będziemy przecież dyskutować. Próbowaliśmy... początkowo.
- Z nami?... zaprotestował ze szczerym wzburzeniem Fros. – Kiedy?!
- Nie z wami trzema... – ustąpił Dary. – Ale, jak mówię, zostawmy to... w każdym razie zbudowaliśmy te statki, odbyliśmy kilka lotów, dosłownie kilka, bo nie chcieliśmy zdradzić się przed Nowymi, po czym obsadziliśmy je specjalnie przygotowaną załogą...
- Wyhodowaną... – burknąłem.
- Wyhodowaną załogą... – powtórzył, po czym dodał spokojnie: – Dla nas, widzisz, to słowo brzmi inaczej niż dla was...
- Więc wsadziliście ludzi w te pudła – podjął jakby nigdy nic Luta – i urządziliście im pożegnanie z orkiestrą. Oczywiście, znaliście hipotetyczne miejsce lądowania. Więc kiedy wasze radiolatarnie odebrały impuls eksplozji, nie musieliście zbytnio się głowić, aby ją zlokalizować. I co dalej?
- Tak jak mówiłem – powiedział Kleen. – Jedno, co mogliśmy zrobić, żeby ratować czwórkę naszych...
- A więc nie ludzi? – wtrąciłem zjadliwie.
- Czwórkę? – zdziwił się Fros.
- Tak – odparł Kleen. – Kabiny statków były dwuosobowe. Pozostało nam albo machnąć na wszystko ręką i zacząć od nowa, albo próbować ich odnaleźć. Wybraliśmy to drugie. A ponieważ tylko my czterej byliśmy przystosowani...
- Nie macie więcej takich? – podchwyciłem. – To dobrze. Ile będą potrzebować, żeby wyhodować następnych? Ze trzydzieści lat, nie? Przecież nie wysłą niemowlaków.
- Mur, daj spokój... – obruszył się Fros.
- Nie wiem – odpowiedział spokojnie Dary. – Nie liczcie na to za bardzo. Nasza biologia różni się od waszej...
- Mieliśmy uczestniczyć w następnej wyprawie przerwał mu Zara. – Statki będą gotowe za

jakieś pięć, sześć lat...

– Ale załogi nie – mruknął Luta. – Chyba że wy zechcecie wybrać się po raz drugi... póki co, nie ma o czym mówić. Kończcie już. Mieliście jakieś sygnały przed katastrofą?

– Żadnych.

– Jeśli to prawda – burknąłem.

– Prawda – powiedział z przekonaniem Dary. – Wiemy tyle co wy. Straciliśmy łączność, a jakiś miesiąc później zamilkła także wasza stacja. To wszystko.

– I wtedy polecieście? – spytał Luta, jakby się chciał upewnić.

– Wtedy polecieliśmy – potwierdził Kleen. – Widzieliście raketę. Wiecie, co było dalej. Nie mieliśmy energii d...

– Dobra – Luta wstał nagle i wyprostował się. – Na razie to wystarczy – rzucił tonem zamykającym sprawę.

Przeszedł pod przeciwległą ścianę kabiny i zatrzymał się przed ekranem łączności. Chwilę przyglądał się w milczeniu ciemnej, matowej tarczy, po czym westchnął. Wiedziałem, o czym myśli. Wciąż jeszcze nie nawiązaliśmy kontaktu z Ziemią. Ale nie mogliśmy inaczej. Uruchomienie chociażby nadajnika namiarowego równało się ogłoszeniu całemu tutejszemu światu, że ludzie wrócili. Do tego nie wolno było dopuścić, zwłaszcza po tym, co usłyszeliśmy przed chwilą. Zdaniem tych tutaj „Nowi”, jak ich nazywają, nie mają bladego pojęcia, że ktoś na ich planecie interesuje się lotami planetarnymi. Ale rzeczywistość może być daleko mniej piękna. Niech im się zdaje, jednym i drugim, że Druga jest nadal martwa i pusta. Dowiedzą się o wszystkim we właściwym czasie. Ani dnia wcześniej.

– Przemyslimy sobie tę nową wersję – Luta oderwał się wreszcie od ekranu i zrobił kilka kroków w stronę stołu. – A przede wszystkim poczekamy. Może znowu będziecie musieli coś wymyślić? Tak czy owak, pora spać. Prosimy na dół.

Pierwszy wstał Dary. Odsunął fotel i postąpił w stronę Luty wyciągając przed siebie rękę, jakby mu coś podawał.

– Zapomniałeś o pasach – w jego głosie zadrgała ledwo uchwytna nutka przekory. Luta uniósł brwi.

– Spijcie spokojnie – mruknął. – Tam na dole jesteście bezpieczni...

– I my także – bąknąłem. – Tu na górze...

Dary postął chwilę bez ruchu, po czym opuścił ramiona. Odwrócił się i bez słowa ruszył w ślad za pozostałymi, którzy znikali już w ciasnym korytarzu prowadzącym do dolnych kondygnacji.

– Naprawdę chce wam się spać? – spytał Fros, kiedy zostaliśmy sami. – Co do mnie, chętnie bym dokądś poszedł. W miarę możliwości daleko...

– Nic nie stoi na przeszkodzie – wzruszyłem ramionami. – Ja także nie jestem śpiący. Ale spacerów mam na dziś dosyć. Tym bardziej, że, jak mi się zdaje, czeka nas wcale nielecha przejażdżka. Bo nie wiem, co moglibyśmy zrobić innego...

Fros zebrał puste naczynia i wrzucił je do otwartego pojemnika automatu kuchennego, skąd po chwili dobiegły stłumione dźwięki, przypominające dzwonienie owiec na hali.

– Co właściwie wiemy? – powiedział z troską w głosie, wracając do stołu. – Wylądowały dwa statki z Trzeciej. Jeden natychmiast eksplodował...

– Nie natychmiast – przerwałem – bo nasi przecież tam na nich nie czekali. Musiało upłynąć trochę czasu, zanim znaleźli się na miejscu...

- Chyba że akurat byli na płaskowyżu i... – Wszyscy trzej? – parsknąłem. – Nonsens.
- Jeżeli odrzucimy wszystkie hipotezy mało prawdopodobne, to co nam zostanie? – mruknął Luta, ciągnąc zza stołu jeden z foteli. Ustawił go niedaleko naszych i przygotował do spania. Następnie ułożył się na wznak, wsunął ręce pod głowę i zamknął oczy. Ale wyraz jego twarzy świadczył, że daleko mu do snu.
- Jak inaczej wytłumaczysz – zaperzył się Fros – to, co tam zaszło? Dlaczego jechali zwykłym, nieopancerzonym łazikiem? Bo niczego się nie spodziewali. Nagle ujrzeli lądujące statki. Zbliżyli się... może zresztą wcześniej przechwycili jakieś sygnały...
- Po czym jeden ze statków zrobił bum – wtrącił Luta – Mykin i Teller zginęli, a ranny Yianden ruszył piechotą przez góry... Wtedy pozostali przy życiu po prostu odlecieli...
- Słuchajcie! – Fros zerwał się u usiadł w fotelu. – Jeżeli on...
- Leż spokojnie – Luta uniósł na moment powieki i leniwie poruszył głową. – To było cztery lata temu. Musiał dostać taką dawkę promieniowania, że tak czy owak nie uszedł daleko. Odszukać go... no cóż, jest pewna szansa. Czujniki ferromagnetyczne nie zdadzą się na nic. W naszym ekwipunku nie ma prawie wcale metalu. Co najwyżej możemy zaprogramować automat z zainstalowanym geigerem. Tym od małych wartości. Jeśli trafi na ślad, będzie go się trzymał... aż znajdzie. Zrobimy to jutro. Bo gdyby go tu miało nie być...
- Na całym globie – podrzuciłem.
- Na całym globie – powtórzył poważnie – to by znaczyło, że musimy się pośpieszyć z tym spacerkiem, o którym wspominałeś. Cztery lata... Hm...
- Ależ oni przecież nie wrócili! – krzyknął prawie Fros. – Inaczej ci z Trzeciej nie wysyłałiby ekipy ratunkowej! A co do tego nie kłamiają. Mogę dać głowę, że nie wiedzą o losie swojego drugiego statku więcej niż my.
- Może ci tutaj nie wiedzą – zgodził się Luta. – Ale to wcale nie znaczy, że drugi statek nie wrócił. Trzecia jest większa od Ziemi. A oni nie mieli łączności... przypuszczam, że w czasie eksplozji poszły anteny... czyli ich przyrządy nawigacyjne, i tak dość prymitywne, nie były sprawne. Nie jest powiedziane, że nie wylądowali szczęśliwie. Co nie znaczy, że wrócili do swoich. Może wędrują jeszcze przez jakieś góry na drugiej półkuli, może tkwią na wyspie albo w strefie wiecznych lodów, a może...
- Goszczą u tych, którzy są bliżsi nam – uzupełniłem. – Właśnie – mruknął Luta. – I im dłużej o tym myślę, tym bardziej ta ostatnia wersja wydaje mi się mniej zabawna. Nie chciałbym być w jego skórze... gdyby to miała być prawda.
- Milczeliśmy dłuższą chwilę. W pewnym momencie Fros wstał i zaczął chodzić po kabinie.
- Może pojedę przygotować statek – zatarł nerwowo palce. – Prześpię się tam i zaraz rano...
- Siadaj – powiedziałem. – Jeżeli automat znajdzie ciało Yiandena, na dobrą sprawę nie będzie po co lecieć.
- No, a ci tam, na dole? Wzruszyłem ramionami.
- Lepiej będzie, jeśli tu zostaną. Słyszeliście, co mówili. Załóżmy, że od razu przystąpią do tych zabiegów genetycznych, to i tak minie co najmniej dwadzieścia lat zanim wyrośnie pokolenie "przystosowane" do tutejszego klimatu... – mimo woli wpadłem w zjadliwy ton. – Ale statki zbudują znacznie wcześniej. Jeśli ich zabierzemy, spadną im dosłownie z nieba. W dodatku znają stację, zdobyli już pewne doświadczenie... nie, uważam, że ich miejsce jest tutaj.
- Jak to sobie wyobrażasz? – mruknął Luta. – A poza tym kiedy statki będą gotowe, mogą użyć zwykłych ludzi i dać im normalny tlenowy ekwipunek...
- Mogą – odparłem. – Ale jeśli do tej pory postępowali inaczej... Zresztą w skafandrach i

kabinach tlenowych będą mieć przynajmniej ograniczone pole manewru... tak jak my. Szansę się wyrównają. Inaczej... wyobrażacie sobie na przykład konflikt z istotami, które czują się równie swobodnie w tlenie, dwutlenku węgla i tym paskudztwie, które wypełnia tu morza? Bo ja oczywiście mogę to sobie wyobrazić. Mogę, ale nie chcę. A co do tego, co z nimi zrobić... cóż, zapytaj Frosa. Nie chciałbym urazić jego sentymentów...

– Powinniśmy ich zabrać ze sobą – zareagował natychmiast Fros. – Pomijając już stronę moralną... to zrobi dobre wrażenie.

Zaśmiałem się. Krótko i niezbyt szczerze.

– Wrażenie! – parsknąłem. – Proszę. Kolejny apostoł w układzie Alfy. Ale to nie jest stacja misyjna. A my mamy co innego do roboty, niż naprawiać głupstwa dawnych pokoleń... w imię solidarności i tak dalej. Zapomniałeś, co mówiono na odprawie? Zresztą – dodałem po chwili – jeśli polecimy, to i tak nie wszyscy. Ktoś musi pilnować stacji. Przypilnuje i inwentarza...

Fros zachnął się, potrząsnął gniewnie głową, ale nie odpowiedział.

– Tak... – mruknął po chwili Luta, jakby do siebie. – Jeden z nas musi tu zostać. Nie powinno się powtarzać dwa razy tego samego błędu...

– W takim razie kto poleci? – rzucił Fros.

– Chciałeś raczej spytać „kto zostanie”, prawda? – uśmiechnąłem się. – Proszę, kogo proponujesz? Nie krępuj się...

– Ty zdaje się wiesz już bardzo dobrze, kto zostanie – odrzekł spokojnie. Zbyt spokojnie. W jego głosie zabrzmiał smutek.

– Zrozum, Fros... – zacząłem, ale Luta nie dał mi dokończyć. Westchnął ciężko, przewrócił się na prawy bok i zgasił światło.

– Dość tego – mruknął. – Dobranoc. Zobaczymy, co znajdzie automat... jeśli coś znajdzie. A teraz spać.

Obudził mnie jakiś dźwięk. Nie otwierając oczu uniosłem nieco głowę i chwilę nasłuchiwałem. Cisza. Pomyślałem, że to pewno Fros poruszył się przez sen i uspokojony opadłem z powrotem na oparcie. Uderzyłem dość mocno głową i zaskoczony wstrzymałem oddech. Co, u licha?! Ktoś rozkręcił fotel? Przed chwilą jego poduszka znajdowała się wyżej...

Gwałtowne pchnięcie od dołu, jakby jakaś niewyobrażalna siła targnęła osadzonym w bazaltowym dnie filarem stacji. Jeszcze jeden wstrząs i krótkie, nieznośne kołysanie, od którego żołądek podjechał mi pod gardło. W ułamku sekundy oblałem się zimnym potem. Skoczyłem na oślep przed siebie, trafiając bosą stopą w podporę stołu. Ostry ból przywołał mnie do przytomności. Zatrzymałem się i rozejrzałem wokół siebie.

W kabinie światła były wygaszone. Mimo to jej wnętrze wypełniało osobliwe, barwne światło. Krawędzie pulpity i dźwigary, metalowe mufy łącz, klapy przystawek pamięciowych, wszystko to wyglądało jak zrobione z fioletowego szkła, wypełnionego rozżarzonym gazem. Ekranu rzucały świetliste smugi, barwne pasy mieszały się, wirowały, zmieniając kształty umieszczonych w kabinie sprzętów i nadając im pozory ruchu.

Tuż koło mnie rozległ się głuchy stuk. Zaraz potem zdławiony okrzyk i gwałtowna szamotanina jakby ktoś usiłował opuścić zwalony namiot. Coś uderzyło mnie boleśnie w zranione przed chwilą miejsce. Syknąłem i odwróciłem się. W samą porę. Zdażyłem jeszcze uskoczyć i przytrzymać Frosa, który z pochyloną głową, tkwiącą już w kasku, leciał właśnie w moją stronę, na próżno usiłując oswobodzić ramiona zaplątane w przewody własnego skafandra.

– Spokojnie... – zabrzmiał przytłumiony głos Luty. – Nic się nie dzieje. To tylko burza...

Spojrzałem tam, skąd dochodził jego głos. Na tle ekranów oblana fioletową poświatą, jego

sylwetka przypominała fantomatyczną zjawę z jakiegoś filmu. Stał w odległości kilku kroków od pulpitu, kołysząc się na szeroko rozstawionych nogach.

– To tylko burza – powtórzył. – Ale włóżcie skafandry. Stacja była przez pewien czas pozbawiona energii... może nastąpić zwarcie. A za chwilę pójdziemy pod wodę...

– Pod wodę? – spytał niezbyt przytomnie Fros.

;Luta skinął powoli głową.

– Uhm... na razie chodźcie popatrzeć.

Machinalnie postąpiłem do przodu. W tym momencie stacją targnął kolejny wstrząs, silniejszy od poprzednich. Zachwiałem się, ale szedłem dalej. Z korytarza, wiodącego ku niższym kondygnacjom dobiegł jakiś metaliczny brzęk. Obejrzałem się i ujrzałem, że Eros, już w kompletnym skafandrze, przemierza szybkim krokiem kabinę. Domyśliłem się, co ma zamiar zrobić, ale na interwencję było za późno. Zresztą ci z dołu nie czekali na zaproszenie, bo skoro tylko drzwi stanęły otworem, w korytarzu zamajaczyły znajome sylwetki. Usłyszałem, że Fros coś do nich mówi, ale nie zrozumiałem słów.

Raptem powietrze przeszył potworny, ogłuszający zgiełk. Kabinę wypełnił jazgot zmieszanych dźwięków, jakieś dudnienie, trzaski, jakby gigantycznych, iskrzących przekaźników, przerywane wycie sygnałów alarmowych sprzężonych z mikrofonami nadajników, odgłosy huraganu, niosące z sobą rozpaczliwe wezwania radiooperatorów. Błyskawicznie rzuciłem się w stronę ekranów i poszukałem spojrzeniem Luty. Stał spokojnie, jakby nigdy nic i uśmiechnął się. Jego prawa dłoń spoczywała na jednym z tłumików pulpitu łączności.

– Burza jonosferyczna – mruknął. – Tak to wygląda w całym zakresie fal dekametrowych. Ładnie, co?...

Cofnął rękę. Raptowna cisza była nie mniejszym zaskoczeniem niż przed chwilą wtargnięcie impulsów atakujących teraz anteny stacji.

Potrzebowałem kilkunastu sekund, żeby ochłonąć. Usłyszałem za sobą przyciszone głosy obcych, ale nie zwróciłem na nie uwagi.

– Magnetyczna też? – bąknąłem, wskazując ruchem głowy poświęcające krawędzie ekranów.

– Uhm... – przytaknął Luta. – Światło przychodzi z górnych warstw atmosfery. Tutaj mamy tylko odbicia. Ale to nie wszystko.

Jego dłoń sięgnęła do miksera nasłuchu. Zanim jeszcze płaski uchwyt osiągnął górne położenie, w uszy wdarł mi się głuchy, wibrujący grzmot. Przebiegał w tak niskich rejestrach gamy, że chwilami przestawał być uchwytny. Ale to od niego właśnie drżały pancerne ściany budowli, ważącej, lekko licząc te dwieście tysięcy ton.

– Wiatr?! – wrzasnąłem mu niemal do ucha, starając się przekrzyczeć łoskot.

Skinął głową. Chwilę stał w nie zmienionej pozycji, jakby lubując się tym przeraźliwym dźwiękiem, którego człowiek z pewnością nie mógł słuchać bezkarnie dłużej niż kilkanaście sekund. Następnie wyłączył nasłuch i gestem wskazał ekrany.

Obraz widoczny na prostokątnych, panoramicznych tarczach przedstawiał szaleństwo. Wraz z krążącymi pasami fioletowego światła kipiały mroczne, niemal czarne kształty, rozjaśniane sekundowymi błyskami, jakby torującymi sobie drogę z niewysłowionej głębi. Chwilami zniknął, przeszyty krzaczastym wybuchem rtęci, to znowu, nagle pociemniały, dzielił się na skaczące nierytmicznie pasma uciekające poza górną krawędź ekranu.

– Waszą hodowlę planktonu – mruknął w pewnej chwili Luta, nie odwracając głowy – będziecie zakładać od nowa. Przetrwa miesiąc... może dwa. Takie widoki trafiają się tu dość często. Sam naliczyłem przeszło setkę... w ciągu dziesięciu lat.

Prawda. Dla niego to nic nowego.

Ogarnął mnie spokój. Cofnąłem się kilka kroków, żeby objąć całość obrazu widocznego na ekranach. Powoli zaczął mnie fascynować. Raz i drugi zaświtały mi w piekielnym tańcu kształtów i barw elementy jakiejś potężnej, groźnej harmonii.

– ...Większy uniwersalizm i równocześnie przyspieszenie procesów metabolicznych... – dobiegły wypowiedziane głóśniejszym szeptem słowa któregoś z obcych.

– To na nic – odpowiedział inny głos. – Ciśnieniowa autokorektura tkanek przez lata będzie jeszcze fantazją. Może gdyby użyć budulca nieorganicznego... rozumiecie, inna energetyka wiązań...

– Próbowaliśmy – poznałem głos Zary – wpisywać w matryce wysokomolekularne pochodne metali i wiecie, co z tego wynikło...

Chwilę panowała cisza.

– W każdym razie byłby to krok naprzód – odpowiedział Kleen. – A adaptacja w warunkach podciśnienia...

– Chcecie tam wyjść? – spytał nagle pełnym głosem Luta. – Proszę bardzo. Tylko musicie się pośpieszyć. No?

– Dlaczego wyjść?... nie zrozumiał Fros.

– Właśnie o tym mówią – wyjaśniłem ze złym uśmiechem. – Sądzę, że nie powinniśmy im przeszkadzać – dodałem. – Chodzi o doniosłe eksperymenty... jeśli coś z tego pojąłem?

Zapanowało milczenie. Obaj z Lutą odwróciliśmy się tyłem do ekranów. Przed sobą, niemal na wyciągnięcie ręki, mieliśmy twarze obcych, rozjaśnione teraz tańcem świetlistych, kolorowych smug. Ich nieruchome sylwetki sprawiały wrażenie posągów uczestniczących w dziwnym, ekspresyjnym widowisku. W głębi rysował się bledszy, jakby spłowiarty skafander Frosa.

– A wy nie mielibyście ochoty? – padło nagle wypowiedziane mocnym, odrobinę zaczepnym tonem pytanie Lona. Stojący obok niego Kleen wykonał szybki ruch ręką, jakby go chciał zatrzymać. Przez chwilę nikt nic nie

mówił.

– Ostatecznie moglibyśmy to zrobić... – głos Luty stał się znowu senny. – W skafandrach...

– W skafandrach! – powtórzył pogardliwie Lon. –

I dokąd byście doszli? Na brzeg? Kawalek dalej? A tam, skąd płyną te głosy, których słuchaliśmy przed chwilą? A gwiazdy? A cała przestrzeń? Czy ją także chcecie opanować... w skafandrach?!

– Uspokój się, Lon – powiedział cicho Dary. – Ta burza działa na twoją wyobraźnię...

– Dlaczego – zaprotestował Fros. – Mówcie...

– ...Ale za chwilę – wpadł mu w słowo Luta. – To się zaczęło o pierwszej szesnastej czasu miejscowego. – omiół spojrzeniem tablicę chronometrów. – Już czas...

Dał się słyszeć odległy szum sprężarek. Naczynia w automacie kuchennym zabrzęczały.

– Chodźcie bliżej... – Luta odsunął się odsłaniając ekran. Jego dłoń spoczywała na pulpicie. Palce trzymał uniesione, zawieszono nad szerokim, czerwonym przyciskiem.

Prostokątna tarcza nagle przygasła. Obraz oddalił się, nabrał perspektywy. Można było rozpoznać wrzącą powierzchnię morza, ciemniejszy pas lądu i chmury. Nagle w głębi powstała jakaś jednolita, przesłaniająca horyzont ściana i szybko poczęła nabierać wysokości. Przesłaniała kolejno coraz bliższe połacie morza, coraz wyżej wspinające się zarysy dalekich lądów i wtedy dopiero pojąłem,

że cały ten ogrom mknie z potworną szybkością w kierunku stacji. Otworzyłem usta do krzyku,

ale w tym samym ułamku sekundy palce Luty spadły na czerwony klawisz, szum sprężarek stał się o ton wyższy i podłoga uciekła nam spod nóg. Przez ekran przebiegła jedna czarna smuga, następnie jego tarczę pokrył jasny, niesłychanie drobny popiół. Ściany kabiny zajęczały pod ciosem, ale uderzenie przeszło bez echa, jakby wszystkie konstrukcje wraz z nami otulał gruby kozuch bawełny. Jeszcze sekunda, zamierające miauknięcie sprężarek, ugięcie nóg w kolanach, żeby powstrzymać rosnący ciężar ciała, i podłoga znieruchomiała. Stacja osiadła na dnie oceanu.

– No, to na razie tyle... – mruknął Luta, sięgając do kontaktu. Zapłonęły wszystkie lampy. Mrużąc oczy porażone nagłym światłem, odszukałem mój fotel i usiadłem. Powoli odzyskiwałem zdolność widzenia, ale wciąż jeszcze miałem przed sobą tę ścianę, pędzącą na mikroskopijny okruch, jakim wydawała się przy niej stacja.

– To jakaś burza piaskowa?... spytałem słabym głosem. – Piaskowa i jaka tylko chcesz – zaśmiał się Luta. – Raz mnie to złapało na łądzie. Ledwie mnie odgrzebali... automaty grzęzły jak przy kopaniu głębinowych studni. Zdejmij to, Fros – dorzucił nie zmieniając tonu. – Ciśnienie w normie. Wszystko w porządku...

Fros ocknął się. Sięgnął palcami do czoła i najwyraźniej zdumiał się, natrafiwszy na szklaną powłokę kasku.

– A niech to... – mruknął jakby z podziwem. Luta zaśmiał się ponownie, otworzył podajnik aprowizacyjny, wyjął kubek, napełnił go wodą i wypił duszkiem. Następnie zacierając ręce przeszedł kabinę i zwałił się na fotel. Widać było, że jest w wyśmienitym humorze.

– Nareszcie razem... – powiedział tocząc wzrokiem po obcych. – O czym to mówiliśmy?...

Uniosłem głowę i przyjrzałem mu się. Był w wesołym nastroju, prawda. Ale jego spojrzenie pozostało czujne.

– Już po drugiej – burknąłem nieprzyjemnym tonem.

– Albo za późno, albo za wcześnie. Na wszystko, poza spaniem. Nie uważasz?

– Poczekaj – włączył się Fros. – Teraz i tak nie zaśniemy.

– Jak kto... – rzuciłem jeszcze, ale już bez przekonania. Rozumiałem, że stoję na straconej pozycji.

– Już wiem – ucieszył się Luta – o przestrzeni. O tym, że w skafandrach jesteśmy jak robaki, skazane na pełzanie po jednym ogrodzonym podwórku. Biedne, ślepe robaki. Tak to było?

– Widzisz?! – Kleen zwrócił się do Lona. W jego głosie zabrzmiała nuta ostrego wyrzutu.

– Nie złość się – Fros wyciągnął do nich ramię jakby o coś prosił. – Siadajcie.

Kleen obrzucił spojrzeniem wskazany przez Frosę fotel, ale stał dalej bez ruchu. Jeden Dary bez zastanowienia ruszył do przodu, wybierając miejsce tuż obok Luty.

– Usiłuję zrozumieć – Fros okrążył fotel i położył ręce na oparciu – na czym to wszystko polega? Ingerujecie w kody genetyczne, kształtując przyszłe płody według waszego uznania. Wyposażacie je w skrzela, organy pozwalające asymilować dwutlenek węgla, pewnie potraficie programować ludzi ze skrzydłami i licho wie jakich jeszcze. To wiemy... i proponuję, żebyśmy nie próbowali bawić się w wartościowanie, bo wiemy także, że na tej drodze do niczego nie dojdziemy. Ale o co w końcu chodzi? Zgoda, że możecie osiągać jakieś cele doraźne... – powiedzmy – zatoczył łuk ręką – swobodę poruszania się na tym chociażby globie, opanowanie środowiska morskiego... i tak dalej. Nie uwierzę jednak, że odeszliście tak daleko od norm, nie etycznych, nie mówmy o etyce, ale po prostu obyczajowych, tylko dla tych doraźnych korzyści. Słyszeliśmy, zresztą nie robiliście z tego tajemnicy, że wasza nauka stawia jako nadrzędne w procesach przystosowawczych adaptowanie istot technologicznych do zastanych – warunków, a

nie, jak na przykład nasza, na odwrót. Ale to przecież także nie może być celem... rozumiecie, co mam na myśli. Jak to wszystko mieści się w waszych naukach społecznych? Do czego dążycie?

Nie czekaliśmy zbyt długo. Kleen chwilę tylko wpatrywał się w twarz Frosa, jakby chcąc z niej wyczytać jego prawdziwe intencje, po czym potrząsnął głową.

– Dziwnie stawiasz sprawę – powiedział bardzo cicho. – Cywilizacja... nauki społeczne. A czymże są nauki społeczne? Dla nas to między innymi wszystko, o czym mówiłeś.

– Pięknie, synu – zamruczał Luta. – My też mamy jaki taki pogląd na nauki społeczne i śmiem twierdzić, że gdyby nie ten pogląd właśnie, siedziałbyś teraz na Ziemi i rozmyślał, czym jutro nakarmić rodzinę. Nie licytujmy się. Odpowiedz lepiej na pytanie Frosa. Nie ciągniemy was za język, żebyście wyliczali wasze instytuty, poligony kosmiczne, technologie i tak dalej. Ale to przecież możecie powiedzieć. O co w końcu chodzi?...

– O... – Kleen przeciągnął to „o”, na ile tylko starczyło mu tchu w piersiach i zamilkł. Obejrzał się bezradnie na pozostałych, po czym zrezygnowany usiadł w najbliższym fotelu. Pochylił głowę i ukrył twarz w dłoniach.

– O czas – rzucił twardo Dary.

– O czas?... – Fros wyprostował się odruchowo. Wyraz jego oczu zdradzał kompletne zaskoczenie. – Jak to rozumiesz?

Dary zatrzymał wzrok na nieruchomej, jakby boleściwej sylwetce Kleena. Było aż nadto widoczne, że ten widok nie sprawia mu przyjemności. Zastanowił się i wzruszając ramionami powiedział:

– Całkiem po prostu. Z biegiem lat coraz wyższe ilościowe bariery postępu cywilizacji zmieniają się w równie szybko rosnące bariery jakościowe. Co jest ostatnim, a może tylko aktualnym w tej chwili progiem, przed którym stoi ludzkość? Ilość czasu. Właśnie ilość, mierzona od zera do nieskończoności. Ilość, która jednak decyduje o jakości. Dla nas to oczywiste, a sądzę, że i wy doskonale wiecie, o czym myślę, nawet jeśli macie swoje własne zdanie. A dlaczego tak się dzieje? Czy brak nam wiedzy? Możliwości technicznych? Nie. Brak nam odwagi. To znaczy, tak było dotychczas. Takie dziedzictwo otrzymaliśmy w spadku od was. Rozważania Nowych, kiedy mianowicie ktoś traci cechy ludzkie, czy istota posiadająca skrzela jest jeszcze człowiekiem czy już nie, a może staje się zwierzęciem dopiero jak ma skrzela i na przykład ogon, przejmują litością. Niestety, musi to być czujna litość, bo sąsiadujemy ze sobą na tej samej planecie i... ale to już inna historia.

– Ta inna historia – wtrąciłem – jest dla nas co najmniej równie interesująca jak tamto. Co to znaczy „czujna litość”? Zabijacie się mówiąc: przepraszam? Ignorujecie?

Dary myślał chwilę, po czym wykonał nieokreślony ruch głową.

– Różnie bywało... – bąknął.

– To wiemy. Ale jak jest teraz? Co na przykład zrobi wasz geolog, kiedy gdzieś, tam na odludziu spotka takiego jak on samotnego badacza należącego do przeciwnej strony?

Kleen odjął nagle ręce od twarzy i uśmiechnął się.

– Oni rzadko chodzą samotnie... – powiedział z drwiną. – Co robi? Nic. Będą udawać, że się nie zauważyli. Mało prawdopodobne, żeby zaczęli rozmawiać. Chociaż zdarza się i tak. To, o czym mówimy, dotyczy raczej... – zawahał się – organizacji. W ogólniejszym sensie tego słowa...

Tak. Obraz stosunków panujących na Trzeciej, jaki wyłaniał się z relacji jej mieszkańców, z pewnością nie był zachęcający. Jeśli jeszcze znało się ich genezę i rozwój historyczny...

– No dobrze – Fros najwyraźniej niecierpliwił się, czekając, kiedy wreszcie wrócimy do

właściwego, jego zdaniem, tematu. Przesunął fotel bliżej Dariego i przycupnął na brzegu poduszki, pochylając się w jego stronę.

– Mówisz o odwadze – zaczął, załamując nerwowo palce. – A kim byli ci, którzy tu przylecieli? Tchórzami? Dlaczego właśnie im przeciwstawiacie waszą... bezkompromisowość?

– No dobrze – zachnął się Dary. – przylecieli. I co dalej?

– Właśnie – mruknął Luta. – Dalej to już wasze własne sprawy. Odwagi wam może nie brak, ale...

– Nie o tym mówię – zaperzył się nagle Lon. – To tylko epizody... z pewnego punktu widzenia. Prędzej czy później damy sobie z tym radę...

– Powinno wam się śpieszyć – przerwałem – skoro przywiązujecie taką wagę do czasu...

– Ale tego czasu – podchwycił Kleen – który nam i wam zamyka drogę postępu. Perspektywy...

– Chyba przesadzasz – nie wytrzymał Fros. – Osiągnęliśmy niemało. I nie spoczywamy na laurach. Dynamika myśli ludzkiej jest zjawiskiem niepowtarzalnym w przyrodzie. Jej heroizm staje się w pełni widoczny właśnie dopiero na tle czasu życia jednostki...

– Stawał – przerwał z naciskiem Dary. – Stawał. Nie staje. Nie tylko heroizm, ale i piękno. Oczywiście, masz rację. Ten sam heroizm i piękno, które was urzekają, kiedy stajecie przed piramidami. Odnoszą się zawsze do przeszłości. A co dalej? Weźmy chociażby dotychczasowy kierunek rozwojowy. Przestrzeń. To znaczy co? Najbliższe gwiazdy? Dobrze. A potem? Kwazarowce, statki tachjonowe. Niech będzie. To zwiększa zasięg do obszaru Galaktyki. I koniec. Zagadnienie kosmosu jest zagadnieniem czasu, to jasne jak dwa a dwa cztery. Ale kosmos to tylko hasło wywoławcze... Precedens. Jeżeli raz uznamy jakąś granicę za nieprzekraczalną, możemy pożegnać się ze wszystkim.

Dłuższą chwilę panowało milczenie. Luta leżał na wznak z rękami pod głową i patrzył w sufit. Fros wsunął się nieco głębiej w fotel. Obcy wymienili pomiędzy sobą krótkie spojrzenia i znieruchomieli.

– W tym, co mówicie – odezwałem się wreszcie – jest być może jakaś idea... jeśli już nie ideologia. Tyle że nie nowa. Przedstawiacie się tak, jakby przed wami nikt nie pomyślał o perspektywach cywilizacji. Tymczasem od początku świata ludzie nie robili nic innego. Pierwszy lot na księżyc trwał dokładnie tyle, ile potrzebują obecne statki, żeby przebiec orbitę Jowisza i wrócić na Ziemię. Teoretycznie jesteśmy w stanie przekroczyć granice Galaktyki... a przecież nie jest to nasze ostatnie słowo. Czasem interesowali się nasi wspólni przodkowie, astronomowie, fizycy, humaniści, od bardzo dawna. Jego zależnościami matematycznymi i... sensem. Niech wam się nie zdaje, że jesteście tak bardzo oryginalni.

– Wcale nie chcemy być oryginalni – odparował Dary. – Przeciwnie. Świadomie utrzymujemy się w obszarze ekstrapolacji... tyle że rozszerzyliśmy jego granice. A raczej nie uznajemy tych granic... chcemy iść w określonym kierunku dlatego, że to wynika z naszego wyboru, a nie z braku innych możliwości. Jeśli nie widzisz różnicy... – zawiesił głos i utkwiał we mnie badawcze spojrzenie. Ale nie czekał na odpowiedź. Zacerpnął powietrza i mówił dalej:

– Nie dziwcie się, że zareagowaliśmy tak żywo, kiedy wspomnieliście o skafandrach. One są dla nas symbolem konserwatyzmu... trzymania się kurczowo tradycyjnego środowiska. Jeśli już nie można inaczej, to przynajmniej stwórzmy namiastkę tego środowiska w milimetrowej warstwie wokół skóry, w butlach na plecach, w aparaturze korekcyjnej... I nie tylko konserwatyzmu. Także pogodzenia się z istnieniem granic nieprzekraczalnych... mówiłem przed chwilą. Pojemność butli ogranicza wasze pole działania, strzałka manometru przypomina, że jesteście intruzami... w każdym prawie świecie poza jedną jedyną Ziemią. Czy to nie brak odwagi? Czy człowiek nie

powinien dążyć do tego, aby jego myśl ogarniała przestrzeń, jak teraz, powiedzmy, tę kabinę? Bo przecież chodzi o tę myśl właśnie, i tylko o nią, o dynamikę naszych struktur informatycznych, a nie ich formę czy zgoła narzędzia, jakimi są elementy naszych organizmów. Tak jak przekształcaliśmy narzędzia w miarę postępu cywilizacyjnego, tak samo musimy postąpić z naszymi płucami, sercem, z budową tkanek i czym tam jeszcze, jeśli nie chcemy u kresu drogi osiągnąć błogostanu układów bezwzględnie odosobnionych. To znaczy odciętych od dopływu informacji i kontentujących się trwaniem.

– Ciekawy pogląd... – zamruczał Luta. – Bardzo ciekawy. Ale tak mi się zdaje, jakbym gdzieś już to wszystko słyszał... czy czytał? Co mówiłeś przed chwilą, Mur? Aha, już wiem. Że bardzo trudno wymyślić coś nowego...

– Owszem, czytałeś – zareplikował Kleen. – Zapewne nie raz i w wielorakim naświetleniu. No i co z tego? Czy ktoś próbował coś więcej niż mówić lub pisać? Milczysz? Więc ci podpowiem. Nie, nie próbował. Mało tego. W dyskusjach na ten temat wypowiadało się wielu powszechnie szanowanych specjalistów. Jeszcze w czasach, kiedy nikomu się nie śniło o zasiedlaniu Alfy... my też mamy książki. Nie brakło głosów reprezentujących już wtedy nasz obecny punkt widzenia. Były przyjmowane rzeczowo i spokojnie. Nikt nie rozdzierał szat, nikt nie krzyczał, że to wyparcie się człowieczeństwa, degeneracja, zerwanie z tradycją kulturową i tak dalej. Wszystko przebiegało w salonowej atmosferze: „słowa szanownego kolegi budzą we mnie mieszane uczucia”..., „wysoko cenię autorytet mojego uczonego przedmówcy, ale”... wiecie, jak to jest. Jednak skoro tylko ktoś zaryzykował przejście od słów do czynu, kiedy przeprowadziliśmy pierwsze doświadczenia, jakieś drobne jeszcze korektury kodów genetycznych, natychmiast okrzyknęliście nas zwyrodnialcami, których trzeba tępić jak zarazę. Decydowanie o przyszłości istot ludzkich bez ich udziału! Kryteria doboru rodziców! Powiedzenie, że traktowaliście nas jak zwierzęta, byłoby zbyt łagodne, bo zwierzęta darzycie...

– Powoli... – powiedział dobitnie Luta. – Co to znaczy „my”? Czego chcecie od nas?

– A kto? – parsknął milczący dotąd Zara. – Kim byli Nowi, kiedy przybyli na Trzecią? Wychowankami starej Ziemi. Może niezupełnie wiernymi, ale im chodziło o coś zupełnie innego... W każdym razie do nas odnieśli się tak a nie inaczej, występując z pozycji reprezentantów ziemskiej cywilizacji... którą chłonęli i kształtowali prawie sto lat dłużej niż nasi. Więc mamy prawo mówić „wy”.

– Dobra, dobra – w głosie Luty nie zabrzmiała choćby nutka wzburzenia – zostawmy to. – Nigdzie nie jest powiedziane, że musimy kochać się nawzajem. Ja przynajmniej poradzę sobie bez tego. Więc co z tym czasem?

Nikt nie odpowiedział. Luta odczekał chwilę, po czym unosząc głowę powiedział:

– Skończcie, skoroście zaczęli. Domyślam się, jaki związek mają wszystkie te eksperymenty, które jakoby budzą w nas odrazę, z rozwiązaniem kwestii czasu. I do czego zmierzacie. Ale narzekacie, że źle was oceniamy, więc nie chcę popełnić kolejnego błędu. No?

Kleen poprawił się w fotelu i odchrząknął ale ubiegł go Dary.

– Chcemy osiągnąć uniwersalizm przystosowawczy. Ale dynamiczny. Torować myśli ludzkiej drogę w nieskończoność wszechświata, wyposażając nasze organizmy w zdolność natychmiastowej adaptacji do wszystkich występujących w nim środowisk...

– Także do próżni? – wtrącił szybko Fros. Jego oczy błyszczały. Oddychał ciężko, jak po biegu na długi dystans.

– Także... a nawet przede wszystkim do próżni – odpowiedział Dary. – To znaczy tego, co potocznie nazywamy próżnią... materii międzygwiazdowej i międzygalaktycznej.

A rozwiązanie problemu czasu, tkwi nie gdzie indziej, jak właśnie w przestrzeni. Przynajmniej w pierwszym etapie... – urwał i pomyślał chwilę. Wreszcie westchnął i bezradnie rozłożył ręce.

– Nie potrafię tego jasno wyłożyć – powiedział przeproszającym tonem – – pierwszy raz rozmawiam z kimś tak dalece... – zająknął się.

– Niezorientowanym – podrzuciłem. Skinął głową.

– Tak... To znaczy tak dalece obcym naszemu życiu i naszym sprawom... spróbujcie sobie dopowiedzieć to, czego nie umiem wyrazić... no więc wróciliśmy do teorii tachjonów. Wiem, wiem, to już nie tylko teoria... ale jej dotychczasowe zastosowania nie wychodzą poza narzędzia. Mówiąc o powrocie do teorii, mam na myśli jej pierwotną, najogólniejszą postać, przedstawiającą tachjony jako cząstki, które przy szybkości światła mają nieskończoną energię i pęd, a tracąc energię ulegają przyśpieszeniu. Wreszcie po dojściu do energii zerowej osiągają prędkość nieskończoną.

– Podróże w czasie – bąknąłem.

– Tak to kiedyś nazywano – uśmiechnął się Dary. – Dlaczego nie? Z jednym zastrzeżeniem. Nie na tym szczeblu ewolucji, który osiągnęliśmy wszyscy, jak tu siedzimy...

– Nawet wy? – wtrąciłem zjadliwym tonem.

– Oczywiście – odrzekł z powagą. – To, co zrobiliśmy, to dopiero... nie ma o czym mówić – machnął! pogardliwie ręką. – Ale i przez to trzeba było przejść...

– No i pewnie – parsknąłem. – Przekształcenie ludzkich organizmów tak, żeby mogły się zachowywać jak tachjony czy inne cząstki, to coś więcej niż skrzela i jakieś worki do oddychania dwutlenkiem węgla. O tyle więcej, że aż mi was żal. Chwilami sprawiacie wrażenie jakbyście wszystkie klepki mieli na właściwym miejscu. Niestety, przy bliższym poznaniu...

– No cóż – nie pozwolił mi skończyć Kleen – mogę tylko przypomnieć, jak natrząsano się z ludzi, którzy próbowali skonstruować aparat latający cięższy od powietrza...

– Rzeczywiście! – wykrzyknąłem. – Nie pomyślałem o tym. Różnica, rzekłbym, żadna...

– Zaraz, zaraz – zniecierpliwił się Fros. – Przecież każdy mikroorganizm, który znajdzie się poza granicą jakiego bądź układu planetarnego, otrzyma natychmiast dawkę promieniowania ultrafioletowego i twardego dziesięć do piątej potęgi razy większą od śmiertelnej. A cóż dopiero struktury bardziej skomplikowane...

– Właśnie – podchwycił Dary. – Nam wcale nie chodzi o mikroorganizmy. A struktury wyższego rzędu charakteryzują się mniejszymi zdolnościami adaptacyjnymi, prawda? Otóż nie zawsze... jak widać na załączonym obrazku. Zresztą, to tylko droga... Ale nie pozwolimy się z niej sprowadzić. Nikomu... – dorzucił z naciskiem.

– To dobrze – burknąłem. – Może się kiedyś spotkamy. za, powiedzmy, tysiąc lat. Będziemy właśnie wracać z krańca metagalaktyki i zastanawiać się, co zrobić z resztą tak mile rozpoczętego popołudnia...

– Ja nie – powiedział z przekonaniem Luta. Fros wybuchnął krótkim, nerwowym śmiechem.

– Nie śmieć się – upomniałem go surowym tonem. – Nie wypada. Oni tu o wieczności... czy raczej o życiu w nieskończoności, a ty...

– Właśnie – mruknął Luta. – W końcu jednak zeszło na filozofię. Co jednak może taka jedna maleńka burza. Wszyscy mamy jednego hyzia, wy i my...

– Prawa fizyki – Fros zasmucił się nagle – są równe dla wszystkich regionów wszechświata. Przynajmniej dla regionów znanych. Jeszcze w dwudziestym wieku wysunięto hipotezę życia opartego na zbiorze cząstek elementarnych... bez udziału komórek. I w tymże dwudziestym wieku obalono tę hipotezę. W każdym razie stała się ona nieprzydatna z waszego punktu widzenia –

spojrzał na Kleena. – Udowodniono bowiem, że takie cząstki musiałyby łączyć się z sobą i istnieć w czasie – ostatnie słowa Fros przesyłabizował. – A więc nawet gdybyście chcieli rozpylić ludzkość na cząstki elementarne, co jest oczywiście utopią, ale co wcale nie byłoby jeszcze najbardziej skomplikowanym sposobem urzeczywistnienia waszej idei, i tak nic by z tego nie wyszło...

– ...co było do udowodnienia – przypieczętował Luta.

– Zobaczymy... – mruknął Dary. – Nie my zaczęliśmy tę rozmowę...

Dłuższą chwilę panowało milczenie. W końcu Luta ziewnął, przeciągnął się, aż mu w piersiach zatrzeszczało i spojrzął na zegarek.

– Pięć po czwartej – westchnął. – Wiecie jak ma na imię największy wróg postępu? To, co nazywacie konserwatyzmem? Brak odwagi? Nie, moi drodzy. Gadulstwo. Najzwyklejsze gadulstwo... – powtórzył.

– Dlaczego? – zaprotestował Fros. – To było bardzo interesujące...

– Interesujące, tak – przerwał mu Luta. – Ale czy bardzo? Może nie umiem docenić – zwrócił się do Kleena – wszystkich subtelności waszego rozumowania. Co innego, gdybyśmy siedzieli na tarasie w jakimś przyzwoitym rezerwacie i popijali przez słomkę mrożoną kawę. Pewnie starałbym się przynajmniej nadażyć za waszą wyobraźnią. Rzecz w tym, że tutaj ciągle płacze mi się po głowie jedna myśl, a właściwie jedno pytanie. Co mianowicie spowodowało was na ten glob? To znaczy co zdecydowało, że wasza wycieczka doszła do skutku? Dwutlenek węgla i to świństwo w morzu, czyli idealny poligon dla świeżo „przystosowanych”, katastrofa statku... pierwszego statku – podkreślił – czy też ta nasza biedna skorupa? – poklepał poręcz fotela.

– Nie stacja – odpowiedział szybko Dary. – A już na pewno nie chęć zawładnięcia nią. Nie szukamy konfliktu z Ziemią. Ostatecznie – uśmiechnął się – konflikt jest także formą kontaktu...

Luta usiadł i wyprostował się. Rysy jego twarzy stwardniały.

– Jeśli to prawda... – rzucił. – Mieliśmy sobie nawzajem coś udowodnić. My pokazaliśmy wam statek. A wy oszukaliście nas. Przynajmniej próbowaliście. No, proszę, powiedzcie teraz, co mamy zrobić, jeśli automaty nie trafią na ślad Yiandena? Gdzie go szukać? U was czy u tych, których nazywacie "Nowymi"? A może jeszcze gdzie indziej? I czy możemy polegać na waszych informacjach? Licho wie jak daleko zechcecie się posunąć... w imię tego waszego czasu czy czego tam. Ciągłe powtarzanie „my-wy”, „my-oni”, ciągle macie o coś pretensje. Co było, to było. My natomiast, jak tu siedzimy, nie szukaliśmy was i nie zapraszali. Przysyłacie tu statki, które eksplodują, zabijając naszych. Jeśli to przypadek... Potem pouczacie nas, na czym polega postęp. A ja chciałbym wiedzieć, czy „statek”, który wystartował stąd z dwoma ocalałymi członkami waszej załogi, załóżmy, że naprawdę było ich czterech, i, być może, z Yiandenem, dotarł na Trzecią? I czy nie wylądował w waszym, jak mówicie, mieście?

– Nie – rzucił krótko Kleen.

– Nie – powtórzył Dary.

Luta nie spuszczał wzroku z ich twarzy. Milczenie przeciągało się. Zza pulpitu dobiegł pojedynczy trzask przełącznika. Automaty samoczynnie korygowały ciśnienie, w zależności od warunków panujących na zewnątrz.

– Czy wy uwierzylibyście na moim miejscu?

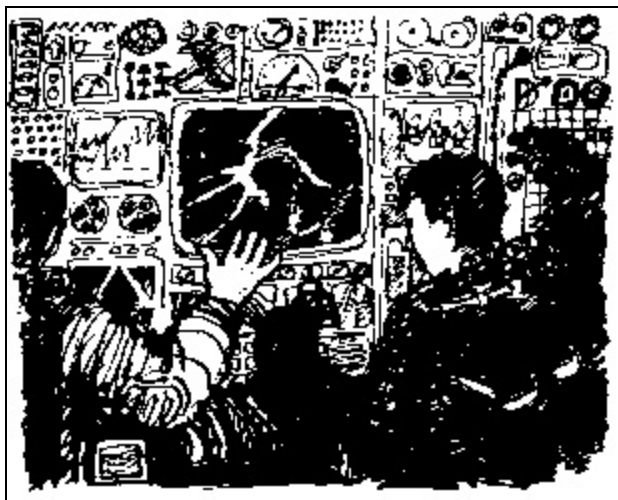
Dary wstał. Odsunął fotel jakby ze złością i postąpił krok w naszą stronę.

– Nie wiem – warknął. – I nie sądzę, żeby to miało większe znaczenie. Jeśli zechcecie tam lecieć, będziecie się i tak musieli dowiedzieć jak tamci mieszkają, jakie noszą ubrania i tak dalej. Twoje wątpliwości są bez sensu. Musicie zapytać o to nas i chcąc nie chcąc dostosować

się do tego, co wam powiemy. Po prostu nie macie innego wyjścia.

Luta wstał również. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Odruchowo położyłem dłoń na kaburze miotacza. Ale nic się nie stało. Twarz Luty powoli topniała. Ramiona mu opadły. Zaczerpnął powietrza, odwrócił się i nie patrząc na nikogo z obecnych rzucił:

– Fros, sprowadź ich na dół...



Po kliknięciu nastąpi przeskok do nagłówka

', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#00006C', BgColor, '#00FFFF', TextColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();" >

Po kliknięciu nastąpi przejście do części 4

', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#6C3800', BgColor, '#00FFFF', TextColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();" >

Po kliknięciu nastąpi przejście do części 6

', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#004800', BgColor, '#00FFFF', TextColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();" >

Górna warstwa dymu i kurzu wypełniającego kotlinę wyglądała z daleka jak tafla pokrytego brudną pianą jeziora. Im bliżej jednak, tym wyraźniej dostrzegało się falujące w jej wnętrzu pasma, na przemian ciemne i niemal białe, targane chwilami gwałtownymi prądami. Otaczające dolinę ziemiste stożki, tkwiące w tej ponurej topieli do połowy wysokości zboczy sprawiały wrażenie posepnego, milczącego kordonu.

Bolały mnie wszystkie kości. Całą drogę przemierzyłem w dość osobliwej pozycji, trzymając lewą nogę na zewnątrz pojazdu. To skutki burzy. Pozostawiony na lądzie łazik, porwany przez ścianę kurzawy, przed którą my uciekliśmy pod wodę, uderzył burtą o wystającą ze zbocza skałę. Powinienem być coś z tym zrobić przed wyruszeniem w drogę, ale skoro tylko przekonałem się, że silniki pracują normalnie, ruszyłem i nie zdejmując nogi z gazu, przeleciałem te bez mała osiemdziesiąt kilometrów dzielących zasnutą dymem kotlinę od oceanu.

Przetoczyłem się przez ostatnią przełęczkę i zwolniłem. Widoczność pogarszała się z każdym metrem, zapaliłem reflektory, a raczej jeden z nich, bo pozostałe ucierpiały w czasie burzy, ale nie na wiele to się zdało. Nasłuch przynosił narastający łoskot, z jednostajnego szumu przebijało chwilami wibrowanie agregatów wiertniczych i sprężarek, zgrzyt ciężkich wysięgników, jęklive zawodzenie sygnałów. Na moment wszystko ucichło i raptem atmosferą wstrząsnął potężny grzmot, masy kurzu zmieszane z grudkami żwiru i odłamkami skał wzbily się w krzaczastym wybuchu, porywając za sobą chmurę pyłu, która nabrawszy wysokości, poczęła pęcznić na kształt przyduszonego grzyba. Odsłonięte dno niecki ukazało szerokie, płytkie wykopy, w które zapuszczały się pochylone ramiona koparek, kilka płaskich maszyn przetwórczych i dwa transporterzy na monstrialnie wielkich kołach. Jeden z nich, ciężko wyładowany, pełznął właśnie ku niskiej przełęczce, a raczej wąskiej dolince, wyprowadzającej z zamkniętego wzgórzami obszaru w stronę, gdzie niespełna czterdzieści kilometrów dalej stał „Rubin”. Na skraju doliny, mniej więcej naprzeciw zbocza, którym toczył się teraz łazik, widniała maleńka sylwetka Frosa. Patrząc w stronę, gdzie przed chwilą eksplozja wyrwała ze skalnego łoża kolejną porcję lutetu, tłumaczył coś automatom nadzorującym. Widziałem go nie dłużej niż kilkanaście sekund, zaraz potem maszyny ruszyły, kotliną ponownie wypełnił piekielny jazgot, spod zębów koparek i łap transporterów wzbily się tumany pyłu, które wkrótce przesłoniły dno niecki i okoliczne stoki. Jechałem jeszcze chwilę wytrzeszczając oczy, przygotowany, że z chmury wyłoni się nagle masa jakiegoś buldożera czy automatycznej przetwórci, wreszcie zastopowałem.

– Fros! – zawołałem. – Fros, słyszysz?!

Słuchawki odpowiedziały dalekim, zniekształconym dźwiękiem. Skafandry nie mają urządzenia, które pozwoliłoby wyłączać nasłuch. Podobno ze względów bezpieczeństwa.

– Fros, idę do ciebie!

Tym razem udało mi się wyłuskać kilka słów odpowiedzi.

– Uważaj... wykopy... najlepiej obejdz...

Okrążyłem miejsce, z którego dochodziły odgłosy najbardziej zawziętej kotłowaniny i osiągnąwszy podnóże przeciwległego zbocza, skręciłem w stronę, gdzie jak zapamiętałem, stał Fros ze swoimi automatami.

– Odezwij się, Mur – zabrzmiało w słuchawkach. – Gdzie jesteś?

– Niedaleko – powiedziałem.

– Czy wiesz już...

– Siedzisz tu od rana – przerwałem. – Daj także innym popracować...

– Nie trzeba – głos był coraz bliższy. – Już kończę. Ostatni transport. Automaty wróciły?...

– Nie – bąknąłem. – Jak wrócą, Luta da nam znać. Pewnie sam przyjdzie...

Przeszedłem jeszcze kilka kroków i ujrzałem tuż przed sobą wyłaniający się z kurzu zarys kasku. Zanim zdążyłem odsapnąć, Fros pochylił się i dał znak automatom. Kotlinę ogarnęła cisza. Po chwili ponownie dał się słyszeć odgłos pracujących silników i tarcia metalowych zaczepów

O skałę, ale w porównaniu z poprzednim jazgotem był to zaledwie szmerek. Zrozumiałem, że maszyny i pojazdy ustawiają się w kolumnę przed wyruszeniem w powrotną drogę do statku. Niebawem mogłem się o tym przekonać na własne oczy. Pył zaczął opadać, otaczające dolinę wzgórza zdumiewająco szybko nabierały ostrości.

Fros odczekał, aż ostatnia z maszyn skieruje się na drogę ku przełęczy, po czym spytał: – Co robią tamci? Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem. Może śpią. Mieli wczoraj kilka mocnych wrażeń.

– Nie tylko oni – mruknął ponuro.

Tak, nie tylko oni. Ale my nie podejmowaliśmy trudu nawracania kogokolwiek na nasz sposób widzenia świata i przyszłości. Nie musieliśmy tłumaczyć się z kłamstw, które miały zatrzeć obraz tego, co naprawdę zdarzyło się na Drugiej przed naszym przybyciem. Powiedziałem mu to.

– Dziwisz się? – spytał. – Myślisz, że my na ich miejscu postąpilibyśmy inaczej?

– Nie dziwię się – burknąłem. – I nie wiem, co by było, gdybym to ja biegał po dnie lub wdychał dwutlenek węgla. Mój łazik został na tamtym zboczu – zmieniłem temat wskazując ruchem ręki kierunek. – Pójdiesz ze mną?

Zachnął się, ale nic nie powiedział.

Przecieliśmy dno kotliny, omijając rozległe wyrobiska, i rozpoczęliśmy wspinaczkę. Kiedy teren stał się bardziej płaski, Fros przystanął nagle. Z rozpędu omal go nie przewróciłem.

– Co się stało? – spytałem ze złością.

– Nic – odpowiedział. – Pomyślałem tylko... – urwał. Chwilę poruszał bezgłośnie wargami, po czym westchnął. – Co ci jest, u licha? – zniecierpliwiłem się.

– Nic... – bąknął wreszcie. – Zastanawiam się, czy oni nie mają racji...

– W czym? – spytałem cierpko. – W tym, że odżegnali się od Ziemi czy że rozwalili tamtych dwóch... wszystko jedno, przypadkiem czy nie. A może w tym, że uważają nas za wsteczniaków?

Zamachał obiema rękami naraz, jakby odganiał się od komarów.

– Wiesz, o czym mówię – powiedział podniesionym tonem. – Nie żebym miał przyjąć za dobrą monetę wszystko, co wymyślili. Ale... – zawahał się – chciałbym się przyjrzeć bliżej, jak to robią. Zobaczyć instytuty. Posłuchać, jak dyskutują, kiedy są we własnym gronie...

– To ostatnie będzie raczej trudne – zauważyłem z przekąsem. – A co do ich instytutów... – powiedz im. Może cię zaproszą. W końcu coś nam się od nich należy. Obiecuj im, że odprowadzisz ich do domu, jeśli pozwolą ci pobyć trochę u siebie. Widzę przecież do czego zmierzasz...

Odwróciłem się do niego plecami i ruszyłem w stronę łazika. Był już niedaleko. Nad nim, kilkanaście metrów w górze, jaśniało szerokie siodło przełęczy. A dalej, w linii prostej, setki, może tysiące kilometrów stąd, widoczne jak na dłoni zarysy linii brzegowej oceanu obejmującego dwie trzecie powierzchni przeciwległej półkuli. Po wczorajszej burzy atmosfera była czysta jak kryształ. Jak okiem sięgnąć śladu chmur.

Usłyszałem za sobą przyśpieszony oddech. Dogonił mnie i przystanął. – Mur... Szedłem dalej. Nie obejrzałem się nawet.

– Mur... – powtórzył z naciskiem.

Dotarłem do łazika i jak mogłem ulokowałem się za sterem. Poczekalem, aż zajmie miejsce w

fotelu obok, po czym przyjrzałem mu się. Może odrobinę dłużej, niż było trzeba.

– Wiem, co chcesz powiedzieć – starałem się mówić spokojnie – że to są także ludzie, tylko mają nieco inne poglądy niż ty i ja, że niejedno przeszli i że koniec końcem nie możemy ich tak zwyczajnie zabić. To znaczy nie możemy ich zostawić na pastwę losu. Z czego już niezbiecie wynika, że musimy ich odstawić na Trzecią. Otóż uważaj, co ci powiem – mimo woli podniosłem głos – po pierwsze, nie musimy. Nie zostaliśmy wysłani dla nawiązania kontaktów z obcą cywilizacją, z którą Ziemia nic przedtem nie miała do czynienia. Po drugie, nie tylko możemy, ale powinniśmy ich zabić, jeśli uznamy, że inne rozwiązanie będzie się wiązać z ryzykiem. Bo nie mamy prawa ryzykować. A wreszcie, uważam, że jak długo nie odnajdziemy Yiandena, wszystko jedno, żywego czy martwego, na tym globie czy na Trzeciej, i tak nie ma się nad czym zastanawiać. Pamiętasz, co Luta mówił wczoraj o gadulstwie?

Nie odpowiedział.

Spokojnie wycofałem pojazd na przełęcz i zawróciłem. Nie musieliśmy jechać przez spustoszoną kotlinkę. Droga górami była krótsza. Oczywiście, nie dla zbyt ciężkich maszyn.

Kiedy przybyliśmy na miejsce, w otworze ładowni znikła ostatnia koparka. Na dole czekały jeszcze dwie gąsienicowe przetwórnice w asyście bezrobotnych już automatów.

Odczekaliśmy aż ostatnia maszyna zjedzie z szerokiej, wzmocnionej sklepieniami dźwigarami platformy, po czym pojechaliśmy na górę. Ani w czasie jazdy, ani przy statku, ani też przez następne godziny, które upłynęły nam na sprawdzaniu ogniów informatycznych i pokładowej energetyki, żaden z nas nie odezwał się słowem.

Statek był gotów do lotu. Grodzie ładunkowe pełne lantanowców poddanych wstępnej przeróbce zapewniały zapas paliwa, wystarczający dla wielokrotnego lotu na Ziemię. Baterie laserowe i przetwornice antymaterii posiadały rezerwy energetyczne w nie uszczuplonym stanie. Przekazniki i zespoły automatyki funkcjonowały normalnie. Kabina lśniła czystością, klimatyzatory sączyły powietrze z domieszką substancji odżywczych. Zapasami wody i koncentratów można było nakarmić i napoić załogę dużej, orbitalnej stacji.

Kończyliśmy przegląd kriogenicznych łączy systemu chłodzenia, kiedy z kabiny nawigacyjnej dobiegł przerywany sygnał wezwania. Domyśliłem się, że to Luta, i zamiast do pulpitu poszedłem prosto w kierunku śluzy. Odblokowałem automat i odczekałem kilka minut, aż nad wejściem zapłonie zielona lampka. W drzwiach omal nie zderzyłem się z Luta. Był już bez kasku i wyglądał, jakby całą drogę z wybrzeża przemierzył pieszo.

– Jak u was? – mruknął, mijając mnie w ciasnym korytarzu prowadzącym do nawigacyjnej. Nie czekając na odpowiedź, pchnął drzwi, rozejrzał się i poszedł prosto w stronę fotela. Usiadł ciężko, zaczerpnął pełną piersią powietrza i przytrzymał go w płucach, jakby rozkoszując się jego świeżością.

– Co robiłeś? – spytałem.

Chwilę siedział jeszcze bez ruchu, po czym machnął ręką.

– Takie tam... – zamruczał. – Sprawdziłem układy stacji, trochę rozmawiałem... byłem na płaskowyżu.

– Byłeś na płaskowyżu?

– Uhm...

W tym momencie do kabiny wszedł Fros. Zbliżył się szybko i zatrzymał tuż za moimi plecami.

– No i co? – rzucił.

Luta milczał dłuższą chwilę, następnie uniósł ramiona i splótł dłonie, obejmując nimi tył głowy.

- Ano nic – powiedział cicho, że ledwo usłyszałem.
- Nic... – szepnął jak echo Fros.
- Automaty? – rzuciłem jeszcze, choć to nie było już – potrzebne.
- Automaty zrobiły co mogły – odburknął Luta. – Tam po prostu nie ma żadnych śladów prowadzących w góry... czy gdziekolwiek indziej. Byłem na miejscu... kilka godzin.
Zrozumiałem, dlaczego tak mu się śpieszyło na fotel.
- Wspomniałeś, że rozmawialiście... – zaczął po chwili Fros. – Powiedzieli coś... nowego?
Głowa Luty wykonała pół obrotu, jakby chciał zaprzeczyć i rozmyślił się nagle.
- To zależy – powiedział, przeciągając sylaby. – Mówili, jak żyją... na Trzeciej. Nie tyle oni, co ci... „Nowi” – wymówił to słowo ze szczególnym akcentem, jakby z trudem przechodziło mu przez usta. – Naszkicowali trochę map... i tyle.
- To nie mało – mruknąłem. – Pod warunkiem, że jest w tym choć szczypta prawdy...
Luta odwrócił nagle głowę i zmierzył mnie ostrym spojrzeniem.
- W jednym w każdym razie nie kłamali – powiedział spokojnie. – Że nie mamy innego wyjścia, jak oprzeć się na ich informacjach.

W kabinie zapanowała cisza. Z daleka, jakby z zewnątrz statku dobiegł ledwie słyszalny odgłos spadających kropel. Agregaty chłodnicze, wyłączone na czas przeglądu, wracały do normalnej pracy.

Milczenie przeciągało się. W pewnej chwili odniosłem wrażenie, że siedzimy tak od kilku godzin. W rzeczywistości były to sekundy.

– No to lecimy... – szepnął wreszcie Fros. Jego głos brzmiał głucho. Odchrząknął i powtórzył odrobinę głośniejsze:

– Lecimy...

– Lecimy – powiedziałem z naciskiem. Luta poruszył głową, jakby chciał dać znak, że zrozumiał o co chodzi, ale nic nie powiedział.

– Więc kto leci? – nie wytrzymał wreszcie Fros. – Losujemy? Zaraz poszukam... – odwrócił się i wybiegł na korytarz. Usłyszeliśmy, jak potyka się o próg w przejściu do części mieszkalnej, po czym nastąpiła cisza.

– Losujemy? – spytałem półgłosem.

Milczał. Można było pomyśleć, że zasnął.

W głębi trzasnęły drzwi, zabrzmiał odgłos kroków, tłumiony elastyczną wykładziną podłogi, i jakieś delikatne dźwięki, jakby ktoś zabawiał się przesypywaniem szklanych paciorków. Do kabiny wkroczył Fros, od progu wyciągając w naszą stronę otwartą dłoń, na której widniały cztery kostki do gry.

– Tylko jeden rzut – mówił, podchodząc do płaskiego obramowania pulpitu. – Ty i ja – spojrzał na mnie zachęcająco.

Tak. Ja albo on. Jasne było, że Luta poleci w każdym razie.

– No? – Fros skinął na mnie, wskazując bielejącą na srebrzystej płycie kostkę. Odruchowo zrobiłem krok do przodu.

– Zostawcie – westchnął Luta. – Nie tym razem. Nie będzie żadnego losowania. Mur – odwrócił się do mnie profilem – nie we wszystkim się z tobą zgadzam, ale...

– ...tam, gdzie nie ma zbyt wiele do rozumienia – podrzuciłem – i gdzie nie należy się zbytnio patyczkować, tam jesteś nie do zastąpienia...

Przyjrzał mi się bez uśmiechu.

– Właśnie – mruknął.

Startowaliśmy następnego dnia o godzinie trzynastej czasu miejscowego. Luta nie prowadził już żadnych „rozmów”. Nawet Fros odmówił sobie przyjemności złożenia wizyty na dolnym pokładzie stacji. Noc przesiedzieliśmy przy kalkulatorach. Lot będzie przebiegać z zachowaniem analogicznych środków ostrożności jak poprzedni. Jeśli jednak rezygnacja z zamiaru i łączności miała istotnie zwiększyć szansę zaskoczenia ludności Trzeciej, nie było mowy o wchodzeniu na orbitę. Korytarz należało namierzyć z dokładnością milimetrów, najkrótszą, jeśli nawet nie najpewniejszą drogą. Powinniśmy spaść z zenitu w ściśle określony punkt na dziennej półkuli. Sprzyjającą okolicznością był wykryty przez aparaturę stacji wzrost natężenia wiatru słonecznego w rejonie Alf, co do pewnego stopnia ułatwiało wprowadzenie w błąd ośrodków przechwytyjących. Ich nie spodziewające się niczego załogi mogły odczytać zapisy jako wynik zwykłych w takich okolicznościach zaburzeń.

Mapy Trzeciej, od wielu lat nie korygowane, nie dawały żadnej gwarancji prawidłowego wyboru miejsca lądowania. Nie mieliśmy jednak nic pewniejszego. Trochę w oparciu o nie, trochę posługując się sporządzonych przez obcych szkicami, a trochę po prostu na wycucie wybraliśmy w końcu miejsce, dostatecznie oddalone od miasta „Nowych”, nie tak jednak, żeby droga lądowa miała nam zająć więcej niż kilka dni. Był to obszar pomiędzy dwoma pasmami górskimi, prawdopodobnie mało dostępny, gdzie, jak mogło się zdawać, nieliczni mieszkańcy planety nie powinni mieć nic do szukania.

Lot przebiegł zgodnie z planem. Nie był przyjemny. Nikt nie mógł przewidzieć, jak potoczą się wypadki, kiedy staniemy twarzą w twarz z ludźmi, którzy nie tylko odcięli się od Ziemi, ale raz już nie pozwolili naszej załodze bodaj odetchnąć powietrzem ich globu. Poza tym czaszki przewiercał nam nieustanny zgiełk zmieszanych głosów, melodii i sygnałów. Tym razem nie mogliśmy sobie pozwolić na wyciszenie nasłuchu radiowego. Istniała nikła szansa, że w wypadku wykrycia statku przez ich obserwatorów, ci ostatni nadadzą jakiś komunikat lub powiedzą coś, co nas uprzedzi, że nie musimy już bawić się w konspirację.

Wpadliśmy w atmosferę z szybkością, za którą na każdym poligonie przyszłoby nam odpokutować miesięczną kuracją w zacisznym domu, otoczonym łagodnym krajobrazem. Temperatura w kabinie skoczyła do sześćdziesięciu stopni, wycie sprężarek zagłuszyło nawet głosy przychodzące z zewnątrz. Z linii nadiru wyprowadziliśmy statek nie wyżej niż pięć tysięcy metrów. Przeciążenie na łuku na dobre kilkanaście sekund pozbawiło mnie zdolności widzenia. Kiedy obraz na ekranie rufowym odzyskał kontury, statek szedł już spokojny, pozornie nieruchomy, jak zawieszona w powietrzu iglica. Ziemia była tuż. Strzelające ostrymi szczytami grzędy skalne pełzły wyżej i wyżej, góry zamykały się nad nami i wokół nas. Nagle wszystko znieruchomiało. Tym razem nie czekałem nawet na ten ostatni, ledwie wyczuwalny wstrząs. Kiedy tylko ujrzałem, że na tablicy zapalają się kontrolne światła wsporników, wyrzuciłem na zewnątrz wszystkie anteny.

Cisza. Luta włączył nasłuch. Nikłe, znajome odgłosy, jak zawsze, kiedy automaty badają spoistość podłoża, skład atmosfery, temperaturę. Przyspieszone gdakanie przekaźników, poskrzypywanie stygnących wylotów.

– Na razie tyle – mruknął Luta odpinając pasy.

– Namierzyłeś? – spytałem. Skinął głową.

– Tak. Jest tam – wskazał ręką punkt na siatce, z którego płynęły odbierane przez nas fale radiowe. Tam było miasto.

– Prosto na północ – mruknąłem półgłosem. Wstałem i zrzuciłem kask. Następnie dłuższą chwilę

pracowałem przy komputerze. Zanim przejmie opiekę nad statkiem, musimy mieć pewność, że przygotowany wcześniej program został należycie zapamiętany.

Kiedy skończyłem, Luty nie było już w kabinie. Od strony śluzy dobiegał dziwny, jednostajny dźwięk. Ostatni raz przebiegłem spojrzeniem czujniki, sprawdziłem ustawienie przekaźników w przystawkach pamięciowych i pulpicie łączności, wydobyłem z pojemnika przygotowane specjalnie rezerwowe komplety ogniw energetycznych osobistej aparatury oraz miotaczy, po czym starannie zamykając za sobą drzwi, wyszedłem na korytarz.

Ten dźwięk, jakby obluzowanej struny, to był wiatr. Kłapa śluzy stała otworem. Komora, rozświetlona zwykle blaskiem jednej ksenonowej lampy, była pełna słońca.

Przez owal wjazdu ujrzałem Lutę. Stał z gołą głową, oparty o niską poręcz platformy dźwigu i wodził wzrokiem po okolicznych szczytach. Jego włosy stały się w ostrym słonecznym świetle zupełnie białe. Ich kosmyki powiewały zabawnie, jak to się widuje na niektórych zdjęciach, kiedy ich autorom chodzi o stworzenie nastroju odprężenia i sielankowości.

Stanąłem obok niego i odetchnąłem głęboko. Po raz pierwszy od miesiący mogłem to zrobić na otwartej przestrzeni, nie uszczuplając zapasu dźwiganego na plecach tlenu.

– Dobre miejsce na urlop – mruknąłem, rozejrzawszy się.

– Dobrze – bąknął półgłosem. – Idziemy.

Sunąc w dół nie przestawałem chłonać krajobrazu. Na wprost, w odległości mniej więcej półtora kilometra ciemniały majestatyczne masywy gór. Szczyty spięte girlandami postrzępionych grani świeciły w słońcu srebrnymi płatami lodu i śniegu. Podnóże, z którego wyrastały, uciekało w miarę obniżania się platformy za bliższe, niewielkie wzgórza, ozdobione głazami przypominającymi jurajskie ostańce. Ich jasne, jakby wapienne ściany przybierały miejscami barwę czystego, delikatnego różu. Z lewej, w głębi, zagradzało perspektywę pasmo odchodzące prostopadle od głównego i łączące się z górami zamykającymi dolinę od wschodu. Po przeciwnej stronie widniał wąski prześwit, ukazujący w znacznym oddaleniu połyskującą tasiemkę rzeki. Mniej więcej trzysta metrów od miejsca lądowania leżało pierwsze z całego szeregu jeziorok przypominających do złudzenia małe stawy alpejskie. Tylko brak kosówki i zaścielająca dolinę rzadka, patykowata szczecina, najwidoczniej zastępująca tu trawą, przypominały, że nie jesteśmy na Ziemi.

Tak, ta „trawa” mogła przywołać do rzeczywistości każdego, kto urzeczony krajobrazem chciałby położyć się na stoku i cieszyć ciszą gór. Przekonaliśmy się o tym po kilku pierwszych krokach. Ostre, pozbawione liści pręty zaczepiały o spodnie skafandrów, a nadepnięte pękały z suchym, nieprzyjemnym trzaskiem lub ugiwały niechętnie, prostując potem raptownie z siłą zwalnianych sprężyn. Wyrastały bezpośrednio z białawego, kamienistego gruntu w równych odstępach i w takiej akurat odległości od siebie, żeby nie można postawić buta pomiędzy nimi.

Przebyliśmy kilkanaście metrów, wysoko unosząc nogi na podobieństwo brodzących ptaków, po czym Luta stanął.

– To na nic – mruknął. – Tym lepiej. Nie będziemy się zatrzymywać...

Oczywiście, że nie. Nawet, jeśli w jego głosie zadźwięczała nutka żalu.

– Może na północy będzie inaczej – pocieszyłem go. Nie odpowiedział. Sięgnął do ramienia i uruchomił aparaturę. Winda, którą zjechaliśmy, drgnęła i popęzła wzdłuż kadłuba, zmierzając do niszy pod włazem. Kilkanaście metrów niżej opadała zwolna ciężka płyta dźwigu towarowego. Jeszcze moment i z otwartej ładowni wychynął masywny kadłub transera. Oprócz najcięższego z naszych pojazdów, na platformie znalazło się jeszcze dość miejsca dla niewielkiego łazika. Pojedziemy do miasta dostatecznie wyekwipowani. Nie tylko na spotkanie z

ludźmi, którzy zechcą wymienić z nami poglądy.

Tak jak ustaliliśmy, zająłem miejsce za kierownicą łazika. Przejrzałem pobieżnie zainstalowaną na jego tylnej ścianie tablicę sygnalizacyjną, która miała zastąpić normalną łączność, sprawdziłem stan paliwa, rozmieszczenie dodatkowego wyposażenia i nie oglądając się ruszyłem. Ominąłem szerokim łukiem dwa pierwsze stawki wypełnione zielonkawą, niezbyt przezroczystą wodą i wzięłem kurs prosto jak strzelił na północ. W pewnej chwili ujrzałem w lusterku wstecznym jakby obłok pary. Transer nabierał szybkości, pozostawiając za sobą wydmuchiwaną z patykowatej trawy rosę. Kiedy góry po obu stronach doliny zbiegły się, pozostawiając wąskie, kamieniste przejście w trzech czwartych zalane płytkim strumieniem, spojrzałem za siebie. „Rubin” zmalał do rozmiarów wysokiego obelisku. Jego dziób błyszczał w słońcu jak posrebrzany. Dolna część kadłuba znalazła się w padającym od gór cieniu. Jechałem z głową odwróconą do tyłu, dopóki nie znikł mi z oczu przesłonięty przez skalne wrota. Następnie odwróciłem się, przebiegłem wzrokiem tablicę czujników i przyśpieszyłem.

Jechaliśmy bez przerwy czternaście godzin. Kiedy niebo na wschodzie pojaśniało i mogłem wreszcie wysunąć twarz z okularu noktowizora, moje oczy przesłaniała mlecznosina mgła. O reflektorach, rzecz jasna, musieliśmy zapomnieć.

Dzień zaczął się nagle, jak na Drugiej. Ale krajobraz, jaki odsłonił, był dla nas czymś zupełnie nowym. Góry zostały daleko w tyle. Jak okiem sięgnąć, rozciągała się lekko pofalowana równina porośła równomiernie szczeciniastą trawą. Z rzadka, w odległości co najmniej dwustu metrów jedno od drugiego, rosły drzewa. To znaczy coś, co trudno było nazwać inaczej, chociaż z prawdziwymi drzewami niewiele miały wspólnego. Wyglądały jak powtykane w ziemię, wielkie i mocno wyliniące strusie pióra. Ich korony czy raczej kity sprawiały wrażenie lekkich i powiewnych, ale kiedy przejeżdżając pod taką zwisającą kiścią, musnąłem ją dłonią, na rękawicy sporządzonej z żaroodpornego szklanego włókna została wyraźna, ostra rysa. Zza widnokręgu błysnęła tarcza słoneczna. Przebyłem jeszcze kilkadziesiąt metrów i ujrzałem w lusterku, że Luta daje mi jakieś znaki. Rozejrzałem się. O naprawdę dogodnym miejscu nie było co marzyć. Wypatrzyłem jednak nieco w bok od kierunku jazdy dwa płaskie garby sąsiadujące bezpośrednio ze sobą. Nie namyślając się wiele, skręciłem w ich stronę i wprowadziwszy pojazd w płytką nieckę pomiędzy nimi, zastopowałem. Nie minęło pół minuty, jak coś uderzyło lekko w tył łazika, popychając go kilka centymetrów. Luta najwidoczniej miał dość znajomości z tutejszą trawą.

– Kto śpi pierwszy? – spytał, zwaliwszy się na fotel obok mnie. – Wszystko jedno.

– Skoro tak – burknął – to poczekam. Wolę to mieć przed sobą...

Bez słowa położyłem oparcie. Usłyszałem jeszcze, jak Luta wstaje i przełazi między fotelami, zamierzając najwidoczniej wrócić do swojej kabiny, przed zestawy czujników i ekrany. Ale nie odczułem już wstrząsu, kiedy przeskakiwał na pancierz transera.

Zbudziłem się sam. Przez chwilę próbowałem wskrzesić obrazy, które w ostatnich sekundach snu przesunęły się przed moimi oczami, ale bezskutecznie. Pamiętałem tylko, że rzecz rozgrywała się w czasie dorocznego zjazdu pilotów w Amalfi pod Salerno i że czyjaś niewinna z pozoru opowieść, w miarę jak się rozwijała, oplatała mnie coraz szczelniej siecią oszczerstw i gróźb, chociaż miała dotyczyć kogoś zupełnie obcego. W pewnej chwili zrozumiałem, że nie tylko nie znajdę odpowiedzi na te zarzuty, ale że na moją odpowiedź nikt z obecnych nie czeka, że wszyscy są przeciwko mnie. Postanowiłem zmylić ich czujność i wymknąć się... ale nie zdążyłem wprowadzić tego w Czyn. A teraz nie potrafiłem sobie przypomnieć nie tylko, o co

chodziło w całej tej historii, ale i twarzy ludzi, tych twarzy, które w śnie widziałem tuż przy swojej i które jeszcze się zbliżały. Nie był to przyjemny sen ani też przyjemne przebudzenie.

Wstałem, rozprostowałem kości i przeszedłem do kabiny transera. Luta, ujrzawszy mnie przez obiektywy kamer, mruknął coś i umilkł.

Przełknąłem kawał koncentratu i przed następnym kęsem powiedziałem:

– Na co czekasz? Jeszcze kilka godzin – odruchowo spojrzałem w niebo – i będziemy się żegnać z tym uroczym zakątkiem. Nie jesteś już śpiący?

Potrząsnął głową. Mogło to znaczyć, że istotnie odechciało mu się spać, gdyby taka interpretacja nie była jawnym nonsensem.

– Ruszymy około północy – orzekł wreszcie. – Zostało wszystkiego dwieście pięćdziesiąt kilometrów. Blżej niż na pięćdziesiąt i tak nie zostawimy sprzętu. A więc nie ma się co śpieszyć. Odeśpię swoje... z nawiązką.

– Skąd wiesz, że akurat dwieście pięćdziesiąt?

Zamiast odpowiedzieć, przesunął się tylko w fotelu, odsłaniając pulpit, przed którym siedział. Zaścielały go kartki folii, szkice i jeden barwny, prostokątny arkusz, w którym rozpoznałem starą mapę Trzeciej.

– Szkice – mruknął. – Wszystko się zgadza. Żaden kartograf nie zrobiłby tego lepiej... z pamięci. – Zobaczymy najpierw, jak daleko sięga ta ich pamięć. Jeśli chcieli nam zrobić kawał, nie mogli fałszować trasy od pierwszych kilometrów. Za wcześnie doszlibyśmy, co w trawie piszczy. A w tej trawie – zatoczyłem ręką szeroki łuk – może piszczeć niejedno.

– Na razie jest cicho – odburknął. – Wyjąwszy to jedno miejsce.

Uporałem się z kostką koncentratu przypominającego prasowane trociny i ruchem głowy wskazałem mapę.

– Jak wejdziemy do miasta?

Wrócił do poprzedniej pozycji, zasłaniając sobą pulpit. Chwilę wpatrywał się w jakiś punkt na odręcznie zarysowanym arkuszu folii, po czym westchnął.

– Umiesz pływać? – spytał obojętnym tonem.

Skinąłem głową.

– Umiem. Także nurkować, wspinać się i jeździć na rowerze. Znam dzudo. Natomiast nie umiem latać. Nie potrafię też stać się niewidzialnym.

Uniósł głowę i spojrzał na mnie z ukosa.

– Myślę, że nie będziesz musiał pływać...

– W każdym razie wiemy już, że to ja pójdę do miasta – powiedziałem. – Zgoda. Tak powinno być. Ale nie sądzę, żebyś musiał czekać pięćdziesiąt kilometrów dalej. W razie czego to mniejszy szansę... nie chodzi o mnie. To znaczy nie tylko o mnie – poprawiłem się. – Tam jest rzeka, prawda?

Pochyliłem się i zacząłem szukać miejsca, które wybrali uczestnicy drugiej wyprawy emigracyjnej na założenie osiedla.

– Nawet dwie... – powiódł palcami wzdłuż linii przechodzącej w dużą plamę. Oznaczała morze czy raczej wielkie bezodpływowe jezioro. Krótco przed ujściem rzeka rozwidlała się, obejmując niewielki obszar łądu. W tej delcie leżało miasto.

– Zawsze to samo – powiedziałem. – Od pierwszego grodu założonego na jakichś bagnach, poprzez osady na palach, do zamków i fortec uczeponych rozmaitych „orlich gniazd”. Gdybym to ja miał wybudować osadę, do której nie chciałbym wpuszczać nikogo, komu przyjdzie na to ochota, wybrałbym coś takiego... – rozejrzałem się po okolicy. – A nawet nie – ciągnąłem. –

Powinno być bardziej płasko. Idealnie płasko. Woda utrudnia dostęp, ale stwarza też niepożądane możliwości spryciarzom wyposażonym, powiedzmy, w skafandry. W górach łatwo znaleźć ukrycie, żleb, choćby rysą skalną i podejść tak, że nawet ptaka się nie spłoszy. A na równinie? Chyba pod ziemią... – urwałem. Zaświtała mi pewna myśl.

– A propos – bąknąłem – gdyby użyć kreta...

– Więc można pod ziemią?

– Nie można – odpowiedziałem sam sobie. Muszą się mieć na baczności... nie przed nami oczywiście, ale własnymi sąsiadami, nie pozbawionymi temperamentu, jeśli sądzić po tych, którzy teraz bawią Frosa opowiadaniem o podróżach w czasie. Krety są używane od setek lat. Z pewnością o nich nie zapomnieli. Ale tymi rzekami coś chyba czasem płynie? Jakies drzewa, gałęzie... przecież muszą mieć łódki...

– ...żaglówki – przerwał Luta. – Podobno mają dużo żaglówek. Takie hobby.

– Piękne hobby – powiedziałem z uznaniem. – Zwłaszcza dla kogoś, kto w biały dzień, leżąc do góry brzuchem na pokładzie i nucąc stare tango, pozwoliłby wiatrowi nieść się prosto do przystani.

– Nie musi być dzień – mruknął. – Na wodzie najprzyjemniej bywa wieczorami.

– Masz rację. Tak, to jest myśl.

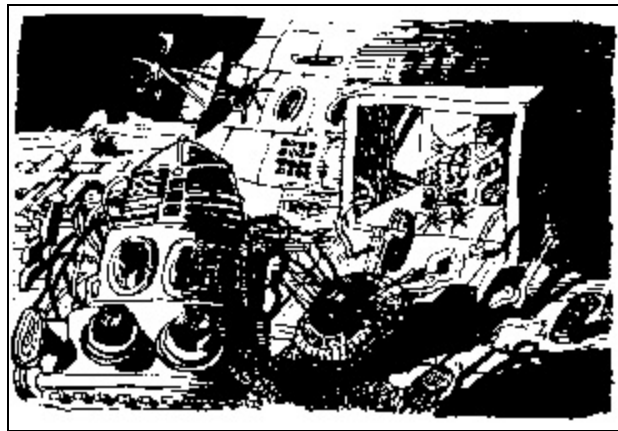
– Jest. Dlatego właśnie doszedłem do wniosku, że nie będziesz musiał pływać.

– Nie szkodzi. Zapomniałem ci powiedzieć, że pół życia spędziłem na żaglach...

– Od razu się domyśliłem – burknął. – Jak tylko dobrze powieje, stajesz się dziki. Zauważyłem to w czasie ostatniej burzy...

– Albo idziesz spać – warknąłem – albo wracam do łazika.

– Nie wracaj – powiedział z nutką żalu w głosie. – Zbudź mnie o zachodzie słońca. Zjemy kolację i znowu chwilę pogawędzimy...



Po kliknięciu nastąpi przeskoczenie do nagłówka
, ABOVE, RIGHT, FGColor, '#00006C', BGColor, '#00FFFF', TEXTColor,
'#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">

Po kliknięciu nastąpi przejście do części 5

', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#6C3800', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();" >

Po kliknięciu nastąpi przejście do części 7

', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#004800', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();" >

Noc była jasna, jak na północnym wybrzeżu Norwegii pod koniec maja. Od pierwszych minut jazdy nie dotknąłem noktowizora. Niebem sunęły mleczne, matowe obłoki, niemal niedostrzegalne w dzień wzniesienia wyrastały odrobinę wyżej, w powietrzu błąkał się nikły gorzkawy aromat, jakby winnego octu. Dwa czy trzy razy spod kół łazika wyrwało się jakieś niewielkie zwierzę.

Dochodziła czwarta, kiedy osiągnąwszy wierzchołek kolejnego garbu ujrzałem przed sobą poprzeczną do kierunku; jazdy białawą wstęgę. Zahamowałem gwałtownie, zapalając równocześnie sygnał na tablicy umocowanej z tyłu pojazdu.

Luta zatrzymał się kilka metrów za mną.

– Co na to twoje szkice? – spytałem.

– Nic – burknął. – Mam tylko drogi wylotowe z miar sta. To tutaj to jakiś dojazd do terenów uprawnych, kamieniołomów czy czegoś w tym rodzaju.

– Albo na poligon – powiedziałem. – Mają chyba jakieś koszary czy strażnice wokół miasta. Przy ich sąsiedzkich stosunkach...

– No to co?

– Nic. Poza tym, że drogi mogą być pod obserwacją.

– Przecież nie będziemy z nich korzystać – zamruczał. – Tego by jeszcze brakowało...

Przemilczałem to. Podciągnąłem kawałek do przodu i wyskoczyłem, przerzucając nogi przez burtę. Usłyszałem suchy trzask, zachwiałem się i byłbym niechybnie zawarł bliższą znajomość z madejową łąką, gdyby nie to, że zaczepiłem rękawem o podstawę lidarowego szperacza. Zapomniałem o trawie. Trawie!

Niemal nie odrywając stóp od ziemi ruszyłem przed siebie i odetchnąłem stanąwszy na gładko ubitej, usypanej jakby z drobnego żwiru nawierzchni. Była to wąska, peryferyjna droga, przypominająca niektóre trakty w ziemskich rezerwatach. Biegła prosto jak strzelił z zachodu na wschód. Albo przeciwnie, jak kto woli. Z lewej i z prawej ginęła w mgiełce przesłaniającej horyzont.

– No? – zawołał Luta.

Wzruszyłem ramionami i zawróciłem w stronę łazika. Wdrapałem się na fotel i natychmiast ruszyłem.

Zaraz za drogą Luta dał znak, że staje. Zatrzymałem się również, po czym cofając pojazd przybliżyłem go do transera.

– Kamieniołom czy poligon – wymruczał, złącząc z pancerza – niech nie wiedzą, że ktoś się tu pęta...

Wrócił po śladach kół łazika, pochylił się i zaczął cofać tyłem, prostując złamane pręty roślin. Dotarł właśnie do nawierzchni i przekroczywszy ją, zabrał się do ostatniego odcinka naszej trasy, kiedy na wschodzie, w odległej perspektywie, ukazał się punkcik świetlny. Zauważył go równocześnie ze mną. Wyprostował się i omiół błyskawicznym spojrzeniem nieruchome pojazdy. Wiedziałem o czym myśli. Ale na ucieczką było za późno.

Plama światła, widoczna początkowo jak nikły pojedynczy ognik, rozdziwiła się i jakby wydłużyła, celując w nas wąskimi, białozółtymi smugami. Nawet gdybyśmy już ruszali, i to od razu pełną mocą silników, nie zdążylibyśmy ująć z pola widzenia, zanim nadjeżdżający nie osiągną miejsca, w którym stoimy. Noc była zbyt jasna.

– Luta – mój głos brzmiał obco – oni nie mogą stąd odjechać...

– Kładź się – rzucił w odpowiedzi. Zawahałem się.

– Kładź się – powtórzył, biegnąc już w stronę transera. Nagle zrozumiałem. Nie znaczy to, że usłuchałem. Nie od razu. Skoczyłem ku łazikowi. Nie dbając już o trawę, której ostre kolce raniły mi nogi powyżej kostek, porwałem z siedzenia miotacz i teraz dopiero, przebiegłszy kilka kroków w kierunku drogi, upadłem, odruchowo zakrywając twarz łokciem. Wybrałem bruzdę wygniecioną przez koła pojazdów, ale i tak pokłułem się niemiłosiernie. Nie zważałem na to. Nie czułem nawet bólu.

Luta zatrzasnęła pokrywę wieży. Usłyszałem gorączkowy świergot silników. Transer ruszył tyłem, wypadł na drogę i wykręcił ustawiając się dziobem w stronę nadjeżdżających.

Byli już blisko. Na tyle blisko, że musieli widzieć niezrozumiałą dla nich konstrukcję blokującą przejazd. Mimo to nie zmniejszyli szybkości. Obserwowałem ich poczynania bez niepokoju. Transer wytrzyma uderzenie każdej masy, jaka tutaj może wchodzić w rachubę.

Sylwetka obcego pojazdu rysowała się coraz wyraźniej. Nie był wielki. Przypominał raczej wąską, kilkuosobową łódkę. Kiedy podjechał bliżej, zauważyłem, że toczy się na trzech kołach. Jedno, ledwie widoczne, wystawało spod zaostzonego dziobu opadającego łukiem ku ziemi. Dwa pozostałe, nieproporcjonalnie wielkie, przyłączone były z tyłu, już poza kabiną przeznaczoną dla pasażerów.

Nie mogli mnie zauważyć. Nawet gdyby zdołali oderwać wzrok od transera, trawa była dostatecznie wysoka. Mnie natomiast wystarczyło unieść nieco głowę, aby przez rzadkie pręty widzieć wszystko jak na dłoni.

Wreszcie łódkowaty pojazd zwolnił, błyskawicznie wytracając szybkość, jakby kierowca w ostatniej chwili zorientował się, że droga nie jest wolna. Nie zauważyłem jednak, żeby jego koła choć przez chwilę szorowały, unieruchomione, po żwirowatej nawierzchni. Musieli mieć inne sposoby. Ale ich techniczne wyposażenie interesowało mnie teraz tylko z jednego punktu widzenia.

– Stać – usłyszałem głos Luty, nienaturalnie donośny i pogrubiony przez wzmacniacz. – Wyłazić!

Cisza. Reflektory obcego pojazdu tkwiły nieruchomo, oblewając światłem korpus transera. W ich blasku głęboką czernią odcinała się uchylona pokrywa wylotu zblokowanego miotacza.

– Wychodzić – zagrzmiął ponownie wzmacniacz. – Nic się wam nie stanie. I nie radzę uciekać...

Tym razem reakcja nastąpiła natychmiast. Jeszcze nie przebrzmiało dudniące echo ostatnich słów Luty, kiedy po przednim pancerzu transera przeskoczyły błękitne świetliki. Dobiegł mnie głośny, suchy trzask, jakby dziecko, biegnąc, szorowało patykiem po parkanie. Chwila ciszy i odgłos powtórzył się. Teraz trwał nieco dłużej. Iskierki przeskoczyły wyżej, sięgnęły do wieży... Idąc za nimi wzrokiem, dojrzałem, że wylot jednego z miotaczy nieznacznie zmienił położenie.

– Hej tam, – rzucił ostro Luta. – Coś wam pokażę. Popatrzcie za siebie...

Odruchowo przebiegłem spojrzeniem perspektywę drogi, którą przybył pojazd. Nie znalazłem nic, poza jednym samotnym strusim drzewem, rosnącym w odległości jakichś sześćdziesięciu metrów. Nie zdążyłem pomyśleć, że nie może chodzić o nic innego, kiedy wieżę transera i drzewo połączyła na ułamek sekundy nitka ognia. Przestrzeń przeszył jeden jedyny błysk, tysiącrotnie jaśniejszy od światła reflektorów obcego wehikułu, po czym zapadła ciemność. Zanim odzyskałem zdolność widzenia, usłyszałem na drodze jakieś głosy. Przetarłem oczy i mrugając, uniosłem się na łokciach.

– Niech nikt się nie rusza – zabrzmiał głośnik. Zrozumiałem, że to „nikt” odnosi się przede wszystkim do mnie i skryłem się z powrotem w trawie.

Obok łódkowatego pojazdu widniały dwie sylwetki. Nie widziałem, kiedy opuścili kabinę. Musiało im się śpieszyć. Na dobrą sprawę nic dziwnego. Z drzewa trafionego pojedynczą serią

małego lasera pozostał rozwiewający się już obłoczek dymu.

– Otwórzcie to – powiedział Luta. Jego głos brzmiał już normalnie.

Pasażerowie wehikułu poruszyli się bezradnie.

– Dach – wyjaśnił Luta. – Chcę zobaczyć co jest w środku.

Nie próbowali zwlekać. Jeden z nich odwrócił się i sięgnął ręką do wnętrza wozu. Nakrywający kabiną lekki, jakby brezentowy daszek zwinął się natychmiast, znikając pod pokrywą kół. Nawet z miejsca, w którym leżałem, mogłem się przekonać, że pojazd był pusty.

– Teraz dwa kroki do przodu – zakomenderował Luta. – I rozbierać się. Żywo, to nie zmarzniecie...

Mieszkańcy Trzeciej spojrzeli po sobie. Ich wahanie nie trwało jednak dłużej, niż kilka sekund. Widok zmiecionego z powierzchni ziemi drzewa musiał głęboko zapaść im w pamięć.

– Kolej na ciebie Mur – padło z głośnika. – Tylko tak, żebym cię nie miał przed nimi...

Wstałem. Twarze nagusów zwróciły się w moją stronę. Ręce trzymali wciąż jeszcze w górze, splecione na karkach.

– Odpocznijcie sobie – powiedziałem spokojnie, idąc w stronę drogi. Nie śpieszyłem się. Uważnie stawiałem stopy, starając się omijać twarde badyle roślin.

Powoli, jakby obawiając się podstępny, opuścili ramiona. Kiedy byłem już blisko, jeden z nich, wyższy, postąpił pół kroku do przodu.

– Co to znaczy? – spytał cicho. Ton, jakiego użył, przeczył wypowiedzianym przez niego słowom. Te były stanowcze. Ale brzmiały tak, jakby ktoś konający z pragnienia prosił o małe łyk wody.

– Dowiedcie się za chwilę – mruknąłem. – Nic wielkiego – dodałem łagodniej. – Po prostu weszłście nam w drogę. Przykre to, ale trudno. Nic wam nie grozi.

Kazałem im odsunąć się kilka kroków, po czym przeszukałem ich ubrania. Były sporządzone z dziwnego tworzywa, pokrytego jakby drobną łuską. W zależności od tego, jak je trzymałem, zwisały niby ostatni łachman, to znowu sztywniały tak, że w żaden sposób nie mogłem wyplątać dłoni z ich zwojów. Ale poza tą dziwną właściwością materiału nie było w nich nic, czym musiałbym się zająć.

– Weźcie swoje rzeczy – powiedziałem odstępując krok do tyłu. – Co dalej? – spytałem podnosząc głos.

– Zamknij ich w ładowni... albo nie, poczekaj. Wyjdą ci pomóc – słowom Luty towarzyszył szcęk otwieranego włazu. Po chwili nad kopułą wieży ukazała się jego głowa.

– Wyjmij miotacz – rzucił szorstko, obrzuciwszy nas przelotnym spojrzeniem.

Nie sądziłem, aby to było potrzebne, ale zastosowałem się do jego życzenia.

– Jeszcze jedno... – zamruczał, znikając ponownie w kabinie. Nie zabawił tam dłużej niż minutę. Kiedy ujrzałem go znowu, trzymał na ramieniu ciasno zwiniętą szklaną linę. Wydostał się na pancerz i zeskoczył. Następnie ujmując koniec liny obiema dłońmi, podszedł do ludzi, którym tak bezpardonowo przerwaliśmy nocną jazdę.

– Odwróćcie się – rzucił. – I wyciągnijcie ręce do tyłu.

Nie byłem tym zachwycony. Co innego tamte twory na Drugiej, a co innego istoty reprezentujące tu ziemską cywilizację, nawet jeśli we własnym jedynie mniemaniu i w oderwaniu od przeszłości. Poza tym ci, w przeciwieństwie do obcych tkwiących w naszej stacji, byli tu w końcu u siebie.

Pozwolili się związać bez oporu. Zauważyłem, że wyższy z nich, ten który już raz dał nam próbkę swojego głosu, kilkakrotnie otwierał usta i trzymał je tak dłuższą chwilę, jakby w

osłupieniu. Może się dziwił, że nic nie przychodzi mu na myśl?

Z jego towarzyszem natomiast rzecz miała się nieco inaczej. Dosłownie trząśł się ze strachu. Trząśł to słabe określenie. Jego ciałem targały jakieś nierytmiczne drgawki, z czoła i skroni spływały mu szerokie strużki potu, widać było, że ostatkiem sił utrzymuje się na nogach. Początkowo nie zwracałem na niego uwagi, ale po jakimś czasie zaczęło mnie to irytować.

– Co ci się dzieje? – rzuciłem, kiedy mnie mijał, prowadzony przez Lutę do transera. – Powiedziałem, że nic wam nie zrobimy. Weź się w garść. Życie to nie tylko przyjemności – dodałem filozoficznie. – Ja też wolałbym teraz posłuchać muzyki, niż pozwalać się nakłuwać tej waszej trawie. Póki co musimy się nawzajem znosić. Potem pójdziemy tam, skąd żeśmy przyszli, my i wy. Przestań szczekać zębami, bo nie ma powodu. Pomyśl o dentyście.

Nie wydaje się, aby ta rzeczowa bądź co bądź tyrada wywarła na nim jakieś wrażenie. Zresztą moje ostatnie słowa dobiegły ich, kiedy siedzieli już w ładowni. Zaraz potem Luta zatrzasnęła z rozmachem klapę i otrzepał dłonie, jakby je czymś pobrudził.

– Zajmij się trawą – mruknął. – Dobrze. Jedź teraz pierwszy.

Mimo wszystko wolałem, mieć przed sobą tę ładownię z jej niecodzienną zawartością.

Luta zniknął w wieży. Transer drgnął i lekko potoczył się kilka metrów do przodu. Jeszcze dobrze nie zastopował, kiedy spod dziobu wychyłała wysmukła łapa wysięgnika. Dwie minuty później cudaczny pojazd tkwił przytwierdzony do tylnego pancerza.

Byłem w połowie drogi do łazika, kiedy uderzył mnie gorący powiew dyszy. Szumiąc wszystkimi silnikami, transer szedł prosto jak strzelił na północ. Wskoczyłem do kabiny i ruszyłem.

Nie ujechaliśmy daleko. Niespełna godzinę po spotkaniu na drodze Luta zwolnił, skręcił w lewo i wypatrzywszy miejsce między dwoma wypiętrzeniami terenu, zahamował. Podjechałem całkiem blisko, jak poprzedniego ranka i zgasilem silniki.

– Śpimy? – spytałem.

– Uhm – pokręcił głową. – O tym zapomnij. Mogli mieć w tym pudle radio czy coś w tym rodzaju. Nie powiedzą ci przecież. Teraz musimy działać szybko.

Pomyślałem chwilę.

– Ile zostało do miasta? – spytałem wreszcie.

– Mniej więcej siedemdziesiąt.

– Pusto... – rozejrzałem się. – Niczego nie sieją? Co oni właściwie jedzą? Tę trawę?

– Ryby – odparł poważnie. – Tak mówili tamci. Mają też uprawy, ale tylko w pasie przybrzeżnym.

– Sporo musi być tych ryb – zauważyłem. Dziwne. Łąd jest jak wymieciony ze wszystkiego, co żyje.

– Nie wiem, co mogłoby mieszkać na tych łąkach – mruknął ponuro. – No, dawaj ich – rzucił nie zmienionym tonem.

Obszedłem pojazd i po krótkiej szamotaninie z zamkiem podniosłem pokrywę ładowni.

– Wychodźcie – powiedziałem. – Czas na poranną kawę...

Cisza. Pochyliłem się i zajrzałem do środka. Siedzieli sztywno wyprostowani, jeden obok drugiego i wpatrywali się we mnie szeroko otwartymi oczami. Niespodziewanie wezbrała we mnie złość.

– Wyłaźcie, „Nowi”, – rzuciłem ostro. – Czekacie, żeby wam pomóc? No, już – mówiąc to wyciągnąłem przed siebie rękę.

Chciałem im naprawdę pomóc, ponieważ w pozycji, jaką musieli przyjąć, nie tylko wstać, ale

i ruszyć głową było niemal niepodobieństwem. Ładownia to nie salon. W dodatku w czasie wyprawy, w którą wyrusza się z kompletem sprzętu.

Jak na komendę odwrócili głowy. Stałem chwilę nie wiedząc, o co chodzi, po czym ręka mi opadła. Zrozumiałem, że się brzydzą. Umierają ze strachu, a równocześnie nie mogą opanować uczucia wstrętu.

To było więcej, niż mogłem się spodziewać. Huknąłem na nich. Cofnąłem się dwa kroki i powtórzyłem wezwanie.

Poskutkowało. Nabili sobie z pewnością niejednego guza, podnosili się i upadali, potykając o elementy konstrukcji, ale wyleźli. Poczekalem, aż zajmą miejsca na tylnych fotelach łazika, po czym sam usiadłem z przodu, dbając, aby ani na moment nie spuszczać ich z oczu.

– Potrzebujemy kilku informacji – powiedział nieprzyjemnym tonem Luta, mierząc ich dziwnym spojrzeniem. – Nie zamierzamy nic złego. Przylecieliśmy, żeby zabrać z waszego miasta naszego człowieka, który wcale nie marzy, żeby tam zostać. Zabierzemy go i więcej nikt nas tu nie zobaczy. Ale jeśli ma się obejść bez, awantur, musimy wejść do miasta dyskretnie. Ten tutaj – wskazał na mnie – robi tak, jak mu poradzicie. Pójdzie, załatwi swoje i wróci. Wtedy was puścimy. Do tego czasu zostaniecie tu ze mną. Ściśle mówiąc nie tu, a bliżej miasta, skąd mógłbym się pokazać... ale gdzie sam pozostałbym niezauważony. Wskażecie nam takie miejsce. Poza tym weźmiemy wasze ubrania. To będzie pożyczka. Macie w wozie jakieś mapy?

Oczekiwałem, że będą milczeć. Zabrziałoby śmiesznie, gdybym powiedział, że na to liczyłem, ale tak chyba było naprawdę. Mniejsza z tym.

Odpowiedzieli od razu. To znaczy ten pierwszy, który mniej się bał. Wsłuchiwałem się w jego słowa wypowiedane z dziwnym, miękkim akcentem, jakby recytował heksametry i upajał się ich pięknem. Nie był to miły ton. Nie dla kogoś, kto chciałby wdać się z nim w rozmowę, taką, w której zdanie partnera można traktować serio. Nawet gdyby to było zdanie odmienne od naszego. Słuchałem, jak mówił, i mimo woli pomyślałem o „naszych” obcych na stacji. Nie byli ich przyjaciółmi. Nie należeli też do naszych. Szkoda, że potrafili zachować się o tyle... godniej niż ci tutaj. Tak, godniej. Tak właśnie pomyślałem.

– Nie mamy map – zaśpiewał mieszkaniec Trzeciej. – Do miasta wejdziecie bez trudu... zwłaszcza w naszych ubraniach. Czy nadal będziemy zamknięci w tym ciasnym pomieszczeniu? Tam jest duszno... – poskarżył się.

– Nadal – rzucił twardo Luta. W jego oczach zapaliły się jakieś niedobre błyski. Nie znałem go takim. – Mów dalej – warknął.

– Co chcecie wiedzieć? – zawołał z nieukrywaną trwogą ten drugi. Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział od chwili, kiedy zatrzymaliśmy ich na drodze.

– Czy ty... jak się nazywasz? – Luta zwrócił się do wyższego, jakby nie zauważył, że jego towarzysz w ogóle coś mówił.

– Naan – wyjąkał zagadnięty.

– Jak? Naaan? – Luta specjalnie długo wymówił ten wyraz – czy Nan?

– Naan – powtórzył człowiek z miasta.

– Niech będzie. Więc słuchaj, Naan, masz żaglówkę?

– Co?

– Pytam czy masz żaglówkę? – w głosie Luty zabrzmiała nieukrywana irytacja. – A może powinienem powiedzieć żaaaglówkę? Teraz rozumiesz?

– Mam – odpowiedział pośpiesznie Naan.

– Dużą?

– No... normalną – widać było, że nie chce nas prowokować, ale nie bardzo wie, o co chodzi.

– To znaczy, że produkujecie jeden typ łodzi? – spytałem.

Naan z ulgą skinął głową.

– Tak. Mamy jachty... ale po rzece pływają tylko słoneczniki...

– Co?

– Słoneczniki – powtórzył z przymusem. – Tak się nazywają...

– Słonecznik to symbol statecznej pogody – bąknął jakby do siebie Luta. Dość głośno jednak, żeby żywić wątpliwości co do intencji tej wypowiedzi.

– Rozumiem – przytaknąłem ruchem głowy. – Wiać masz taką łódkę. Ile żagla?

– Dwanaście metrów...

~ – Dwanaście? – zdziwiłem się mimo woli. – Cóż to, macie tu stale huragany?

– Zostaw. I tak nie zrozumie, o co chodzi – wyręczył śmiałego żeglarza Luta. – Gdzie mieszkasz?

– Pierwszy Port – padło w odpowiedzi.

– Pierwszy Port – powtórzył Luta. – To dobrze. Wiadomo przynajmniej, że nad wodą. Daleko od przystani?

– Mam przystań przy domu... – wybąkał. – On tak samo... – wskazał swojego milczącego towarzysza.

– Świetnie – im więcej zadowolenia było w słowach wypowiedzianych przez Lutę, tym bardziej ponuro one brzmiały. – A teraz chodź ze mną – rzucił, wskazując wieżę transera. – Pokażesz mi to na mapie. Porozmawiamy o adresach, rodzinach i tak dalej. Mamy masę czasu – powiedział to tak, że niewiele wysiłku trzeba było włożyć, żeby mu uwierzyć. Człowiekowi o nazwisku Naan przyszło to bez trudu. Nie mieszkając udał się we wskazanym przez Lutę kierunku.

– Mogę o coś spytać? – odezwał się lękliwie ten niższy, kiedy głowa jego towarzysza zniknęła we włązie.

Spojrzałem na niego niezbyt zachęcająco.

– Stawiacie pytania – załkał – jakbyście nie znali miasta... Przybyliście z bronią w takim ciężkim pojeździe... Traktujecie nas jak... – głos mu się załamał histerycznie. Umilkł i zagryzł wargi. Nie ulegało wątpliwości, że jeszcze chwila a rozplacze się jak dziecko.

– Jak cię traktujemy?! – zezłościłem się. – Przecież nawet ktoś taki jak ty potrafi w końcu pojąć, że musimy załatwić tu swoje sprawy... obchodzące tylko i wyłącznie nas. Nie zaczepialiśmy was. Nawiasem mówiąc, nie jest tak, jak myślisz... niech ci wystarczy, że nie znamy waszego miasta. Nie z naszej winy znalazł się tu człowiek, którego chcemy wydostać. I on sam także nie miał najmniejszego zamiaru wchodzić wam w drogę... Tak się złożyło. Różne rzeczy zdarzają się ludziom, którzy lecą do gwiazd. Słyszałeś może o tym?

– Ale co ja mam z tym wspólnego? – wyjąkał. – Jakie macie prawo... przepraszam – zreflektował się – nie chciałem...

– Mów normalnie, do licha! – huknąłem.

– No... – zawahał się przez chwilę, po czym zaczął mówić bardzo szybko. Wyrzucał z siebie słowa, jakby pękła w nim jakaś spiętrzająca je tama. Zdania, wypowiedziane wysokim, przerywanym głosem, zlewały się w rozpaczliwy, monotony skowyt.

– Właśnie prawo – załkał. – Nikt nie ma prawa zmuszać do mówienia. Nie pomyśleliście o tym? Teraz będzie mi przykro. To niegodne człowieka. Ta ciasna skrzynia wypełniona ostrymi przedmiotami, duchota... przecież chcieliśmy jak najprędzej być w domu! We własnym domu! A ty jeszcze mówisz, że nie robicie nam nic złego... – urwał, przerażony. Cofnął się gwałtownie i wykonał szybki unik, jakby zasłaniając się przed ciosem.

Oślupiałem. Dobrą chwilę nie potrafiłem zebrać myśli. To przechodziło już wszelkie wyobrażenie.

– Przecież nie musiałeś mówić, skoro teraz ma ci być przykro – wysyczałem wreszcie. – Nie bój się. Nie naraziłeś swojego miasta i jego mieszkańców na żadne kłopoty. Powiedzmy, niemal żadne. Ale w końcu, jeśli miało cię to aż tyle kosztować, mogłeś milczeć. Znam takich, którym jedno słowo nie przeszłoby przez gardło...

– Jak to? – spytał z jęklwym wyrzutem – przecież on – skinął głową w stronę transera – kazał nam mówić... A przedtem groził bronią... Strach, przymus, gwałty... jak zwierzęta. Tak – zapiał – zwierzęta! Wiemy, co o was myśleć!

Miałem już dość. Dłonie same zwinęły mi się w pięści. Pomyślałem, że pokażę temu lalusiowi, co to jest gwałt. Że go...

Zatrzymałem się. Nie. Tak jest w porządku. Oni są u siebie. U siebie, to znaczy bardzo daleko od Ziemi. I tu zostaną. A ja wrócę spokojnie na Drugą. Odruchowo poruszyłem ramionami, jakbym poczuł na nich ciężar butli tlenowych. Ostatecznie, zdążyłem się przyzwyczaić. Normalny ekwipunek... nienajgorszy, jakby się kto pytał.

– Posłuchaj, chłopczyku – starałem się panować nad głosem. – Mógłbym powiedzieć, że odrobina przykrości jeszcze nikomu nie zaszkodziła. A tobie pomoże jak nikomu innemu. Ale nie przyleciałem tutaj, żeby zajmować się waszymi charakterami. Jeszcze dzień, dwa i znikniemy. Niech ci się zdaje, że nas tu nie ma. Przyjdzie ci to bez trudu, bo i tak żyjesz jak we śnie... głupawym co prawda, ale w końcu nikt nie odpowiada za swoje sny. Umawiamy się, że nas nie ma. Nie istniejemy. Jesteśmy koszmarami z twojego snu. Wkrótce się zbudzisz i wszystko będzie jak dawniej. Wrócisz do swojego domu nad rzeką, do jakiejś Naaany, do „słoneczników” z dwunastometrowym żaglem i będziesz snuł łagodne rozmyślenia, co zrobić, żeby było jeszcze przyjemniej. Albo i nie. Tak, rozmyślenia to nie dla ciebie. A teraz...

Przerwał mi głośny pomruk Luty i głuchy łoskot. Odwróciłem się i ujrzałem ich za sobą. Obydwóch. Rozmowy odłożyli widać na później. Ale nie próżnowali. Naan był w szarym, roboczym kombinezonie. Powiedzenie „był w nim” jak rzadko kiedy oddawało istotę rzeczy. Przywodził na myśl wyschłe ziarno, tkwiące w starej, pokurczonej, niemniej wciąż jeszcze zbyt obszernej łupinie.

Luta podszedł bliżej i okręcił się jak kobieta, która włożyła nową suknię.

– Dobrze mi w tym? – spytał.

– Bardzo – oświadczyłem z przekonaniem. – Ale staraj się nie oddychać.

Rada była na miejscu. Pobłyskująca półprzezroczystymi łuskami bluza opinała jego szeroki tors jak elastyczny bandaż założony niekoniecznie fachową, ale za to nie pozbawioną krzepy ręką.

– Teraz ty – mruknął. – No – zwrócił się do mojego płacusia – mała maskarada...

– Jeszcze jedna przykrość – powiedziałem, zrzucając kombinezon.

Stałem w samych slipach, trzymając przed sobą kłęb cudacznego materiału. Obejrzałem go ze wszystkich stron, daremnie szukając jakiegoś zapięcia. Trafiłem na okrągły, jakby nadmuchany kołnierz, ale jego zadaniem było obejmować ciasno szyję, o przepchaniu tamtędy głowy nie mogłem nawet myśleć. W końcu wypatrzyłem uchwyt, przypominający staroświecki zamek błyskawiczny. Szarpnąłem i bluza najeżyła się nagle jakby drobnymi ostrymi muszelkami. To nie była właściwa droga. Zniecierpliwiony pociągnąłem mocniej. Trzasnęło i bluza rozpruła się od razu na trzy części. Przyglądając się ich brzegom, w pewnej chwili machinalnie zetknąłem je ze sobą. Przyłgnęły jak namagnesowane, scalając się z powrotem w jednolite tworzywo.

Zrozumiałem, że bluzę można rozpinąć czy raczej rozdzierać w dowolnym miejscu, a potem wystarczy połączyć poszczególne części, aby wszystko wróciło do normalnego stanu.

Skorzystałem natychmiast z tego odkrycia. Już ubrany, ponownie spróbowałem pociągnąć za ów uchwyt, który w pierwszej chwili wziąłem za zamek. Usłyszałem cichy syk jakby wypuszczanego powietrza i spostrzegłem, że wszystkie łuski ustawiają się sztorcem, odsłaniając skórę. W ten sposób zamiast kurtki miałem na sobie niezbyt gęstą siatkę, najeżoną otwartymi muszelkami. Przesunąłem uchwyt do poprzedniego położenia i muszelki zamknęły się natychmiast, wydając ten sam odgłos co przed chwilą.

Bawiłem się tym osobliwym zamkiem może minutę, nie próbując jednak dojść, jak to było urządzone. Ten strój, jednocześnie co się zowie przewiewny i szczelny, niewątpliwie bardzo pomysłowy, wydał mi się jednak odrobinę zbyt chytry i nieco za wygodny.

Rozerwałem jeszcze raz bluzę i założyłem pas z miotaczem, ogniwami energetycznymi i aparaturą łączności. Nic z tego. Wypychał łuskowatą tkaninę tak, że musiało to zwrócić uwagę najmniej spostrzegawczych mieszkańców miasta. Zresztą, kiedy tam się już znajdę, Luta i tak nie będzie mógł do mnie mówić. Nie tylko ze względu na łatwość namierzenia źródła fal radiowych, ale i głośnik, który mógł się odezwać w najmniej odpowiedniej chwili. Nonsensem byłoby zatykać sobie uszy słuchawkami. Wystarczy, jeśli w razie niepomyślnego obrotu sprawy sam zdążę go uprzedzić. Wezmę jeden mikrofon, osadzony na koronie zęba, jak to się robi na Ziemi w czasie przeprowadzania skomplikowanych operacji technicznych, kiedy ręce muszą być wolne, a warunki zewnętrzne uniemożliwiają użycie kasku.

Wróciłem do łazika i rozparłem się wygodnie w przednim fotelu. Luta pomyślał chwilę, po czym wskazał naszym „Nowym” miejsca z tyłu. Sam usiadł koło mnie. Zrozumiałem, że ma dość jazdy w zamkniętej kabinie. Sprawdziłem zdalne sterowanie transera i na chwilę żar mknąłem oczy.

– Nie śpij teraz – usłyszałem natychmiast. – Może później, nad rzeką...

– Nie śpię – odpowiedziałem, nie podnosząc powiek. – Jedziemy już?

Nie odpowiedział. Dobiegł mnie daleki szum, pomyślałem, że transer rusza teraz z miejsca i możliwe, że jutro o tej porze będzie już po wszystkim.

Zbudziłem się nagle, jakby pod wrażeniem jakiegoś wstrząsu czy dźwięku. W pierwszej chwili nie bardzo wiedziałem, gdzie jestem. Z lewej, niemal na wyciągnięcie ręki przesuwiała się jakaś bezbarwna masa. Usłyszałem dziwne odgłosy, jakby chlupotania i szybko poszukałem spojrzeniem Luty. Siedział na swoim miejscu i nie patrzył w moją stronę. Poczułem raptem na twarzy zimne krople i oprzytomniałem.

Łazik sunął dnem płytkiego potoku. Z lewej strony wprost z wody wyrastała pionowa, gliniasta ściana wysokości co najmniej dziesięciu metrów. Z prawej ciągnął się rząd strusiowatych drzew, tym razem rosnących ciasno jedno przy drugim. Gdzieniedzie stykały się nie tylko zwisającymi kitami, ale i pniami, tworząc jakąś nieskładną, szczelną plecionkę. Była to droga co się zowie zamaskowana. Pomyślałem, że Naan i jego strachliwy kompan pierwsze zadanie wykonali na piątką i poczułem ponowny przypływ rozdrażnienia. Obejrzałem się. Siedzieli jak przedtem, w możliwie najwygodniejszych pozach, na jakie pozwalały im wywinięte do tyłu ramiona.

Powędrowałem wzrokiem ponad ich głowami wzdłuż drogi, którą zostawiliśmy za sobą. Strumień płynął prostym korytem, na całej długości głęboko wciętym w gliniasty grunt. Z wyglądu nieba wywnioskowałem, że przespałem co najmniej godzinę.

Przestrzeń przed nami zaczęła jaśnieć. Brzegi zbliżyły się wprawdzie do siebie, ale w bliskiej

perspektywie urywały się, odsłaniając zalaną słońcem płaszczyznę pokrytą jakby warstwą srebra. Dojeżdżaliśmy do rzeki.

– Ile do miasta? – spytałem, poprawiając się w fotelu.

– Już jest miasto – burknął ponuro Luta.

Ujechaliśmy jeszcze kilkadziesiąt metrów, po czym łazik przyhamował i przysunął do zbocza. Drzewa z prawej strony przechylały się, grożąc upadkiem. Ale w wodzie nie było śladu pni. Wbrew pozorom musiały mocno tkwić korzeniami w błotnistym gruncie.

Transer wyprzedził nas i zastopował. Palce Luty wisiały chwilę nieruchomo nad pulpitem, wreszcie zdecydował się, pchnął maszynę jeszcze trochę do przodu i wpakował ją pod pionową skarpe, tworzącą w tym miejscu rodzaj płytkiej zatoki. Przed nami pozostało nie więcej niż dziesięć metrów kamienistego dna, po czym wody strumienia wykonywały gwałtowny zwrot mieszając się z leniwym nurtem rzeki.

Na przeciwległym jej brzegu rozłożyło się miasto. Kopulaste wzniesienia rozstępowały się, ukazując spłaszczone dachy, przeważnie przysiadłe nisko nad ziemią, splątane nitki tras komunikacyjnych, białe, niemal świecące mury. Nad tym wszystkim górowały smukłe sylwetki kilku wieżyczek przypominających obeliski lub minarety, zwieńczone cebulastymi zgrubieniami. Szczegóły były niewidoczne, rzeka tworzyła tutaj rozlewisko szerokości co najmniej półtora kilometra. O lepszym punkcie obserwacyjnym nie mogliśmy nawet marzyć. I nie tylko obserwacyjnym.

– Daj lornetkę – mruknąłem, kiedy ucichł już szum silników i łazik znieruchomiał, wciśnięty między gliniastą ścianę a rufę transera.

– Po co – odburknął Luta. – Obejrzyj to sobie z bliska...

Podał mi jednak to, o co prosiłem, po czym natychmiast przełączył na pancierz ciężkiego wozu i zajął miejsce pod wieżą.

Nie zdążyłem nawet przemierzyć wzrokiem linii nabrzeża, kiedy w polu widzenia ukazał się osobliwy, owalny żagiel. W tym momencie przedstawiał on sobą dla nas coś nieporównanie bardziej godnego uwagi niż miękkie linie alfińskiej architektury.

Odjąłem od oczu niepotrzebną lornetkę i skinąłem na Naana.

– Weź tego drugiego – powiedziałem szeptem – i wracajcie do ładowni, tam gdzie jechaliście przedtem. Kłapa zostanie otwarta, ale żeby nie słyszał, jak oddychacie...

Poczekaliśmy, aż zajmą wyznaczone miejsca, po czym sam przeskoczyłem na transer i usadowiłem się obok Luty.

– Wcześniej wypływają – zauważyłem.

– Uhm...

Podciągnąłem się na rękach i nachyliłem w stronę Naana.

– To jest ten „słonecznik”? – spytałem półgłosem.

– Tak – odpowiedział pośpiesznie.

Wróciłem do poprzedniej pozycji i utkwilem wzrok w samotnej łodzi. Szła w dość znacznej odległości od brzegu i mijala nas już, zmierzając łagodnym trawersem w stronę miasta, poniżej miejsca leżącego na przedłużeniu linii koryta naszego strumienia. Odprowadziłem ją wzrokiem, dopóki nie znikła za pobliskimi drzewami i. powiedziałem:

– Pojęcia nie mam, jak tym manewrować. Słyszałeś kiedyś o jajowatych żaglach?

– Co za różnica? Kawał płótna i ster. Poradzisz sobie... – odpowiedział kategorycznym tonem.

Zamilkłem. Oczywiście, że sobie poradzę. Choćby tylko dlatego, że muszę. Jest to powód dostatecznie przekonujący, nawet w gorszych sytuacjach.

Mijały minuty, z minut robiły się godziny. Leżeliśmy niemal bez ruchu, wodząc wzrokiem po opustoszałej rzece. Ani razu żaden z tych w ładowni nie przerwał milczenia. Wiercili się tylko niemłosiernie, każdym gestem dając, do poznania, jak bardzo cierpią pólśiedząc, półleżąc ze związanymi rękami na twardej konstrukcji. Obawiam się jednak, że nie zdołali wywrzeć na nas pożądanego wrażenia.

Wreszcie, około południa, zza gliniastego urwiska, tak blisko brzegu, że w pierwszym, niedorzecznym odruchu cofnąłem głowę kryjąc się za wieżą, wypłynęła płaska łódka o zaokrąglonych burtach i szerokim, podwyższonym dziobie, unosząca jeden pomarańczowozłocisty żagiel. W płytkim kokpicie wyścielonym jakąś mięsistą, jakby nadmuchaną tkaniną widniała głowa samotnego żeglarza.

Luta błyskawicznie zsunął się z pancierza i bez pośpiechu ruszył w stronę ujścia. Minał krawędź skarpy i odbił ku środkowi koryta. Woda w dalszym ciągu sięgała mu zaledwie do kolan.

Człowiek w łódce musiał go już zauważyć, płynął jednak spokojnie dalej, rozkoszując się ciszą, słońcem, zapachem wody, który w rzeczy samej nie był przykry. Transer z tkwiącymi na nim pasażerami i ukryty za nim łazik, osłonięte załomem urwistego brzegu oraz drzewami, były od strony rzeki nie do wypatrzenia. W każdym razie dla kogoś, kto zwykł otoczeniu poświęcać tyle uwagi, co mieszkańcy widniejącego za wodą miasta.

Luta przeszedł jeszcze kilka kroków i uniósł rękę. – Najmocniej przepraszam... – zaczął niezbyt głośno, ugrzecznionym tonem. Zabrzmiało to w jego ustach tak niecodziennie, że mimo woli musiałem się uśmiechnąć. Wilk pokazujący łapę obleczoną w kozią skórę.

Łódź zrównała się z nami i powoli poczęła zmierzać ku przeciwległej krawędzi koryta. Jeszcze chwila, a zniknie z pola widzenia, pozostawiając nas w niepewności, czy człowiek za sterem naprawdę nie zauważył ukrytych pod skarpą pojazdów czy też okazał się tylko sprytniejszy od nas.

Luta postąpił jeszcze kilka kroków do przodu, wkraczając już w nurt rzeki. Woda sięgała mu coraz wyżej, przed chwilą do połowy uda, teraz dotykała już miejsca, gdzie pod bluzą miał pas z ogniwoami energetycznymi. Pokryte łuską tworzywo to mimo wszystko nie skafander. Nie mógł iść dalej.

Nagle zachwiał się i uderzył płasko dłonią o powierzchnię wody, jakby się chciał podeprzeć. Z jego ust wypłynęło przeciągłe łkanie:

– Bardzo prooszę...

To poskutkowało. Żagiel łodzi poruszył się nieznacznie. Człowiek siedzący na rufie sięgnął do dźwigni i leniwym ruchem przyciągnął rączkę do siebie. Dziób łodzi zakreślił szeroki łuk.

Luta stał spokojnie i czekał. Tkwiąc po pas w wodzie, skurczony, przygarbiony, robił, co mógł, aby sprawić wrażenie kogoś, kto pozbawiony pomocy niechybnie musi zginąć. Żeglarz znajdował się w odległości niespełna piętnastu metrów. Już tylko dwunastu. Dziesięciu...

Spokojnie patrzyłem, jak mieszkaniec miasta „Nowych” manewruje żaglem. Pomarańczowo – złote jajo było posłuszne każdemu jego gestowi, jakby prawem dla niego nie był wiatr, a jedynie nie wyrażona intencja człowieka. Sterowanie tym niby – żaglem odbywało się wyłącznie poprzez mechanizmy osadzone w maszcie. Na pokładzie nie było kawałka liny. Właściwy ster przedstawiał jakąś konstrukcję zmontowaną z całego systemu przekładni. Przysięgłbym, że uchwyt jego dźwigni w czasie największego sztormu nie wymaga przyłożenia siły większej od tej, jaką mogłoby wykrzesać z siebie dwuletnie dziecko. Nie ulegało wątpliwości, że Luta miał

rację. Poradzę sobie bez trudu. Co nie znaczy że z przyjemnością.

Łódź zatrzymała się. Widziałem, jak człowiek przy rufie unosi wolno głowę i spogląda na Lutę pytającym wzrokiem. Miał na głowie rodzaj półprzezroczystego zawoju, którego brzegi tworzyły ocieniający twarz daszek. Jego piersi i plecy okrywały luźne płaty podobnego do delikatnej gazy materiału, spięte na ramionach okrągłymi epoletami, ozdobionymi haftowanymi czy naklejonymi kwiatami.

– Czy coś się stało? – spytał cichym głosem, niemiłosiernie przeciągając samogłoski.

– Najmocniej przepraszam – powtórzył swoje Luta, ostrożnie chwytając palcami burtę łodzi. Bardzo powoli, hamowana leniwym prądem, żaglówka poczęła sunąć ku brzegowi. Głowa Luty centymetr po centymetrze przemieszczała się w kierunku rufy. W końcu przesłoniła sobą głowę człowieka siedzącego w kokpicie. Ten uniósł się odrobinę. Jego dłoń opadła na burtę. Nachylił się ku nieznanemu, który tak niespodziewanie wyrósł w wodzie, aby przeszkodzić mu w żeglarskiej sjeście...



Po kliknięciu nastąpi przeskok do nagłówka

```
', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#00006C', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">
```

Po kliknięciu nastąpi przejście do części **6**

```
', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#6C3800', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">
```

Po kliknięciu nastąpi przejście do części **8**

```
', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#004800', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">
```

– Przystań ma kształt podkowy – mówiłem szeptem, starając się nie poruszać wargami.

Do brzegu było jeszcze dobre sto metrów, ale w zapadającym mroku mogłem nie zauważyć kogoś, komu widok człowieka w łodzi, opowiadającego samemu sobie, na co patrzy i co robi, z pewnością dałby do myślenia.

– Opływam falochron – ciągnąłem. – Widzę biegnący środkiem podkowy niski pomost, przy którym stoją żaglówki. Jest ich rzeczywiście dużo. Być może łodzie mają swoje stałe miejsca przy kei, ale nie będę go już o nic pytał – odruchowo zerknąłem w stronę forpiku, gdzie w ciemności majaczył niewyraźny, podługowaty kształt, w którym ktoś niezorientowany nie dopatrzyłby się zarysów ludzkiej postaci. – Wszystkie łodzie stoją pod żaglami – powiedziałem jeszcze – wpłynę w pierwszą lukę pomiędzy nimi, jaka się nadarzy. To na razie wszystko. Odezwę się już z miasta – zakończyłem.

Nabrzeże, z którego schodził położony płasko na wodzie pomost, jaśniało setkami pastelowych lamp. Nie były zbyt silne. Na gładkiej powierzchni rzeki pobłyskiwały zaledwie nikłe, kolorowe ścieżki, nie doprowadzające światła nawet do połowy długości rozwartych ramion falochronu. Nie bez wysiłku udało mi się w końcu wypatrzyć wolne miejsce przy pomoście i wprowadzić tam łódkę, tak żeby nie dotknąć burtami sąsiednich. Zauważyłem już przedtem, że z dziobów wszystkich przycumowanych żaglówek sterczą jakieś pałakowate pręty czy wysięgniki. Każdy z nich kończył się lejkowatym zgrubieniem przytwierdzonym do płyty pomostu. Wstałem i uczepiony krawędzi żagla przeszedłem na przód łodzi, grzęznąc po kostki w miękkiej, elastycznej wykładzinie, której część musiałem oderwać od podłogi, żeby przykryć to, co znajdowało się w forpiku. W tym momencie z dziobu odskoczyła jakby długa listwa, wąska jak klinga. Przeleciała, mijając o milimetry moją głowę, i z głośnym mlaśnięciem przywarła do pomostu. Odczekałem chwilę, po czym przykląknę, aby przyjrzeć się z bliska tej szczególnej cumie. Zgrubienie na końcu listwy okazało się czymś w rodzaju gumowej przyssawki. Całe urządzenie tkwiło w czasie pływania ciasno wpasowane w pokrywę dziobu. Wskakiwało widać, kiedy łódź trafiała dnem w jakiś zaczep czy naciągniętą pod powierzchnią wody linkę. Nie był to automat. Zwyczajny mechanizm, tyle że znowu odrobinę zbyt chytry jak na mój gust.

Wstałem i przeszedłem na pomost. Tupnąłem, niezbyt mocno. Odpowiedziało stłumione głuche echo. Płyta była wyłożona jakimś mięsistym, śliskim materiałem, podobnym do tych, z których robi się skafandry dla płetwonurków. Stałem jeszcze nasłuchując, kiedy tuż za moją głową rozległ się senny i dziwnie miękki głos:

– Spóźniłeś się...

Znieruchomiałem. Pierwsze, co przyszło mi na myśl, to że wzięto mnie za kogoś innego. Kogoś, kto zapomniał o wyznaczonym spotkaniu. Ale głos mógł równie dobrze należeć do człowieka, który czekał na "naszego" samotnego żeglarza, a teraz rozpoznał jego łódkę i przyszedł się pożalić.

– Nie jest tak bardzo późno – odpowiedziałem na wszelki wypadek, starając się maksymalnie przeciągać samogłoski. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek dotychczas mój głos brzmiał tak miło.

– Proszę iść... – zabrzmiało w odpowiedzi. Odetchnąłem. W każdym razie nikt, kogo powinienem znać.

– Tak, już idę – powiedziałem uprzejmie. Odwróciłem się i podniosłem z deku przygotowane tam zawiniątko. Była to owa srebrzysta, łuskowata bluza, którą zabrałem na wszelki wypadek, nie wiedząc jak mieszkańcy miasta noszą się po zapadnięciu zmroku. To, co miał na sobie człowiek w łodzi, a co powiewało teraz na moich plecach i piersi, mogło być strojem

przeznaczonym wyłącznie do żeglowania.

Wyprostowałem się i w tym momencie ujrzałem twarz osobnika, który wypominał mi spóźnienie. Była ujęta w jakieś prostokątne obramowanie zamknięte od góry kopulastym kaskiem. Moje ruchy stały się natychmiast płynniejsze. Zapewne nie wolno im pozostawać na wodzie po zachodzie słońca. Może chodzić równie dobrze o bezpieczeństwo samych wodniaków jak i obawę, aby w nocy nie podpłynął ktoś z konkurencyjnego miasta. Jeśli spytają mnie o dokumenty...

Wyprostowałem się jak człowiek znudzony długim leniuchowaniem i posławszy człowiekowi w kasku przepaszające spojrzenie, spokojnym, ale nie nazbyt wolnym krokiem ruszyłem w stronę miasta. Piętnaście, dwadzieścia metrów. Nic. Cisza. Głęboko zaczerpnąłem powietrza. Pozostało mi teraz żywić nadzieję, że ich strażnicy nie mają obowiązku rewidowania podpływających wieczorami łódek. Gdyby zajrzał do forpiku...

Przyśpieszyłem. Lamy nabrzeża błyszcząły coraz jaśniej. Ich światła odsłaniały kamienne umocnienia nabrzeża i bezpośrednio za nimi szeroką drogę, zamkniętą wysoką betonową ścianą. Z każdym krokiem wyraźniej rysowały się sterczące z niej talerze i kratownice anten. Pomyślałem, że mieliśmy rację odmawiając sobie luksusu dwustronnej łączności. O mój kierunkowy nadajniczek mogłem być spokojny. Niemniej miasto nie było tak życzliwe przybyszom, jak by to wynikało z relacji jego mieszkańców, odpoczywających teraz w komorze ładunkowej transera.

Z pomostu na właściwe nabrzeże prowadziły wygodne, szerokie stopnie o zaokrąglonych krawędziach. Wszedłem na górę i rozejrzałem się dyskretnie. Spóźniłem się, musiałem o tym pamiętać. Jak okiem sięgnąć na całym bulwarze prócz mnie nie było żywego ducha. Nie mogłem sterczeć i kręcić głową zastanawiając się, jaki kierunek wybrać. Od razu, nie zatrzymując się, skręciłem w stronę, gdzie w głębi ładu widniało największe, jak oceniłem, skupisko światła.

Przeszedłem na ukos betonową płaszczyznę dzielącą rzekę od opasującego miasto muru i znalazłem się w zupełnych ciemnościach. Światło lamp biegło górą, rozjaśniając krawędź nabrzeża i wąski pas wody. Pod ścianą natomiast leżał głęboki cień.

Szedłem teraz wolniej, nie starając się jednak stąpać zbyt cicho. W pewnej chwili bez żadnej myśli wyciągnąłem ręką, aby musnąć w przelocie powierzchnię muru, jak to robią dzieci przebiegając obok żywopłotu lub pojazdów. Nagle coś mnie tknęło. Cofnąłem rękę i przystanąłem. Następnie podnosząc palce do oczu, przysunąłem się bliżej czarnej, jakby pokrytej sadzą, ściany. Niebawem poczułem w opuszkach palców ledwo uchwytny rezonans, jakbym je trzymał bardzo blisko rozedrganej membrany. Cofnąłem się i spróbowałem ponownie. To samo.

Nie sądzę, aby dotknięcie muru groziło komuś nie znającemu jego właściwości porażeniem. Być może jego powierzchnia stanowiła swoistą aparaturę alarmową. Poważniejsze naruszenie pola elektromagnetycznego dawało im znać, że na nabrzeżu pojawił się obcy. Tak czy owak miałem szczęście. Przynajmniej jak do tej pory.

Ruszyłem dalej. Wszystko było jak przed chwilą, tylko echo moich kroków rozbrzmiewało odrobinę głośniejsze. W pewnym momencie potarłem dłonią czoło i przekonałem się, że jest wilgotne. A przecież to dopiero początek.

Z góry, zza ściany dobiegł jakiś dźwięk. Jakby ktoś lekko trącił wiszącą swobodnie metalową płytę. Wstrzymałem oddech, ale nie zmieniłem tempa marszu. Odgłos nie powtórzył się. Jednak dopiero ten dźwięk uświadomił mi, że całe nabrzeże pogrążone jest w doskonałej, nienaturalnej ciszy. Jeśli zważyć, że niemal o krok, tuż za tym rozedrganym murem leżało blisko milionowe miasto, było w tej ciszy coś budzącego grozę. Wilgoć na moim czole zebrała się w krople.

Poczułem na skroni pierwszy chłodny strumyczek. Szedłem dalej.

Po kilku minutach droga przede mną zaczęła się rozjaśniać. Na rzece wykwitły poświęcające pastelowymi lampkami boje, nabrzeże rozszerzało się tworząc obszerny, półkolisty plac. Chwilę później wyłonił się zarys falochronu. Wytyczał znacznie większy basen niż ten, do którego wpłynąłem... kiedy to było? Godzinę temu? Dwie?

Odruchowo spojrzałem na zegarek. Dziewięć minut. Dokładnie tyle czasu upłynęło od chwili, kiedy wprowadziłem zagarniętą na przeciwległym brzegu łódź do jej macierzystej przystani. Trzeba przyznać, że jak dotąd wskórałem raczej niewiele. Ale przecież to tylko dziewięć minut...

Przedem był port. Przy niskich, sierpowatych pomostach tłoczyły się kolorowe żaglówki. Ale za nimi majaczyły pękate, przypłaszczone korpusy jakichś dużych barek czy statków. Dwa najbliższe opasywały świecące paciorki okien. Pierwszy znak życia na tym zabudowanym pustkowiu.

W jasnym kręgu pod jedną z najbliższych latarni ukazała się sylwetka człowieka, zwieńczona kaskiem, przypominającym półkuliście sklepiony walec z prostokątnym wycięciem na oczy, nos i usta. Strażnik. Musiał mnie zauważyć dobrą chwilę temu.

Odstąpiłem od ściany i wyszedłem na oświetloną przestrzeń. Teraz dopiero spostrzegłem przed sobą szeroką bramę w zamykającym nabrzeże murze. Wiodło do niej wspinające się ku miastu podejście, zapewne pochylnia, którą spuszczano na wodę łodzie i mniejsze statki. Być może, stanowiła również przejście dla pieszych. Jakkolwiek zresztą sprawy się miały, brama i tak była zamknięta. Jej gładkie płyty pobłyskiwały w świetle reflektorów. W jednym z jej dwóch skrzydeł zauważyłem nieznacznie uchyloną furtkę. Nie ulegało wątpliwości, że trafiłem wreszcie we właściwe miejsce. Ale strażnik wydawał się wiedzieć o tym równie dobrze jak ja. Kiedy tylko zmieniłem kierunek, poruszył się i postąpił dwa kroki w moją stronę. Nie śpieszył się zbytnio.

– Już póóóžno – zaśpiewał miękko. – Baardzo póóóžno... Posłałem mu najuprzejmiejszy z moich uśmiechów, kreśląc jednocześnie prawą ręką szeroki gest, który miał mu wyjaśnić, skąd się tu wziąłem. Nie czekając na rezultat tych zabiegów, odwróciłem się i poszedłem prosto w kierunku bramy. Po kilku krokach obejrzałem się i ponownie uśmiechnąłem, po czym nieznacznie przyśpieszyłem. Idąc zastanawiałem się, kiedy' ruszy za mną. Pochylnia wznosiła się łagodnie, widziałem już szeroki, pokryty jakąś tkaniną uchwyt przy zamku, wąską szczelinę, spoza której docierało nikłe światło, złotawą, jakby polerowaną listwę. Cisza. Strażnik nie ruszał się ze swego miejsca na nabrzeżu. W końcu poczułem pod palcami gąbczastą osłonę uchwytu, pchnąłem lekko furtkę i postawiłem stopę na szerokim, ledwo zaznaczonym progu. W tym samym ułamku sekundy ujrzałem tuż przed sobą znajomy kask i usłyszałem śpiewny głos, pełen łagodnego wyrzutu: – Spóóóziłeś się...

Tym razem nie stanąłem na wysokości zadania. Rzuciłem się do tyłu jak uderzony, wyrzuciłem barkiem we framugę furtki, gubiąc zawiniątko, które cały czas ścisnąłem pod pachą, i z rozmachem usiadłem na betonowej płycie. Tyle przynajmniej, że zanim jeszcze zdałem sobie sprawę, co się właściwie stało, zdołałem wyśpiewać tonem odrobinę tylko wyższym od tego, którego używałem normalnie:

– Przepraszani...

Nikt nie odpowiedział. Odczekałem chwilę i nie podnosząc głowy zacząłem się zbierać. Niezbyt pośpiesznie. Potrzebowałem czasu. Potrzebowałem go bardziej niż kiedykolwiek. Ostatecznie mogłem wejść do miasta w biały dzień i pozwolić zaprowadzić się do jakiegoś centralnego urzędu. Jeśli postąpiłem inaczej, to dlatego że nie mieliśmy żadnej gwarancji, czy

„Nowi”, nie licząc się z konsekwencjami, nie zechcą postawić wszystkiego na jedną kartę, jak to już raz przecież zrobili. Wiele przemawiało za tym, by postarać się poznać ich nieco lepiej, zanim przystąpimy do akcji. Nie sposób było też z góry całkowicie wykluczyć szansy załatwienia sprawy po cichu, drogą wykradzenia Yiandena. Jeśli rzeczywiście znajdował się w tym mieście, jego mieszkańcy nie mieli powodu pilnować go jak zwykłego więźnia. Po prostu nie miał dokąd uciekać. Wszystkie te spekulacje były związane z dyskretnym przedostaniem się w obręb murów. Przekreślenie tych możliwości przez zwykłe zaskoczenie i upadek było czymś tak idiotycznym, że omal nie wybuchnąłem histerycznym śmiechem. Nagle przestałem się bać. Ogarnęła mnie czysta pasja. Wstałem, strzepnąłem spływające z moich ramion flagi i zdecydowanie ruszyłem przed siebie. Przekroczyłem furtkę i przeszedłem szybkim krokiem kilka metrów. To znaczy do miejsca, w którym na mojej drodze wyrosła sylwetka człowieka w walcowatym kasku.

– Dokąd i idziesz?...

– Przepraszam... – powtórzyłem. Przyjrzał mi się uważniej. Milczałem chwilę w nadziei, że powie coś, na co będę mógł odpowiedzieć, ale nic takiego nie nastąpiło. Staliśmy naprzeciw siebie i widziałem, jak stopniowo zaczynają go nurtować niejasne na razie podejrzenia.

– Do domu – zaryzykowałem wreszcie. – Mieszkam w Pierwszym Poorcie...

Strażnik cofnął się o krok. Chwilę mierzył mnie spojrzeniem, po czym powiedział: – Przecież się spóóóźniłeś...

W jego głosie brzmiało niebotyczne zdumienie.

Wszystko wskazywało na to, że muszę go czymś zająć. Coś zrobić, sprowokować jakąś sytuację, która zmusi go do mówienia. Byłem przygotowany na udzielanie odpowiedzi. Nie na inicjowanie konwersacji. To był grunt, na którym mogłem się potknąć, nawet o tym nie wiedząc. Obawiałem się go.

Machinalnie sięgnąłem do lewego boku i odkryłem brak mojego tobołka. Odwróciłem się, wróciłem do bramy i pochyliłem, podnosząc zgubę. Słyszałem, że człowiek w kasku podążył za mną, ale umyślnie nie zwróciłem na to uwagi. Wyprostowałem się i próbowałem bluzie, która rozwinęła się w czasie upadku, nadać jej pierwotny kształt. Złożyłem rękawy i zabierałem się do kołnierza, kiedy usłyszałem coś, jakby zdławione westchnienie czy jęk. Zerknąłem w stronę strażnika i osłupiałem.

Stał z głową podaną do przodu i wpatrywał się w moją łuskowatą bluzę szeroko otwartymi oczami. Ramiona mu opadły. Zwiotczał, jakby z jego ciała usunięto wszystkie kości. Jego wargi poruszyły się i ponownie wypłynął z nich ni to szloch, ni to jakieś rozpaczliwe ziewanie. Nie ulegało wątpliwości, że jest w najwyższym stopniu poruszony i że sprawił to widok ubioru, zabranego człowiekowi, który nocą przemierzał szpiciniaste stepy tego globu.

Wróciłem do przerwanej czynności, umieściłem rulonik pod pachą i zdecydowanie przekroczyłem próg bramy. Oskoczył natychmiast jak zdmuchnięty, robiąc mi przejście. Kiedy go mijiałem, tuż przy moim uchu rozległ się zawodzący, pełen lęku głos:

– Przepraszam paana...

A więc jestem już „panem” – przebiegło mi przez myśl. To dobrze. Może nawet odrobinę zbyt dobrze. Mój „rezerwowy” strój stawał się w ten sposób bezużyteczny. Jako zastrzeżony dla osób uprzywilejowanych, musiał zwracać większą uwagę, niż to leżało w moich zamiarach.

Ale reakcja strażnika dowodziła czegoś więcej. Wystawiała wymowniejsze świadectwo organizacji społecznego życia „Nowych”, niż mogli to zrobić wszyscy razem wzięci mieszkańcy drugiego miasta, których przedstawiciele zastaliśmy w stacji na Drugiej. Pomyślałem o Frosie.

Ten znalazłby tu powody do zadowolenia. Nie było cienia wątpliwości, że czas w mieście Nowych oznacza coś, czego społeczność pierwszej fali emigracyjnej nie uwzględniała w swych eksploracyjnych planach.

Ta myśl przyszła nie w porę. Zachnąłem się i przyspieszyłem. Nie spojrzałem nawet w stronę milczącego, skulonego strażnika, który robił, co mógł, aby roztopić się w cieniu. I dla którego najwidoczniej moje zachowanie stało się wreszcie zrozumiałe i normalne.

Mur odgradzający miasto od nabrzeża okazał się zewnętrzną ścianą przysadzistej, kiszkowatej budowli, opasującej całą zamieszkałą część wyspy, a w każdym razie dostatecznie długiej, by pomieścić wszystkie możliwe środki obrony, od nasłuchu radiowego do miotaczy dalekiego zasięgu. Takie przynajmniej przeznaczenie zabudowań przyszło mi na myśl, kiedy wychodziłem ze słabo oświetlonego zaułka zamkniętego bramą na rozległy, usiany lampami plac. Na wprost widniała zwarta ściana piórowatych drzew, rozstępujących się, by przepuścić wąską stosunkowo drogę prowadzącą w kierunku śródmieścia.

Przeszedłem na przełaj plac i wkroczyłem w cień padający z drzew, które niemal zamiatały koronami nawierzchnię ulicy. Odgłos moich kroków zabrzmiał naraz inaczej. Spojrzałem pod nogi i spostrzegłem, że beton ustąpił miejsca elastycznej taśmie, powleczonej cienką warstwą czegoś szorstkiego. Była szeroka na jakieś trzy metry i obramowana z obu stron wypukłą, białą listwą. Domyśliłem się, że idę nieczynnym o tej porze, ruchomym chodnikiem.

Droga zaczęła się wznosić, początkowo łagodnie, następnie coraz bardziej stromo, zmierzając ku szczytowi najbliższego wzniesienia. W dalszym ciągu aleja i las czy raczej park, w którym z gęstwiny drzew z rzadka przebijało nikiłe światło latarni, były jak wymarłe. Ciszy nie mącił najśłabszy szmer, najdalszy choćby odgłos ruchu ulicznego. Jakbym grubo po zamknięciu sezonu turystycznego wszedł w obszar dobrze utrzymanych ruin.

Z lewej strony pomiędzy drzew wybiegł drugi nieruchomy pas połyskujący białymi listwami i dołączył do mojego. Kilkadziesiąt metrów dalej park kończył się na jakiejś wąskiej przecznicy. Z mroku występowały powtarzające się w nieskończoność okrągłe, przyplaszczone dachy domów. Zbiegały ze zboczy, pięły się na następne wzgórza, znikwały za ich wierzchołkami, wszędzie takie same, niezgrabne, jakby przydeptane. Przy każdym umieszczono jedną lub dwie niskie lampy, przez co sprawiały wrażenie podświetlonych od wewnątrz. Każdy miał też kępkę własnych, strusiowatych drzew.

Minąłem przecznicę i idąc ciągle prosto, dotarłem na szczyt wzniesienia. Z lewej i prawej ciągnęły się teraz szpalery niskich żywopłotów, splecionych z tej samej trawy, która porastała obszary niezamieszkałe, tylko jakby smuklejszej. Nadal panowała doskonała, martwa cisza. Domy sprawiały wrażenie, jakby ich mieszkańcy od kilku godzin pogrążeni byli w najgłębszym śnie. Spojrzałem na zegarek. Dziewiąta czasu miejscowego. Dziewiąta wieczór. Gdyby zza któregoś z tych trawiastych opłotków dobiegło chociaż szczekanie psa. Uśmiechnąłem się mimo woli. Takie myśli nachodzą człowieka, kiedy przechodzi nocą przez stare, od lat opuszczone ziemskie wsie. O ile wiem, ani pierwsza, ani druga wyprawa emigracyjna nie miały na pokładzie żadnych zwierząt. O psach nie było mowy. Nigdy nie przypuszczałem, że ich brak może okazać się czymś ważnym.

Aleja, którą szedłem, zbiegała w dość wąską dolinę i przed następnym wzniesieniem skręcała ku środkowi wyspy. Większą część jej powierzchni zajmowały teraz ruchome chodniki, do których dołączały wciąż nowe. Wreszcie, kiedy droga wpłynęła pomiędzy stronie zbocza, rozbiegły się w lewo i prawo tarasowatymi ścieżkami, wytyczonymi na kilku różnych poziomach. Raz i drugi przebiegły szosę, zawieszoną na kabłąkowatych słupach,

przypominających miejscowe drzewa. W miarę jak zbliżałem się do centrum wyspy, wiaduktów przybywało. Wszystko to sprawiało wrażenie, jakby arterie komunikacyjne miasta przystosowano głównie do ruchu pieszego. Na wolnej od chodników tasiemce jezdni, nie wiem, czy zmieściłyby się obok siebie dwa wehikuły podobne do tego, który czekał teraz na lepsze czasy w korycie potoku.

Za kolejnym łukiem droga przechodziła w szeroką promenadę, wzdłuż której ciągnęły się jasno oświetlone budowle. Były inne od tych na wzgórzach, większe, a w każdym razie rozleglejsze. Zbocza ucinają się raptownie, odsłaniając panoramę śródmieścia. Walcowate gmachy wiły się wzdłuż powyginanych ulic, splatały ze sobą i rozstępowały, obejmując owalne place, ozdobione jakimiś rzeźbami czy pomnikami. Kilka minut szedłem jeszcze w dotychczasowym kierunku, po czym skręciłem w szerszą od innych przecnicę, z pasem nisko przyciętej trawy. Wtedy dobiegł mnie pierwszy dźwięk, jaki udało mi się pochwycić w tym mieście od chwili, kiedy w tak niezwykły sposób przekroczyłem jego bramę. Jeden z chodników wspinających się ku najbliższej estakadzie był w ruchu. Nie znaczy to, że ktoś z niego korzystał.

Odwykłem od chodzenia. Miałem prawo, gdyby się ktoś pytał. Wszedłem na toczący się chodnik i odetchnąłem. Przejechałem może dwadzieścia metrów i pomyślałem o Lucie. Odgłos, jaki wydawały biegnące pod płytą rolki, stawał się chwilami ledwie słyszalny, niemniej ulice nadal były jak wymarłe, a budowle, które mijałem, przypominały raczej biurowce niż domy mieszkalne.

– W porządku – odezwałem się szeptem. Powiedzenie „odezwałem się” nie oddaje wiernie istoty sprawy. Raczej zanuciłem. Ktoś, kto by mnie przypadkiem podsłuchał, mógł sądzić, że jakiś podtatusiały fircyk, wracając z udanej randki, podśpiewuje sobie pod nosem. Jeśli oni, rzecz prosta, chadzali na randki. Obraz miasta o dziewiątej wieczorem, w drugim miesiącu wiosny, pozwalał w to wątpić.

– Pilnuj tych dwóch – nuciłem dalej. – Są ważni. To, co mieli na sobie, służy jako znak rozpoznawczy i otwiera tu wszystkie bramy. Pamiętasz, wspomniałem wtedy o poligonie? Może wracali z jakiejś inspekcji. W mieście nie widziałem jeszcze nikogo. Dochodzę do centrum. Nie mogę mówić głośno, bo dokoła jest zupełnie cicho. Kończę już. To jest miasto śmierci...

Ostatnie zdanie wyrzuciłem z siebie pod wpływem nagłego impulsu. Dopiero kiedy usłyszałem własny zawodzący szept, zdałem sobie sprawę, co powiedziałem. Za wcześnie na oceny. Jeśli takie w ogóle będą potrzebne. Mimo to czułem, że powiedziałem prawdę. „Nowych”, jak ich nazywają istoty zamieszkujące wraz z nimi ten świat, przybywa. Miasto z pewnością się rozwija. Ale nie ma w nim krzty charakteru. Nie ma tej iskry, która rodzi olśnienia.

Zamyśliłem się. Chodnik zataczał właśnie łagodny łuk, wpadając w jakiś napowietrzny pasaż pokryty przezroczystym dachem, wykonanym jakby z jednego kawałka szkła. Pode mną przesuwały się niewysokie witryny sklepów czy sal wystawowych, raczej pustawe, miejsce towarów i sprzętów zajmowały barwne tablice z napisami. Co kilka metrów stały pękate skrzynie ulicznych automatów z podświetlonymi tarczami.

Pasaż otworzył się nagle, wjechałem na rozległy plac opleciony chodnikami zawieszonymi na trzech, a miejscami nawet czterech poziomach. Estakada okrążyła fronton jakiejś opastej, wypukłej budowli, w dolnej części ukazującej kolorowe wnętrza pełne świetlnych tablic, po czym wylądowała na ulicy. Zszedłem z biegnącej taśmy i zatrzymałem się na skraju wolnej przestrzeni.

Szerokość placu przekraczała z pewnością pięćdziesiąt metrów. Z prawej zamykała go ściana wysokiego gmachu, ozdobionego świetlnymi malowidłami. Po przeciwnej stronie ginął w

perspektywie, tworząc coś w rodzaju centralnej magistrali. Już przedtem, pomimo rozmachu, z jakim zaplanowano zabudowę tego miejsca, odniosłem wrażenie, że zanurzając się w pasażu, opuszczam centrum miasta. Postanowiłem dojść do najbliższej przecznicy i wrócić tam, skąd przyjechałem. Uszedłem kilkanaście kroków i nagle ujrzałem przed sobą ludzi. Stałem jak wryty.

Mężczyźni. Trzech mężczyzn w jakichś ni to płaszczach, ni pelerynach, szerokich, powiewnych, spływających miękkimi fałdami do kolan. Ich włosy ciemniały na tle oświetlonych wystaw jak zgaszone lampy. Byli już blisko. Szli statecznie, można powiedzieć: sunęli. Żaden z nich nie spojrzał w moją stronę. Ich głowy płynęły równo, nieruchomo, jak łódki na spokojnej wodzie. Mijali mnie właśnie. Nie przyglądałem im się, ale odniosłem wrażenie, że patrzyli prosto przed siebie, a raczej nie, nie patrzyli, że ich oczy utkwione w perspektywie placu były obojętne na wszystko, co mogło dziać się w ich polu widzenia. Przeszli obok mnie, nie wydając najmniejszego szmeru. Przebiegło mi przez myśl, że stanowią patrol jakiejś służby porządkowej, a owe peleryny to po prostu mundury. Ale nie. Niemal równocześnie w pewnej odległości, na innym poziomie, ujrzałem sunącą chodnikiem postać kobiety i poniżej, po przeciwnej stronie placu, zmierzającą w moim kierunku parę. Wszyscy mieli na sobie te same stroje. Ich ruchy były identyczne. Takie same niewidzące oczy, martwe twarze, ciche, posuwiste kroki. Nawet kobieta i mężczyzna przekraczający w tej chwili płytę placu zdawali się nie wiedzieć nawzajem o swej obecności. Szli w odległości metra od siebie i nie obdarzyli się jednym spojrzeniem.

Ruszyłem. Minąłem narożną budowlę i skręciłem w skośną, dość szeroką ulicę, biegnącą mniej więcej równoległe do owego pasażu, który przemierzyłem kilka minut temu. Wzdłuż oświetlonych wystaw ciągnęły się tutaj zaledwie dwa chodniki. Na wyższych kondygnacjach nie było ich w ogóle. Za to ludzi wciąż przybywało. Jakbym wreszcie trafił w to jedyne miejsce, gdzie życie nie gasło wraz ze słońcem. Jeśli jednak decydując się na konspiracyjne wejście do miasta, nie wykluczałem możliwości nawiązania jakichś pozornie zdawkowych rozmów, z tą przynajmniej szansą mogłem się teraz pożegnać definitywnie. Nawet w miejscach, gdzie mijało się równocześnie kilka osób, nie padło jedno słowo. Ani jedna twarz nie zwróciła się w moją stronę. Nie zauważyłem, by ktokolwiek chociaż raz spojrzał na człowieka, który szedł obok niego. Myśl, że mogę zaczepić którąś z tych żywych mumii, była jawną nedorzecznnością.

Przede mną widniał teraz lepiej od innych oświetlony budynek. Od czasu do czasu ktoś mijał wielkie tablice świetlne i wkraczał do głębokiej, lejkowatej bramy. Podeszedłem i zatrzymałem się pod jedną z oszklonych gablot, prezentującą olbrzymich rozmiarów afisz. Był zrobiony z jakiegoś miękkiego, delikatnego materiału, przypominającego stare chińskie jedwabie i udrapowany w nieregularne fale. Całą jego płaszczyznę wypełniały barwne koła znajdujące się w nieustannym ruchu. Zachodziły na siebie, rozstępowały się ukazując srebrzyste, jakby fosforyzujące tło, to znów mieszały, sprawiając wrażenie, że wymieniają się kolorami. Te były pastelowe, słabe. U dołu afisza widniały jakieś znaki i rozrzucone litery, krążące tym samym powolnym ruchem co barwne plamy powyżej. Wpatrywałem się w nie dłuższą chwilę, zanim udało mi się przeczytać jedno słowo: „koncert”.

Zajrzałem w głąb bramy. Tworzyła rodzaj zaułka między skrzydłami budynku. Pośrodku widniała niewielka wolna przestrzeń, jakby arena z czymś przypominającym staroświecki zegar słoneczny, którego wskazówkę wieńczyła jedna lampka kłująca wzrok jasnym pomarańczowym światłem. Arenę otaczały szerokie fotele ustawione w trzech rzędach. Zaledwie w kilku tkwiły nieruchome sylwetki gości.

Rozejrzałem się. Ani w okolicy reklamowych tablic, ani w okrągłej sieni nie zauważyłem

żadnego stoiska czy okienka przypominającego kasę. Wyprostowałem się i patrząc prosto przed siebie, wszedłem do środka. Miąłem korytarz i wkroczyłem na placyk pod przezroczystym dachem. Powietrze było tu równie świeże jak na ulicy, unosiła się w nim jakaś nieuchwytna woń. Nie umiałem jej określić ani nawet stwierdzić z całą pewnością jej obecności i uprzytomniłem sobie, że wzbudza we mnie zniecierpliwienie. Ale dla nich była zapewne subtelna i kojąca.

Miąłem kilka foteli i ulokowałem się mniej więcej na wprost wejścia, w ostatnim rzędzie. Oparcie poszło daleko do tyłu, kiedy jednak chciałem zmienić pozycję, posłusznie powędrowało za moimi plecami. Poręcze sąsiedniego fotela znajdowały się nie bliżej niż pięćdziesiąt centymetrów. Między rzędami pozostawiono prześwit dostateczny, aby można przejść z nieruchomą twarzą, nie patrząc pod nogi.

Splotłem ramiona na piersi i czekałem. Nie wiem, jak długo. Z ulicy co chwilę ktoś wchodził, przeważnie samotni mężczyźni, ale miejsca przede mną wciąż pozostawały wolne. Nagle światło przygasło. Na plac padła różowawa poświata. Lampa na szczycie pręta sterczącego z ustawionej pośrodku ringu konstrukcji zapłonęła ostrym blaskiem, po czym zaczęła migotać. Ruch w sieni ustał. Krążki światła dokoła ostatecznie szerniały, pozostała jedynie ta pomarańczowa lampa, której błyski stawały się coraz częstsze, coraz bardziej natarczywe. Nagle odezwała się jedna, początkowo ledwo słyszalna struna skrzypiec. Jej dźwięk narastał, rozbrzmiewał tuż obok, a jednocześnie przychodził jakby z bardzo daleka, z przestrzeni, ze wszystkich kierunków naraz. Przenikał najdrobniejsze włókna nerwowe, które zdawały się przyjmować jego częstotliwość i odpowiadać rezonansem oznaczającym szaleństwo. Pomarańczowe błyski zmieniały się w eksplodujące pod powiekami ładunki. Tło akustyczne, na którym pulsowało już nie światło, a gwiazda, wybuchające rytmicznie słońce, obezwładniało, była w nim groza i nie dająca się określić samotność, ale nie było siły. Zaledwie to pomyślałem, poczułem dotyk czyjejś ręki na ramieniu.

Powoli odwróciłem głowę i spojrzałem za siebie. – Przepraaaszam... – wionął mi do ucha najcichszy z możliwych szeptów. Poczułem na skroniach chłód i zorientowałem się, że ktoś, kto stanął za mną, nakłada mi na głowę słuchawki. Spojrzałem odrobinę przytomniej i ujrzałem młodą dziewczynę. Poruszając palcami, jakby przeprowadzała operację chirurgiczną, umocowała mi na skroniach lekki aparacik, wydobyty z oparcia fotela. Teraz dopiero spostrzegłem, że wszyscy znajdujący się na widowni mają na włosach płaskie, kabłakowate słuchaweczki, spięte u szczytu głowy spiralną siateczką. Chciałem podziękować dziewczynie przepaszającym gestem, ale jej obraz zamazał się nagle, zamiast twarzy okolonej długimi, lśniącymi w pomarańczowych błyskach włosami ujrzałem przed sobą karykaturalnie rozległy, jakby obserwowany z ogromnej odległości krajobraz i znalazłem się w powietrzu. Nie, w przestrzeni. I nie żebym się tam znalazł. Sam byłem tą przestrzenią. Nie istniało miejsce, o którym mogłem powiedzieć, że mnie tam nie ma, nie istniały układy planetarne i galaktyki, przestał istnieć czas. Przez moment czułem jeszcze, że z tym czasem coś się nie zgadza, że jest alternatywa, która powinna pomóc mi przeciwstawić się temu, czego doznawałem, próbowałem skupić myśli, ale na próżno. Walczyłem chwilę, może ułamek sekundy, może całe lata, nie miało to teraz żadnego znaczenia i poddałem się prądowi, mijającemu wszelkie znane światy, które ogarniałem już sobą samym, ale poza którymi istniała widać inna, nieprzeczuwalna przestrzeń, jakby mogły obok siebie egzystować dwie nieskończoności i jakby teraz właśnie miało dojść do ich zespolenia.

Nie słyszałem muzyki. Wiedziałem tylko, że muzyka jest jedynym sposobem wyrażenia stanu, w jakim się znalazłem. Od niej zależało, czy moje istnienie osiągnie cel, ku któremu zmierzało, chociaż każda próba określenia tego celu równała się jego zaprzeczeniu. Jednocześnie pragnąłem tego i czułem, że w przestrzeni jaką byłem, jest cała wieczność dźwięków, że mogę nią gospodarować, jak mi się żywnie podoba. A także, że jakkolwiek nazwę teraz i w przyszłości tę muzyczną przestrzeń, nie popełnię błędu, ponieważ to z jakichś powodów jest niemożliwe. I znowu nie było w tym uczuciu siły, nie było również radości. Pomyślałem dźwięk i usłyszałem go, nie żeby zabrzmiał w tej chwili, istniał nieskończenie długo, zanim go przywołałem, i będzie istniał, kiedy go już odprawię wybierając nowe głosy jak piszczałki organów.

Mój stan uległ przeobrażeniu. Byłem jv dalszym ciągu wiecznością, ale wyrażoną teraz w płaszczyźnie. Płaszczyźnie, w potocznym tego słowa znaczeniu, nieskończonej, czułem tę nieskończoność opuszkami palców, wszystkimi zmysłami, ale równocześnie zdana na łaskę drugiej nieskończoności, równie płaskiej jak ja, która rozciągnęła się pode mną i błyskawicznie przekształciła w jakiś niewyobrażalnie rozległy łąd.

W dalszym ciągu to ja wybierałem dźwięki, kształtowałem melodię, ale równocześnie rozwijała się ona sama, działałem pod nakazem jej brzmienia, które zmierzało w ściśle określonym kierunku. Prawa harmonii ani żadne inne nie miały z tym nic wspólnego. Moje ciało nabrało spoistości i poczęło reagować na otoczenie. Byłem płaszczyzną umieszczoną w jakimś wymiernym świecie, zależną od jego praw. Mógłbym porównać się z nieskończoną, niesłuchanie lekką warstwą jakiejś tkaniny, bardziej zwiewnej niż pajęczyna, lecz przecież zdanej na prawa fizyki.. łąd pode mną pozieleniał, w oka mgnieniu pokrył się miliardami dużych kwiatów ułożonych pod względem barw w jednolite plamy, jakby nieregularne koła. Był coraz bliżej. Ale to nie on unosił się ku mnie. Płaszczyzna, jaką byłem, zafalowała, nie czułem wiatru, choć w powietrzu był ruch, powstawał jakoby pod wpływem mojego własnego ciężaru, który sprawiał, że opadałem coraz niżej i niżej, unosząc się jeszcze nad rozkwitłą łąką, jednak już przeczuwając moment, w którym zetkną się z jej powierzchnią. Próbowałem bronić się przy pomocy dźwięków, ale zabrzmiały słabo. Na ułamek sekundy nie powstrzymały mojego upadku. łąka była tuż. Niemal czułem ból, jaki sprawiał mi dotyk kwiatów, przeszywających płatkami tkanę owej płaszczyzny, która była mną, zbyt wątłej, aby cokolwiek mogło powstrzymać jej opadanie. Muzyka zaczęła przygasać i nagle uświadomiłem sobie, że umieram. To jest śmierć. Cudaczna, przebiegająca jakby poza czasem, ale najzupełniej rzeczywista i nieodwracalna. Śmierć.

Ta myśl mną wstrząsnęła. Błysnęła jak iskra, na ułamek sekundy dając świadomości kontakt z realnym światem. Wystarczyło. Gorączkowo sięgnąłem do skroni i zdarłem z głowy ową aparaturę, którą umieściła tam dziewczyna z obsługi tej sali koncertowej czy jak kto chce nazwać to miejsce, gdzie ludzie przychodzą pięknie umierać.

Miałem dość. Wydało mi się, że rozumiem już wszystko. Że nie potrzebuję niczego więcej, aby pozbyć się złudzeń. Pójdę teraz tam, gdzie sprawa rozstrzygnie się może brutalnie, ale szybko. Powiniennem był zrobić to od razu.

Wstałem. Nie dbałem już o zachowanie pozorów. Zresztą w tej samej chwili spektakl dobiegł końca. Wszyscy wstawali z miejsc. Zrobiło się tłoczno. Spojrzałem na zegarek. Od chwili, kiedy przekroczyłem bramę tego zaułka i usiadłem w fotelu, minęło dokładnie sześć minut. Ani sekundy więcej.

Opanowałem się. Nie teraz. Nie mogę ryzykować reakcji tego umarłego towarzystwa na szok, jakim byłoby odkrycie w ich gronie obcego. I to jak bardzo obcego.

Rozejrzałem się po twarzach ludzi, opuszczających widownię. Były równie nieruchome jak przedtem. Wydawało się, że nic nie jest w stanie sprawić, aby ożyły. Mimo woli wzruszyłem ramionami. Fantomatyka. Coś, czego na Ziemi robić nie wolno. Początkowo było to prawo wydane w obronie świata realnego. Rychło jednak stało się sprawą etyki. A także estetyki. W ucieczce od rzeczywistości, satysfakcjonowaniu w sztuczny sposób dowolnych instynktów, zaprogramowanych pragnień, wymyślonych stanów emocjonalnych, jest w gruncie rzeczy coś ohydneho.

Wyszedłem na ulicę. Ludzie rozchodzili się, niemi, stąpając bezgłośnie na miękkich podszwach, znikali w bocznych ulicach jak zjawy. Ruszyłem w stronę, z której przyszedłem. W pewnym momencie zatrzymałem się, jakby tknięty jakąś myślą.

– Śmierć poza czasem – bąknąłem półgłosem. – Bzdura.

Poszedłem dalej. Wokół mnie zrobiło się znowu pusto. Ni stąd ni zowąd zabrzmiały mi w uszach słowa Danego: „chodzi o czas”...

Uśmiechnąłem się. Śmierć – powiedziałem na głos. – Śmierć...

Zreflektowałem się. Ładna historia.

– W porządku, Luta – mruknąłem, głośniejsz niż należało. – Pochodzę jeszcze pół godziny. Ale nie licz, że to coś da.

Przeszedłem jeszcze kilka metrów, po czym wypatrzywszy w załomie ściany rodzaj podmurówki, usiadłem na niej, wydobyłem spod zwisającej ze mnie tkaniny kawał koncentratu i odgryzłem spory kęs. Żując, z wypchanymi policzkami, mruknąłem jeszcze:

– Naprowadź celowniki na jeden z tych minaretów. A najlepiej na dwa. Potem odpocznij. Ale za pół godziny zbudź się i już nie zasypiaj. Będę cię potrzebował.



Po kliknięciu nastąpi przeskoczenie do nagłówka
, ABOVE, RIGHT, FGColor, '#00006C', BgColor, '#00FFFF', TextColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();" >
Po kliknięciu nastąpi przejście do części 7

', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#6C3800', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();" >

Po kliknięciu nastąpi przejście do części **9**

', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#004800', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();" >

Chłopczyk mógł mieć ze cztery lata. Krótko podcięte czarne włosy spadały mu na czoło, tworząc potarganą w tej chwili grzywkę. Miał na sobie taką samą pelerynę jak dorośli, ozdobioną na ramieniu stylizowanym kwiatem, jakby wyciętym z kartonu. Wyłonił się zza węgła jak duch i spostrzegłszy mnie przystanął, niezdecydowany. Stał chwilę, po czym postąpił krok bliżej. Zmarszczył brwi. Na jego szerokiej twarzy odmalowało się skupienie. Założył ręce na plecy i prostując się zabawnie, wyszeptał:

– Przepraszam...

Zdaje się, że znali tylko to jedno słowo.

– Przepraszam... – zaszemrało ponownie. W głosie malca zadźwięczała jakby nutka zdziwienia.

Zachciało mi się nagle śmiać! Przeleciałem te głupie dwa parseki, pochowałem dwóch moich poprzedników na łądzie, który otoczył sobą ich groby ze wszystkich stron, przybyłem tutaj, wkradłem się do miasta dzięki cudacznej bluzie zabranej jednemu z jego mieszkańców, wszystko po to, aby jedynym, kto obdarzył mnie zainteresowaniem okazał się czteroletni chłopczyk. To już nie tylko absurd. Także najczystsza farsa.

– Co tutaj robisz? – spytałem mimo woli zniżając głos. – Już późno...

Nie inaczej – przemknęło mi przez myśl, zareagowałyby ich strażnik przy bramie.

Chłopczyk nasrożył się. Opuścił ręce i przekrzywił głowę. Ale nic nie powiedział.

Scena przeciągała się. Licho wie co robi taki malec, kiedy nie spełnię jego oczekiwań. Mogłem tu przybyć jako wróg. Ale nie porywacz dzieci. Idiotyczne.

Nagle zaświtała mi pewna myśl. Tak, to jest sposób. Kto wie, czy nie najprostszy ze wszystkich możliwych.

Podniosłem się, podszedłem do chłopca i przykląknę na jedno kolano. Nie dotknąłem go. Co to, to nie.

– Odprowadzą cię do domu – zaproponowałem. Gdzie mieszkasz? To mu się nie spodobało. Cofnął się pół kroku i spochmurniał.

– Pójdę z tobą – powtórzyłem, wstając. – No, prowadź...

Dziecko ani drgnęło.

Rozejrzałem się bezradnie. Wziąć go za rękę i pociągnąć za sobą? Dokąd mianowicie? Głupia historia.

– I co z tobą zrobić?... – powiedziałem bardziej pod własnym adresem niż do niego.

Chłopczyk drgnął.

– Dziwnie mówisz... wyszeptał tonem wyrzutu. Rzeczywiście dziwnie. Zapomniałem o samogłoskach.

– Uważasz, że dziwnie?... – zaśpiewałem. Rozchmurzył się. Jego ręce ponownie powędrowały za plecy.

– Kup mi soola... – zażądał.

Mogłem się tego spodziewać. Tego i jeszcze wielu innych rzeczy.

– Chodź – skinąłem na niego. – Zaprowadź mnie tam, gdzie są soole...

– Nie wiesz? – zdziwił się. – Daj Kile to sam pójdę. Aha. Oczywiście, nie. Cóż prostszego. Ciekawe, gdzie je noszą. Strój, jaki miałem na sobie, był pozbawiony jakiegokolwiek fałdu, nie mówiąc już o kieszeniach.

– Pójdziemy razem – powiedziałem. – No, prowadź – powtórzyłem z nadzieją w głosie.

Tym razem nie zwlekał. Odwrócił się na pięcie i zniknął za tym samym załomem muru, zza którego wyszedł. Ruszyłem za nim.

Nie uszliśmy daleko. Zaraz przed drugim, czy trzecim domem, wzdłuż oświetlonych wystaw widniał szereg pękatek, okrągławych skrzyń, które nie mogły być niczym innym jak tylko automatami. Chłopczyk zatrzymał się i spojrzał na mnie zachęcająco.

– No – powiedział różnym głosem. – Daj liile...

Podszedłem i stanąłem obok niego. Na wysokości ludzkiej twarzy, w beczce widniała owalna szybka. Za nią ciemniały jakieś niewielkie kształty. Powyżej umieszczono coś, co prawdopodobnie było mikrofonem. Pod okienkiem sterczał rząd klawiszy.

– Wiesz – powiedziałem nie patrząc mu w oczy – zdaje się, że nie mam liili...

Oczekiwałem protestu. Niechby głośnego. Ale na buzi chłopca odmalowało się tylko najczystsze osłupienie.

– Jak to nie masz... – wyjąkał. – Wystarczy powiedzieć...

Zdecydowałem się.

– Ja nie jestem stąd – rzuciłem twardo. Zreflektowałem się i dodałem łagodniejszym tonem:

– To skomplikowana sprawa. Przepraszam za soole. Dostaniesz je innym razem. A teraz zaprowadź mnie do twojego domu. Za późno już, żebyś sam chodził po mieście – dodałem podstępnie.

Był zbyt zaskoczony, żeby zaprotestować. Stał chwilę, jakby musiał głęboko rozważyć zaistniałą sytuację, po czym odwrócił się bez słowa i ruszył w górę ulicy. Dogoniłem go i powiedziałem:

– Popatrz, wszyscy już śpią. Na ulicach pusto; Może byłeś z rodzicami i zgubiłeś się? Jesteś pewny, że trafisz do domu?

Odczekał chwilę, po czym mruknął obrażonym tonem:

– Nikt nie śpi...

Postanowiłem już o nic nie pytać. Zapragnąłem tylko, aby to, co musi się stać, stało się jak najprędzej.

I nie czekałem długo. Zaraz za drugim rogiem chłopiec skręcił w prawo i wszedł na toczący się tam chodnik, który wkrótce wyniósł nas spomiędzy murów na zbocze jednego z najbliższych wzgórz. Nie upłynęły trzy minuty, a z lewej i prawej strony ukazały się trawiaste żywopłoty, za którymi czaiły się przykryte grzybiastymi dachami domki. Chodnik wznosił się nadal. W oddali załśniła tafla wody. Tak, na tym obszarze można było zbudować miasto z prawdziwego zdarzenia. Miasto, w którym chciałoby się wieczorem wyjść z domu, wpaść do przyjaciół, popatrzeć na niebo i przespacerować do przystani. Lub po prostu pójść popatrzeć na rzekę. A jest przecież jeszcze owo morze czy jezioro, na które nie dane mi było nawet spojrzeć.

Przed jednym z domów, tuż pod szczytem wzniesienia, chłopiec zeskoczył zgrabnie z chodnika i nie odwracając się podszedł do niskiej furtki, sporządzonej z jakiegoś półprzezroczystego tworzywa. Jej górna listwa ozdobiona była niewielkimi kulami, mieniącymi się wszystkimi barwami tęczy. Dotknął jednej z nich, przynajmniej tak mi się zdawało, i wszedł na ścieżkę wyłożoną jakby grubą warstwą pluszu czy aksamitu. W tym samym momencie frontowa, półokrągła ściana domu rozsuneła się i na tle padającego z wnętrza światła wyrosła ciemna sylwetka kobiety. Chłopczyk znieruchomiał, ale tylko na chwilę. Zdażyłem posunąć się w stronę domu jakieś dwa, trzy metry, kiedy odwracając się i celując we mnie palcem zawołał oskarżycielskim tonem: – On nie ma swojej liile! I nie jest stąd! Chciałem soole!

Postać w otwartej ścianie zafalowała. Postąpiłem jeszcze krok i stanąłem. Dobiegł mnie dyskretny brzęk, jak – by telefonu, po czym od drzwi wionęło ciche „przepraszam...”

– Powiedział, że nie ma liile! – powtórzył swoje chłopiec.

Prawda, że to była jego zemsta, za soole, których nie dostał. Prawda, że dążyłem do stworzenia takiej właśnie sytuacji. Ale w zachowaniu malca było coś więcej niż zwykły dziecinny odruch, spowodowany doznany zawodem. Nie próbowałem tego bliżej określić. Niemniej dobrze, że nasze dzieci są inne.

Wyprostowałem się. Koniec spacerków. Czas pożegnać to miasto i tych ludzi. Pożegnać albo... – Przybywam z Ziemi – rzuciłem, patrząc prosto w stronę postaci, której twarz w dalszym ciągu pozostawała niewidoczna. – Dlatego nie mam tego jakiegoś liile – wyjaśniłem. – Chcę się skontaktować z władzami miasta. Uważaj, Luta – ciągnąłem nie zmienionym tonem. – Odprowadziłem do domu spotkane na ulicy dziecko. Rozmawiam z jego matką... jeśli to można nazwać rozmową. Będą się starał mówić. Gdybym milczał dłużej niż trzy minuty, wiesz, co robić. Nie mam najmniejszego zamiaru tu zostać. Nikomu tego nie życzę – mój głos przeszedł w zjadliwy syk.

Cisza. Kobieta, przed nią dziecko, trzy metry dalej ja. Za moimi plecami otwarta furtka. Nie dalej niż o pięć kroków. Po raz pierwszy od zachodu słońca poczułem chłód.

Z ulicy dobiegł jakiś szelest. Nic więcej. Żadnego sygnału, szumu silnika, kroków. Obejrzałem się i ujrzałem dwie głowy tkwiące w walcowatych kaskach, odsłaniających zaledwie środek twarzy. Dalej, przed furtką widniał jakiś pojazd przypominający na pierwszy rzut oka karuzelę. Niezbyt wielką. W fotelach, umocowanych na płaskiej tarczy wzdłuż jej obrzeża, tkwili ludzie. Przed każdym z nich na prostokątnym stojaku zamocowano jakąś podłużną konstrukcję. Wszystkie celowały teraz w moją stronę.

Postąpiłem krok ku milczącym postaciom w kaskach. – Jestem z Ziemi – powtórzyłem. – Mam do pogadania z waszymi władzami. Zaraz potem odleczę. Nie mamy zamiaru wtrącać się w wasze sprawy. Musiałem jednak przedsięwziąć pewne środki. Miasto jest otoczone. Jeśli dojdziemy do porozumienia, nic wam nie grozi. Tylko nie próbujcie mnie przechytrzyć. Mam łączność z naszymi oddziałami. W razie czego w tysięcznej części sekundy przestaniecie istnieć, razem ze wszystkim, co tu zbudowaliście. Nie poruszyli się. Jakby nie obchodziło ich, co powiedziałem. I że w ogóle coś mówiłem. Zerknąłem w stronę domu. Sylwetka kobiety dalej wypełniała sobą prostokąt powstały w wyniku rozstąpienia się ściany, ale chłopca już nie było. Nie słyszałem jak odchodził.

Zwróciłem się ponownie do przybyłych. Nic się nie zmieniło. Okrągły pojazd naszpikowany lufami, ludzie siedzący bez ruchu, jakby czekający, aż zabrzmi katarynka i krąg ruszy, porywając ich w świat złudzeń. Tych dwóch przede mną, sprawiających wrażenie, że nie bardzo wiedzą co dalej. Miałem tego dość.

Postąpiłem do przodu. Cofnęli się, ale nie zeszli mi z drogi. Musiałem stanąć. – Uważaj Luta – powiedziałem. – Już są. Jakiś płaski talerz z kompanią policjantów. Stoją i czekają, co zrobię. Nie mam broni – zmieniłem ton, podnosząc ręce, żeby mogli mnie dobrze obejrzeć. W padającym z domu świetle zamigotała łuska bluzy. Unieśli głowy. Oczy im się rozszerzyły. Opuściłem ręce i uśmiechnąłem się.

– Zabrałem to jednemu z waszych – powiedziałem. – Jest w bezpiecznym miejscu i prosi, żebyście byli grzeczni. Inaczej nigdy już nie zobaczy swojego miasta.

Nie zdążyłem dokończyć, kiedy jeden z nich pochylił się, ujął moją bluzę w obie dłonie i delikatnym ruchem przyciągnął ku sobie. Oddałem mu ją bez oporu. Następnie cofnął się robiąc przejście.

Zaczerpnąłem głęboko powietrza i ruszyłem. Przekraczając otwartą furtkę, pochwyciłem jakiś cichy głos, dobiegający od strony domu. Brzmiało to jak wyszeptane przez kogoś, kto za chwilę

musi umrzeć, „przepraszam”... Jeden z ludzi siedzących na platformie wstał. Podeszedłem i nie pytając o nic zająłem jego miejsce. Nikt nie zaprotestował. Tylko osobnik w fotelu przede mną odwrócił się i skierował w moją pierś wylot broni zainstalowanej przed tym, który ustąpił mi miejsca. Wzruszyłem ramionami. Zaraz potem pojazd ruszył. Ściśle mówiąc, wzleciał. Był czymś w rodzaju poduszkowca z doskonale wyciszonymi silnikami. Sunął nisko nad powierzchnią gruntu i musiał trzymać się środka wolnej przestrzeni pomiędzy taśmami chodników.

Przez całą drogę żaden z załogi tej latającej tarczy nie odezwał się słowem. Człowiek siedzący na wprost mnie utkwiał wzrok w podstawie swojej broni. Podobnie jak pozostali sprawiał wrażenie manekina. Zresztą cały ten pojazd obsadzony nieruchomymi ludźmi, płynący bezszelestnie nad ulicami wymarłego miasta, pośród plecionych żywopłotów, strusiovatych drzew, pod bezksiężycowym niebem, jasnym niezmiennie jak przed świtem, wydawał się nie bardziej realny niż owa nieskończona, kwiecista łąka z fantomatycznego spektaklu.

Od dłuższej chwili jechaliśmy prostą, wąską ulicą przecinającą park. Jeśli to nie była droga, którą szedłem po przekroczeniu bramy, to w każdym razie mogła nią być. Te same wąskie tasiemki chodników obramowane białymi listwami. Z rzadka przeświecające przez drzewa latarnie. I ta sama kiszkowata budowla zamykająca obręb miasta. Ujrzałem ją na kilka sekund, zanim pojazd wpłynął do wnętrza oświetlonego żółtymi reflektorami tunelu. Był długi. A więc trafiłem jednak w inne miejsce. Jechaliśmy cały czas prosto i gdyby zabudowania, które nas otaczały sąsiadowały ze znaną mi bramą, dawno znaleźlibyśmy się już na przystani. A nawet nad wodą.

Wszystko jedno. Ta część miasta czy inna, to nie ma znaczenia. Wylot strumienia z miejscem postoju transera odnajdę z zawiązanymi oczami. W ostateczności wystarczy jedno moje słowo, a drogę wskaże mi flara.

Tunel rozjaśnił się nagle. Wjechaliśmy do okrągłej hali z płaskim dachem. Był to ucziwy, betonowy dach. Żadne szkło czy coś w tym rodzaju. Ściany zdobiły wąskie otwory przywodzące na myśl strzelnice w starożytnych zamkach. Poza nimi na wprost ujścia tunelu znajdowały się tylko szerokie, półkoliste drzwi, wykonane z pancерnej blachy. Jakbym nagle, ni stąd ni zowąd zmienił bajkę, w której występowałem. Z cudacznej, pełnej nieokreślonej grozy, ale smętnej i zamyślanej, na ponurą, lecz osadzoną twardo w rzeczywistości. Tyle że zamierzchłych epok.

Pojazd zatoczył łuk przemykając pod ścianą, po czym zwolnił i wyjechał na środek kręgu, gdzie zastopował. Tarcza z przytwierdzonymi do niej fotelami osiadła na betonowym podłożu.

Rozległ się jeden urwany dźwięk, jakby pękniętego dzwonu i figurki zbrojnych wyprostowały się. Wstali. Nie zauważyłem, żeby którykolwiek z nich spóźnił się choć o ułamek sekundy. W niezmienionej pozycji pozostał tylko osobnik siedzący na wprost mnie. Było aż nadto widoczne, że nas dwóch nie dotyczy ruch, który wszczął się wewnątrz bunkra.

Załoga opuściła pojazd i zgromadziła się pod pancerną bramą. Ponownie zabrzmiał krótki, metaliczny dźwięk i stalowa płyta zniknęła jak zdmuchnięta, odsłaniając słabo oświetloną niszę. Bez pośpiechu ludzie opuszczali okrągłą salę. Pierwszy szedł ten, który wziął ode mnie bluzę. Nie zauważyłem jednak, żeby ktokolwiek wydawał jakieś rozkazy.

Na tę chwilę czekał mój opiekun. Wstał i nie troszcząc się o broń, nie zmieniając nawet położenia lufy, podążył za pozostałymi. Ruszyłem za nim. Nie uszedłem jednak daleko. Metr przed bramą zatrzymał się, odwrócił i podsunął mi przed oczy płasko wyprostowaną dłoń. Stałem. Czekałem, kiedy usłyszę szept „przepraszam”, ale nic nie powiedział. Mogłem za to

spojrzeć mu w oczy. Były nijakie. Nie wyrażały nic. Niezbyt duże, ciemne źrenice tkwiły nieruchomo, mierząc w czubek mojej głowy. Nie sędzę, aby cokolwiek z tego, co widział, docierało do jego świadomości. I tak najwidoczniej miało być. Robił swoje, jak dobrze zaprogramowany automat.

Postał tak jeszcze kilka sekund, po czym bez jednego gestu w moją stronę opuścił dłoń, odwrócił się i wszedł do niszy, gdzie znajdowali się już wszyscy jego towarzysze. Zaledwie przekroczył próg, stalowa płyta bramy wróciła na swoje miejsce. Zostałem sam.

Nie potrafię powiedzieć, jak długo tkwiłem bez ruchu, wpatrując się bezmyślnie w gładką, połyskującą blachą i nasłuchując, jakbym naprawdę spodziewał się coś usłyszeć. Wreszcie oprzytomniałem. Odruchowo przetarłem palcami oczy i rozejrzałem się wokół siebie.

Blask przeszywający wnętrze hali zdawał się brać źródło z samego tworzywa, z jakiego wykonano ściany. Dokądkolwiek zwróciłem wzrok, musiałem mrużyć oczy, jakbym właśnie w tym momencie patrzył w tarczę wycelowanego we mnie reflektora. Ale nie było tu żadnych reflektorów. Nie było nic. Gołe ściany z kilkunastoma jednakowego kształtu otworami, przez które od biedy zdołałby się przecisnąć wychudzony szczur. Zajrzałem do najbliższego. Z oświetleniem wnętrza w każdym razie nie miały nic wspólnego. Wąska szpara, prowadząca do nikąd. Zasklepią głucho, jakby zamurowana.

Pośrodku opuszczony pojazd. Okrągły, jak wszystko tutaj. Płaska tarcza, z niewielkim wybrzuszeniem w centralnej części, unosząca na obwodzie rząd obitych czarnym tworzywem foteli. Porzucona broń, jakby nie do użycia pod nieobecność obsługi. Za pojazdem wylot tunelu. Nadal otwarty, kuszący perspektywą wytyczoną łagodnym, żółtawym światłem. Ale nie po to pozwoliłem się tu przywieźć, żeby wracać tą samą drogą, nie osiągnąwszy niczego.

Próbowałem odtworzyć w pamięci położenie wlotu tunelu i jego długość. Na próżno. Zabrakło punktów odniesienia. Ziemskie kryteria były tu równie przydatne, jak powiedzmy, kompas.

Po raz któryś omiotłem spojrzeniem ścianę i nagle uderzyła mnie myśl, od której przez plecy przemaszerowały mi lodowate mrówki. Ta twierdza czy strażnica, w której się znalazłem, nie była zbudowana ot tak sobie. Zatrzaszczyli się, żeby wiele wytrzymała. Niech będzie, że w warunkach wojny sprzed tysiąca lat. Ale pod jednym względem mogła okazać się aż nazbyt współczesna. I dostatecznie dobra, żebym nigdy już nie ujrzał potoku, gdzie czekał Luta.

Ekran. Jeśli do budowy użyli dostatecznej ilości metalu...

Stałem chwilę jak porażony. Cisza stała się niemal dotykalna, ulegałem wrażeniu, że halę wypełnia powoli ale nieubłaganie jakaś kleista ciecz. Zachowanie ludzi, martwota miasta, bezruch, wszystko to działało paraliżująco, nawet jeśli się wiedziało, że odejście stąd jest tylko kwestią czasu. Ten czas mógł się teraz odrobinę przeciągnąć. Jak ta płaszczyzna podczas „koncertu”. O jedną nieskończoność.

Odchrząknąłem i nienaturalnie niedbałym tonem powiedziałem:

– Uważaj, Luta. Przywieźli mnie do podziemnej sali w jakimś bunkrze. To jedna z budowli na obrzeżu miasta, wchodząca w system obronny. Przyjechałem tu na takiej tacy z fotelami. Zsiedli z nich i poszli sobie. Jestem sam. Czekam. Ale gdybyś się spytał, nie mam ochoty czekać zbyt długo. Może ktoś w końcu raczy się mną zainteresować. Jeśli nie, niech baterie na prawym skrzydle rozwalą kilka wieżyczek, tych z okrągłymi dachami. Albo spalcie im łodzie na przystani. Mam nadzieję, że potrafią to sobie skojarzyć z moją wizytą...

Skończyłem. Chwilę wsłuchiwałem się w wyolbrzymione echo mojego głosu, które zatrzepotało między ścianami i uciekło w głąb tunelu.

Cisza. Luta nie mógł odpowiedzieć. Nawet, jeśli dotarło do niego, co powiedziałem. Jeśli nie,

i tak nie ma się nad czym zastanawiać. A ci tutaj najwidoczniej potrzebują bardziej przekonujących argumentów.

Cisza. Nie powinienem się denerwować. To zmniejsza szansę. Jestem w lepszej sytuacji niż ludzie, którzy tkwią za tymi murami. Oni mają mnie. I tylko mnie. Powiedzmy, Yiandena, jeśli to prawda. Ja stanowię zagrożenie dla miasta. Dla nich wszystkich. Muszę być cierpliwy. To ja ich przetrzymam, nie oni mnie.

Tak. Pod jednym warunkiem. Jeśli Luta odbiera mój głos. Jeśli te ściany nie są za dobre dla naszych nadajników.

Odetchnąłem głęboko i przesadnie powolnym krokiem poszedłem do płaskiego pojazdu. Ulokowałem się w pierwszym z brzegu fotelu i przymknąłem powieki. Przed oczami pojawił mi się natychmiast obraz miasta, które tylko co opuściłem. Nie chciałem o nim myśleć. Nic mnie nie obchodzi jak żyją i umierają. Wartościowanie ich pojęć i ambicji nie należy do mnie. W każdym razie nic mnie do niego nie zmusza. Ale w końcu, nie trzeba wiele myśleć, żeby dojść, o co tu chodzi. O nic. Taka jest prawda. Im nie chodzi o nic.

No dobrze. Jeśli tak, nie powinni przywiązywać wagi do mojej obecności. Pod warunkiem, że uznają ją za epizod nie zagrażający na dłuższą metę ich umiłowaniu spokoju. O tym mógłbym ich przekonać. Gdyby, oczywiście, nadarzyła się po temu okazja.

Otworzyłem szeroko oczy. Jeszcze chwila, a byłbym zasnął. Spojrzałem na zegarek. Za dwie i pół godziny zacznie się dzień. Dwie i pół godziny to nic takiego. Można przesiedzieć je nad książką, nawet o tym nie wiedząc. Przegadać w klubie. Powłóczyć się z psem po parku.

Cisza. Rażący blask nieistniejących reflektorów, czarne szczeliny w ścianie opasującej rotundę pancerną obręczą, żółtawe ujście tunelu i ten idiotyczny krąg z twardymi fotelami o niskich oparciach. Przez moment przyjrzałem się sterczącej na wyciągnięcie ręki lufie ich broni, ale nie chciało mi się ruszyć, by spróbować odgadnąć jak to działa. Odcięli się od Ziemi, proszę. Prawda natomiast jest taka, że oni i wszystko, co ich dotyczy, nie obchodzi mnie nic. Tak nic, jak tylko to jest możliwe. A nawet bardziej. Czego się bali, nie pozwalając ziemskiej załodze opuścić statku? To przynajmniej jest teraz jasne. Wystarczy przejść ulicami ich miasta o dziewiątej wieczorem. Nie trzeba nawet spotkać przelęknionego strażnika ani chłopczyka domagającego się „soole”. Można obojętnie minąć wabiący barwnymi, ruchomymi plamami afisz zapraszający na fantomatyczny koncert. I w tym równocześnie tkwi przyczyna, dla której z coraz większą niechęcią odnoszą się do mieszkańców drugiego miasta. Dla której czas, zamiast łagodzić spory, rozdzielał i rozdziela ich coraz bardziej. Jakie to proste. Im nie chodzi o nic. Tylko tyle. Jeśli chwilę pomyśleć, można z tego zrobić nawet ideologię. Można uogólnić emocje, czy ich brak właśnie, a potem obudować to uogólnienie normami zwyczajowymi, doświadczeniem, organizacją codziennego życia, ba, nawet odpowiednio okrojonymi badaniami socjologicznymi, kulturą, sztuką... To umieranie pod postacią nieskończonej płaszczyzny osuwającej się na ukwieconą łąkę było w swoim rodzaju piękne. Koncert... tak, i muzyka. Nie był to spektakl dla ubogich. Co to, to nie. Tym gorzej.

Dość tego. Gorzej, lepiej... cóż to ma za znaczenie. Niech się bawią, jak chcą. Beze mnie. Bez nas. Właśnie o to chodzi. To miasto ma o jednego mieszkańca za dużo. W tej chwili o dwóch.

Wstałem. Ogarnęło mnie rozdrażnienie. Trzy kwadranse tkwią już w tej betonowej studni. Łatwo powiedzieć, trzy kwadranse.

– Posłuchajcie – huknąłem. – Przybywam z Ziemi. Macie tutaj członka załogi naszej stacji na Drugiej. Niech do mnie przyjdzie. Potem razem opuścimy miasto i nie wrócimy, chyba że nas do tego zmusicie. Za rzeką stoją nasze baterie. Słyszeliście coś o antymaterii? Wybierajcie. Albo

oddacie Yiandena, albo pokażę wam, jak się umiera naprawdę. I nie myślę dłużej czekać. Macie minutę na odpowiedź. Liczę do dziesięciu. Potem dam sygnał otwarcia ognia. Raz!...

Cisza. Przemknęło mi przez myśl, że nie tylko Luta, ale nikt w ogóle nie słyszał, co powiedziałem. Że tych w najmniejszej mierze nie obchodzi co zrobię. Że sprawę ze mną uznali za załatwioną.

– Dwa...

– Trzy...

– Cztery...

Zza bramy dobiegł jakiś dźwięk. Wstrzymałem oddech. Nic. Oślepiające światło. Białe beton.

Cisza.

– Pięć...

– Sześć...

Omam nie krzyknąłem. Półkolista brama drgnęła i bezgłośnie powędrowała do góry. Pomiędzy jej dolną krawędzią a podłogą powstał niewielki prześwit. Dość, żeby ujrzeć nogi stojącego w niszy mężczyzny. Czy miałem to uznać za odpowiedź?

– Siedem...

– Osiem... Uwaga, Luta – podniosłem głos.

– Dziewięć...

Stopy w jakichś dziwnych, szczelnie przylegających butach poruszyły się. Ale w dalszym ciągu za bramą panowało milczenie. Czekali. Nie mogę sprawić im zawodu. Chyba, że będę musiał. Zaraz się okaże.

– Dziesięć!

Nic. Sekunda, dwie, trzy...

Stopy człowieka za bramą zaszurały gwałtownie, po czym ukazały mi pięty. Skądś, jakby z góry dobiegł słaby dźwięk, którego nie potrafiłem sobie z niczym skojarzyć. Chwilę nie działało się nic. Stopy wróciły do poprzedniej pozycji i znieruchomiały.

Odczekałem jeszcze kilka, może kilkanaście sekund. Jeśli w najbliższej minucie sytuacja nie ulegnie zmianie, pozostanie mi tylko tunel. Niewielka szansa, ale jedyna.

Za sobą usłyszałem kroki. Ciężkie, mocne stąpanie, żadne ślizganie się czy, skradanie na palcach. Powoli odwróciłem głowę. W tunelu zamajaczyła postać mężczyzny w jasnym kombinezonie. Zbliżała się. Jeszcze pięć kroków. Wszedł w przestrzeń zalaną światłem i zatrzymał się. Był z gołą głową. Mrużył oczy, porażone blaskiem. Jego wychudła twarz miała rysy surowe, obce. Nie dlatego, że nie spotkałem jej nigdy przedtem. Pomyłka była wykluczona. Przede mną stał prawdziwy człowiek. Z Ziemi. Mógł nim być tylko Yianden.

Przyjrzałem mu się. Spod rozchełstanej na piersi bluzy przeświecała treningowa koszulka. Była w strzępach. Rękaw bluzy trzymał się na jednym, cienkim jak nitka paśmie tworzywa. Szeroka wyrwa, zaczynająca się pod pasem ukazywała nagą skórę na biodrze. Ogarnął mnie chłód. Jeśli to... Pochwycił moje spojrzenie. Przez jego twarz przemknął jakby cień uśmiechu.

– Nie... – mruknął zachrypniętym głosem. – To na Drugiej, podczas wybuchu... Dlatego tu jestem.

Trwało chwilę, zanim dotarło do mnie, co powiedział. A więc nareszcie wiem, dlaczego nie zastaliśmy go w bazie. Musiał lecieć z tamtymi. To była jego jedyna szansa. Miał rozdarty skafander. Zapewne podmuch eksplozji rzucił go na szczątki łazika, czy choćby na zaścielające tamten płaskowyż zwirowisko...

Będziemy mieli dość czasu na wyjaśnienia. Całe dziesięć lat. Trzeba tylko wydostać się z tego lochu czy bunkra.

Odwróciłem się na pięcie i postąpiłem kilka kroków w kierunku bramy. Jej dolna krawędź zwisała niezmiennie półtora metra nad podłogą. Stopy w miękkich butach były na miejscu.

– Wyłazić – rzuciłem. – Szybko. Uważaj, Luta – ciągnąłem tym samym tonem. Jest już Yianden. Zaraz stąd pójdziemy. Ale nie sami. Tak jak ustaliliśmy, poproszą, żeby nas odprowadzili. Jeśli nie zechcą, będziesz musiał powtórzyć...

Nie wiedziałem, co mianowicie miałyby powtórzyć, ale nie wątpiłem, że uprzejmość mieszkańców miasta zyskała jakiś bodziec, który mogłem mieć do zawdzięczenia tylko naszym miotaczom.

Brama nie poruszyła się. Usłyszałem jakby westchnienie i tuż nad stopami ukazała się czyjaś głowa. Następnie na betonie spoczęły dwie rozczapierzone dłonie. Pełznąć niezgrabnie, wyłonił się z niszy mężczyzna w srebrzystej, łuskowatej bluzie. Kubek w kubek jak ta, którą zabraliśmy pasażerom owej łódki na kółkach.

– Znasz go? – spytałem, nie oglądając się w stronę, gdzie stał Yianden.

– Uhm... – mruknął. – Zresztą, nieważne... Zapewne. Dość, że ma na sobie mundur, który otwiera bramy.

– Zawołaj jeszcze kilku takich jak ty – rzuciłem, cofając się o krok. – Powiedzmy, dwóch. Słyszysz? Dwóch w takich samych bluzach jak twoja. I żeby byli nie mniej Ważni...

Pomyślał chwilę. Ale nie dłużej niż kilka sekund. Odwrócił się, klęknął i wetknął głowę do niszy. Powiedział coś, czego nie dosłyszałem. Czekał chwilę, następnie wycofał się tyłem spod bramy i wyprostował. Nie upłynęło pół minuty, a w prześwicie nad progiem ukazały się następne głowy. Wyglądało, że w niszy przyległej do hali zgromadził się cały sztab miasta.

Mieliśmy teraz czterech. Jednego wzrostu i w jednakowych bluzach. Wszyscy mieli ciemne włosy i pociągłe, lekko śniade twarze. Ich oczy nadal były nieruchome.

– Siadajcie – rzuciłem, wskazując tarczowaty pojazd. – Pojedziecie z nami. Przyjrzyście się, jak odlatujemy. Możecie nam pomachać. Ale to nie jest konieczne. Czy muszę mówić, co zrobimy, gdybyście próbowali być dowcipni? Nie? To dobrze.

Poczekaliśmy, aż zajmą miejsca w fotelach i skinąłem na Yiandena. Ten zawahał się.

– Jeszcze ci dwaj... – bąknął. Wpatrzył się we mnie, jakby chciał zgadnąć, o czym myślę. Na jego twarzy odbiło się napięcie.

W porządku. Skoro on tak uważa. To mogę dla niego zrobić.

– Słyszeliście? – zwróciłem się do tego, który pierwszy przełaził pod bramą. – Macie tu jeszcze dwóch. Kiedy się rozstaniemy, będzie nam smutno. Weźmiemy przynajmniej tamtych. Zostanie wam na pociechę ich, statek. Możecie go przerobić na altankę. Nie będziemy czekać zbyt długo – zakończyłem tonem groźby, ponieważ żaden z ludzi siedzących sztywno w fotelach nie poruszył się.

Milczenie. Tym razem dłużej niż wtedy, kiedy zażądałem zwrotu Yiandena. Pomyślałem, że nie powinniśmy przeciągać struny. Jeśli teraz odejdziemy, cel lotu i tak zostanie osiągnięty. Ale... w końcu, gdyby nie załoga tamtego stateczku, Yianden leżałby teraz pod taką samą pryzmą gruzu jak Mykin i Teller. Rozumiałem go.

– Luta – powiedziałem dobitnie – oni zdaje się mają zamiar powiedzieć: „nie”. Będziesz im to musiał wyperswadować... dam znać kiedy.

Cisza. Postanowiłem, że poczekam minutę i zaczną liczyć. Już raz przekonali się, do czego to prowadzi...

Jeden z czwórki wstał. Wreszcie dostrzegłem w jego oczach przejaw życia. Był to pierwszy moment, od kiedy wsiadłem do łodzi, w którym twarz mieszkańca miasta przemówiła. Oczy

załśniły mu jak szkło. Zaciął wargi. To nieprawda, że obce im są wszystkie bez wyjątku ludzkie uczucia...

Nie schodząc z pojazdu wyrzucił z siebie jakiś nieartykułowany dźwięk. Odpowiedziało echo. Stał chwilę wyprostowany, z oczami utkwionymi w wylot tunelu. Nagle odwrócił głowę i usiadł.

Ich kroki były bezgłośnie. Pod niektórymi względami wszyscy mieszkańcy Trzeciej byli do siebie podobni. Ale tylko pod niektórymi.

Ci dwaj mieli na sobie workowate kombinezony, w oplakany stan. Na twarzy jednego z nich widniał sporych rozmiarów opatrunek, a raczej kawał brudnej tkaniny. Wyglądali tak, jakby przez te cztery lata nie widzieli kawałka koncentratu. Żyli jednak. Z pewnego punktu widzenia to więcej, niż mogli oczekiwać. Ale oni nie byli z tych, którzy lubią umierać. Nawet przy muzyce.

Weszli w krąg światła i utkwili wzrok w Yiandenie. Ten postąpił kilka kroków w ich stronę i wskazując mnie ruchem ręki powiedział:

– To jest Mur. Zabieramy was stąd.

Przyjrzeni mi się. Żaden z nich nie uważał, że powinien się uśmiechnąć. Nie reagowali jak dzieci. Ale myśleli dostatecznie szybko, żeby ogarnąć sytuację i nie pozwolić nam czekać. Kiedy podchodzili do pojazdu, na jego płycie powstało poruszenie. Ludzie w rybich bluzach przenosili się pośpiesznie na fotele położone możliwie najdalej od tych, które wskazałem świeżo przybyłym. Udałem, że tego nie widzę. Przez twarz Yiandena przemknął ostry grymas, ni to gniewu, ni rozbawienia. Ale nie było mu do śmiechu.

– Do przystani – rzuciłem, lokując się jako ostatni. Wybrałem ten sam fotel, na którym przybyłem do tej podziemnej pułapki. Lufa broni zamocowanej przed nim wciąż mierzyła w moją pierś. Nie ulegało jednak wątpliwości, że broń nie będzie im już potrzebna. Pozbędą się nas chętnie i z uczuciem ulgi.

Zresztą, trudno się dziwić. Kiedy tylko opuściliśmy gardziel tunelu, ujrzeliśmy stojące nad miastem dwa słupy czarnego dymu. Spomiędzy drzew i zabudowań pełgały języki ognia. Bunkier okazał się marnym ekranem. Luta nie zasnął. Może słuchał mnie nawet odrobinę zbyt pilnie. Byłem jednak ostatnim, kto mógł wziąć mu to za złe.

Brama stała otworem. Nie ta, którą pokornie wpuszczono mnie w obręb zabudowań. Ale to nie miało znaczenia.

– Teraz postarajcie się o łódź – powiedziałem, kiedy na wprost nas, w odległości stu metrów załśniła tafla rzeki. – Porządną łódź – dodałem z naciskiem. – Nie „słonecznik” czy jakiś inny kwiatek. Taką, żebyśmy się wygodnie zmieścili. Wszyscy...

Zatrzymali pojazd i zeszli na nabrzeże. Niemal natychmiast od strony ujścia ukazała się obszerna krypa, płaska i ciężko leżąca na wodzie, jakby wyładowana piaskiem. Do jej burt przymocowano kilkanaście takich samych patykowatych konstrukcji jak te, które sterczały przed fotelami okrągłego poduszkiowca.

Dno łodzi okazało się nieoczekiwanie głębokie. Miejsce foteli zajęła tu gruba, gąbczasta mata. Do towarzyszącej nam czwórki dołączył człowiek w walcowatym kasku i krótkiej, zielonkawej pelerynie, który przyprowadził to pudło. Trudno pojąć, do czego mogło im ono służyć. Jego szybkość nie przekraczała pięciu węzłów. Płynęliśmy wprawdzie pod prąd, ale ten był tu słaby.

Kiedy dno łodzi zazgrzytało o kamienie przy ujściu potoku, kazałem im wyskoczyć do wody. Posłuchali bez wahania. Yianden od razu ruszył w stronę Luty, który obserwował nasze lądowanie z wieżyczki transera. Wszedł na pancierz i coś mówił. Zauważyłem, że Luta kiwa głową, jakby się na coś zgadzał.

Wyskoczyłem za nimi i znalazłem się po pas w wodzie. Odepchnąłem burtę łodzi, która

niechętnie włączyła się w nurt rzeki. Następnie zrzuciłem z siebie ozdobioną kwiatówkami koszulę i spryskałem się wodą. Była ciepła.

Mieszkańcy cichego miasta stali słoczeni w ciasną grupkę pod zadrzewionym zboczeni, naprzeciw naszych dwóch pojazdów. Nieco bliżej, mniej więcej pośrodku koryta zatrzymali się dwaj kosmonauci, którzy zabrali z Drugiej Yiandena, zostawiwszy tam jeden ze swoich dwóch statków, rozniesiony na strzępy i jego załogę. Na prawo masywna bryła transera, a na niej dwie sylwetki. Także ludzie. Ci tam, pod drzewami, ci z zaprogramowanymi przez ich rodziców organami do oddychania dwutlenkiem węgla i ci na ziemskim pojeździe. Okazja do refleksji natury filozoficznej, gdyby ktoś miał ochotę. I czas.

Kłapa komory ładunkowej transera stała otworem. Sterczały z niej trzy głowy pozbawione jakiegokolwiek wyrazu. Żeglarz i ta dwójka, która natknęła się na nas w nocy. – Włazić do środka – rzuciłem w stronę „Nowych”, wskazując ładownię. – Szybko. Im prędzej będziecie to mieć za sobą, tym dla was lepiej.

Rozejrzeli się. Być może szukali owych baterii i oddziałów, które kazałem Lucie trzymać w pogotowiu. Nie wyprowadzałem ich z błędu. Może dzięki temu uda im się ocalić chociaż szczyptę szacunku dla siebie samych?

Przyglądałem im się właśnie z satysfakcją, kiedy za sobą usłyszałem kroki. Do ładowni zbliżali się dwaj protegowani Yiandena. Burknąłem coś i wskazałem im tylne fotele łazika. Kiedy zajmowali miejsca, pochwyciłem ukradkowe spojrzenie Luty. Obserwował mnie z wysokości wieży. Przez jego twarz przemknął uśmiech, po czym szybko odwrócił głowę. Wzruszyłem ramionami. To, że ta dwójka, która wróciła z Drugiej pojedzie z nami, było chyba oczywiste.

Ostrożnie zatrzasnąłem kłapę ładowni, żeby nie spłaszyc komuś głowy, po czym skinąłem na Lutę.

– Jazda! – zawołałem.

Nad horyzontem ukazała się właśnie tarcza słoneczna. Kolejny dzień naszego pobytu na Trzeciej. Ostatni. Przynajmniej w czasie tej ekspedycji.

Droga upływała przyjemnie. Temperatura powietrza spadła o dwa, trzy stopnie, wiatr poruszał strusie pióra drzew, tylko trawa sterczała nadęta, nieruchoma jak zwykle.

Machinalnie poprawiłem słuchawki i spytałem:

– Słyszałeś mnie cały czas dobrze?

– Uhm – mruknął. – Zwłaszcza, kiedy się żaliłeś, że nie masz liile...

Mimo woli musiałem się uśmiechnąć.

– Co to takiego, Vian? – spytałem. – Jakies pieniądze? Książeczka czekowa?

– Nie mam pojęcia – odburknął. – Nie miałem okazji, żeby za coś płacić...

Uśmiech znikł z mojej twarzy. Znowu poczułem chłód na karku i plecach.

– Ani raz nie byłeś w mieście?

– W mieście! – Vianden zasyczał jak oparzony. – W mieście! – powtórzył. Usłyszałem może dziesięć zdań. Przez cztery lata. Nic, tylko mój własny głos. Szczególnie, kiedy liczyłem te lata... miesiące... godziny. Po to, żeby nie zwariować.

Dłuższą chwilę milczeliśmy. W końcu Luta odchrząknął i spytał:

– Trzymali cię w bunkrze?

– Skąd! – w głosie Yiandena zabrzmiała gorzka ironia. – Miałem do dyspozycji cały dom... Było tam nawet drzewo. Łazienka, okna... i to wszystko. Jednego krzesła. Najmniejszego sprzętu. Nic. Gładkie ściany. Na podłodze pół metra materaca... nie macie pojęcia, co to znaczy nie móc od

czasu do czasu stanąć na czymś twardym. Gdzie spojrzysz, ściana. Uczciwy mur, wysokości pięciu metrów. Zresztą, co tu mówić. Nie mieć przez cztery lata bodaj strzępka czegoś, żeby wyczyścić zęby. Połatać skafander.

Sam nie wiem, jak to się stało, że nie zapomniałem mówić. Chyba dlatego, że gadałem do siebie...

– Nic nie chcieli wiedzieć? – powiedziałem po chwili z niedowierzaniem. – O nic nie pytali?

Przemilczał to. Nie mogłem się spodziewać, że odpowie.

– Byli właściwie uprzejmi – podjął po pewnym czasie. – Na swój sposób... Uważali, żeby mnie nie dotknąć... regularnie dostawałem jedzenie. Przysyłali je takim skośnym szybem, wykutym w ścianie. Schodzili mi z drogi... jeśli któryś znalazł się przypadkiem w pobliżu. Bo przychodzili sprzątać, a jakże. Byli uprzejmi... – powtórzył szczególnym tonem.

– A tamci dwaj? – spytał Luta.

– Nie wiem. Nie widziałem ich ani razu. Sądzę, że powodziło im się nieco gorzej...

– Jak to było – spytałem – kiedy przylecieli na Drugą? A może jesteś zbyt zmęczony, żeby mówić?

– Nie ma wiele do opowiadania – w jego głosie zabrzmiało rozdrażnienie. – Zmęczony? Człowieku, wyspałem się za wszystkie czasy. Cztery lata na materacu... – urwał. Chwilę milczał, po czym podjął normalnym tonem:

– Jak było? Cóż, przeprowadzaliśmy badania geologiczne na płaskowyżu...

– Wszyscy trzej? – przerwał Luta.

– Tak, bo wezwaliśmy Tellera, który został w bazie, żeby przywiózł rezerwowo komplet sond. Nie chciało nam się wracać, a że na całym kontynencie panował idealny spokój...

– Czym on przyjechał? – spytałem. – Tam był przecież jeden łazik...

– Przyleciał motorówką. Została na wodzie... nie wiem, co się z nią stało...

– Ale ja wiem – mruknął Luta. – Od tego czasu przeszło nad płaskowyżem co najmniej pięćdziesiąt burz. Mów dalej...

– Nie zauważyliśmy, jak wylądowali. Myślę o pierwszym statku. Zobaczyliśmy dopiero błysk... niezbyt daleko. Może piętnaście kilometrów. Rzecz jasna, pojechaliśmy tam. Tymczasem to nie był koniec zabawy. Teller i Mykin poszli naprzód... tam byli ludzie. Ktoś klęczał i przyzywał nas, wymachując rękami...

– Żywi? – przerwałem w najwyższym zdumieniu.

– Oczywiście, że żywi. Zostałem żeby ubezpieczać, ale widziałem, że się ruszali. Próbowali wstać. Wtedy wydało mi się to niesamowite. Rozumiecie, mieli odkryte głowy... Teller i Mykin dobiegli do nich i w tej samej chwili spostrzegłem drugi statek. Jeszcze wysoko. Widać było tylko warkocz ognia, strzelającego z dyszy... szli na paliwie chemicznym... ale to wszystko już wicie. Ujrzałem ich i nie zdążyłem nawet nikogo uprzedzić, kiedy nastąpiła druga eksplozja. Widocznie pozostał jakiś zbiornik. No i tyle. Zbudziłem się w kabinie ich statku... oni spadli, wicie? Fala podmuchu była zbyt silna. Stracili stabilność i...

– Tak – mruknąłem. – To ich specjalność.

– Ale udało im się jakimś cudem wystartować. To wiem już z ich opowiadań. Wrócili, tylko nie dokładnie tam, gdzie zamierzali. Spadliśmy do rzeki... i już nas mieli. To wszystko.

– Wszystko... – powtórzył jak echo Luta. Położyłem głowę na oparciu i przyspieszyłem. Jak on to powiedział? Byli grzeczni. Tak. Ci i tamci. Na swój sposób.

Od gór szedł rażący oczy blask, jakby całe ich pasmo okryła świeża powłoka lodu. Słońce stało w zenicie. Stawki świeciły. Mogło się zdawać, że na ich dnie poumieszczano zielonkawe

lampy.

Pancerz „Rubina” stał się niemal biały. Kłapa windy towarowej rzucała wąski, prostokątny cień, który niebawem zniknął. Pojazdy i automaty spoczęły w gradziach ładunkowych.

Platforma osobowa wciąż jeszcze leżała nieruchomo na trawie. Ciszę mąciło jedynie dobiegające z wylotów dyszy potakiwanie przekaźników. Automaty dokonywały ostatniego przed startem przeglądu. Luta z pewnością tkwił już w swoim fotelu, przed głównym ekranem. Obok niego zajęte były jeszcze dwa miejsca. Kiedy my z Yiandenem wyjedziemy na górę, zrobi się ciasnawo. Ale nie tak jak w ładowni transera w czasie jego ostatniej podróży.

Stali jeden obok drugiego naprzeciw nas, nie dalej niż o pięć kroków. Jeśli mamy dotrzymać słowa, będą musieli odejść. I nie zatrzymywać się, zanim nie osiągną skalnej bramy, zamykającej dolinę.

Odwróciłem się i wkroczyłem na płytę windy.

– Chodź, Vian – mruknąłem. Oparłem się o poręcz i po raz ostatni przebiegłem wzrokiem okoliczne szczyty. Były piękne. Ale w gruncie rzeczy nic mnie do nich nie ciągnęło. Piękno, to jeszcze nie wszystko.

– No, chodźże – burknąłem zniecierpliwionym tonem.

Ani drgnął. Stał przede mną, odwrócony plecami i wpatrywał się w milczącą grupkę mieszkańców cichego miasta. Nie zwykłych mieszkańców. Pilnujących prawa. I zapewne współtworzących te prawa.

Usłyszałem pomruk. Głowa Yiandena zakołysała się powoli w prawo i w lewo, jakby się czemuś dziwił. Nie było w tym geście wzburzenia. Odczytałbym go raczej jako przejaw niedowierzania. Takiego, z jakim przyjmuje się coś bardzo dziwnego, co jednak zaistniało naprawdę.

Nagle drgnął. Ponownie usłyszałem jego głos. Z przeciągłego pomruku dało się wyłowić słowa: "byli grzeczni..."

Pochylił się do przodu i znieruchomiał. Sekunda...

dwie... trzy... Nie przynaglałem go już. Czekałem.

Z góry dobiegł krótki, metaliczny odgłos zakończony głuchym stuknięciem. Luta wciągnął anteny.

Ten dźwięk rozstrzygnął sprawę. Yianden pochylił się jeszcze odrobinę niżej, po czym skoczył do przodu. Dopadł stojącego najbliżej człowieka w łuskowatej bluzie, chwycił go oburącz za ramiona i odwrócił tyłem. Następnie bez pośpiechu, z rozwagą, jakby wykonywał precyzyjne zadanie, wymierzył mu soczystego kopniaka. Nie ulegało wątpliwości, że włożył w ten czyn całe serce i sporo siły.

Musiałem odwrócić głowę. Nie chciałem, żeby widział, jak się uśmiecham. Równocześnie przeszło mi przez myśl, że stało się to, dokładnie to, i tylko to, na co zasłużyli sobie mieszkańcy „cichego” miasta. Gdybym rok myślał, jak oddać im sprawiedliwość, nie wpadłbym na nic lepszego.

– Byli grzeczni... – usłyszałem tuż przy uchu szept Yiandena. Nie był nawet zdyszany. Po prostu zrobił swoje.

– Co, u licha – zamruczał Luta, po raz któryś z rzędu sprawdzivszy ustawienie łącz. Poszedł na spacer czy co...

Fros nie odpowiadała. „Rubin” został już dobre kilka kilometrów za nami. Niebawem znajdziemy się na niskiej przełęczy na skraju nadmorskiej równiny, gdzie spod samotnej skały po raz pierwszy ujrzeliśmy mieszkańców Alfy.

Ale czasy się zmieniły. Całą drogę odbieraliśmy pulsujący w regularnym, usypiającym rytmie sygnał namiarowy stacji. Nie było już mowy o ciszy radiowej, maskowaniu i wyłączaniu nasłuchu. Mieliśmy uczciwy, prosty lot, dobrze namierzonym korytarzem, pewny i niezbyt długi.

Nie ruszaliśmy transera. Jeśli będzie potrzebny, automaty przyślą go dokąd zechcemy. Pomieściliśmy się całą piątką w jednym łaziku. Gdyby nie butle tlenowe na plecach trudno byłoby nawet narzekać na ciasnotę. Ale to zaledwie minuty. Nie ma o czym mówić.

Fros milczał. Oczywiście, mogło wydarzyć się nieszczęście. Jednak jeszcze jeden zbieg okoliczności, jeszcze jeden dziwaczny wypadek, byłoby to o ten jeden wypadek za wiele. Wszystko ma swoje granice. Teoria prawdopodobieństwa.

– Polecisz? – mruknął nieoczekiwanie Luta, nie patrząc na żadnego z nas. W pierwszej chwili nie wiedziałem o co chodzi. Powoli odwrócił głowę i utkwiał we mnie pytające spojrzenie. Wtedy zrozumiałem.

– A jakże – zachnąłem się... – Cały czas do tego zmierzałeś...

– To dobrze – powiedział spokojnie. – To nie na moje lata, takie obijanie się po nocach na kiepskich drogach. Poczekam na was. Pogadam sobie... z naszymi. Myślę, że Yianden dotrzyma mi towarzystwa. Na jego miejscu nie kwapiłbym się tam z powrotem...

Vian nie odpowiedział. Zostanie, rzecz jasna. Nawet gdyby chciał lecieć, nie mogliśmy się na to zgodzić. Musi przejść kompleksowe badania, odpocząć...

A więc lecę z Frosem. Ten im da łupnia. Nie zadowoli się byle czym. Kto wie, może ożeni się i wyhoduje stadko ślicznych chłopczyków, którzy zamiast domagać się soole i oburzać, że ktoś nie ma liile, będą żyć wśród materii międzygwiazdnej jak my na wyspach Pacyfiku. Fros...

Cokolwiek robi, nie będziemy nadużywać ich gościnności. Są racje, dla których powinni przyjąć nas inaczej niż ich sąsiedzi. Ale nasze miejsce jest tutaj, na Drugiej.

Dziesięć lat to dużo, nie tak dużo jednak, żeby za wszelką cenę szukać towarzystwa. Może kiedyś...

Przełącz była tuż. Ostatnie zбочe, nieco bardziej ożywiony świergot silników i nagła cisza.

Na wybrzeżu panował ruch. Fros stał w małej dingy mniej więcej w połowie drogi między plażą a stacją i pomagał zakładać grubą, szklaną linę trzem ludziom zanurzonym w wodzie po okienka kasków. Czwarty, z gołą głową, siedział na brzegu i odpoczywał.

Fros ujrzał nas i uniósł rękę. Następnie puścił linę i manewrował chwilę przy swojej osobistej aparaturze. Wreszcie usłyszeliśmy jego głos.

– Jesteście? – zawołał. – Przepraszam, zagapiłem się. Przełączyłem ogniwa na zasilanie. Budujemy falochron. Te hodowle, wiecie... – urwał.

Zeskoczyłem z łazika i wolnym krokiem ruszyłem w stronę skalnej baszty. Minąłem ją i szedłem dalej. Przełącz zmieniała się stopniowo w grań. Niezbyt ostrą, ale stromą. Odszukałem palcami rączkę zaworu i zwiększyłem dopływ tlenu. Głęboko zaczerpnąłem powietrza. Wypatrzyłem przed sobą sterczący w stronę morza głaz, podszedłem i ułożyłem się na nim jak w fotelu.

Nade mną, na prawo, na lewo, wszędzie gdzie spoczął mój wzrok, widniały lądy i morza Drugiej. Planety, która obejmuje przybysza swoim płaszczem, jakby go zamykała w złożonych dłoniach. Planety posepnych barw, surowego fioletu. Błądziłem spojrzeniem po wąskiej, kamienistej plaży, oceanie, wspinającym się ku zenitowi, po pasmach górskich na przeciwległej, półkuli. I nagle, najzupełniej nieoczekiwanie dla samego siebie, odnalazłem w tym widoku piękno. Trochę dzikie, może ponure, ale wolne od fałszu i trafiające do każdego, kto opuścił

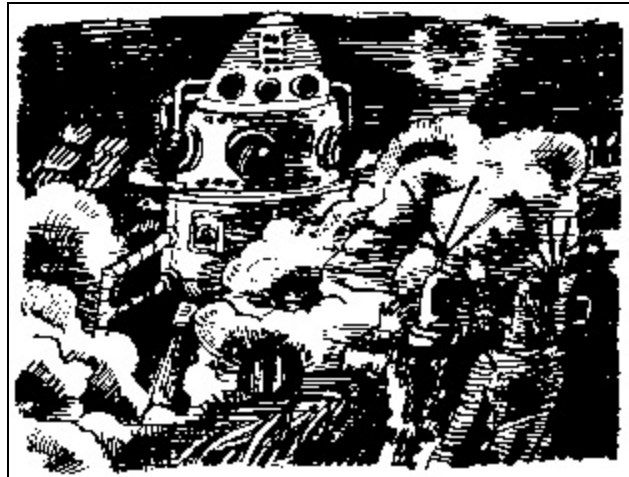
Ziemię, aby Jej służyć.

Wyprostowałem się, ręce oparłem na biodrach. Ktoś, kto by mnie obserwował, mógł pomyśleć, że przybieram pozę gospodarza. Nie czułem się gospodarzem. Ni stąd, ni zowąd zadźwięczały mi w uszach słowa Dariego wypowiedziane w kabinie stacji bezpośrednio po burzy. „Świadomie utrzymujemy się w obszarze ekstrapolacji, tyle że rozszerzyliśmy jego granice. Chcemy iść w określonym kierunku dlatego, że tak wynika z naszego wyboru, a nie z braku innych możliwości”...

Dary. Jemu chodzi o czas. Mnie? Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. W każdym razie o coś mi chodzi. Nieważne, że on, podobnie jak ja, przyszedł ze swoim wyborem na świat. On go potwierdził. Tym chociażby, że jest tutaj, że wkroczywszy w ten piękny i dziwaczny świat, przełamał bariery ograniczające myśl oraz poznanie pokoleń które wpisały się w jego kod genetyczny.

A ja? Jedno nie ulega wątpliwości. Jestem tu również. A poza tym pewne jest jeszcze, że nasze spotkanie nie było przypadkowe. Ani też ostatnie.

KONIEC



Po kliknięciu nastąpi przeskok do nagłówka

', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#00006C', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">

Po kliknięciu nastąpi przejście do części 8

', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#6C3800', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">

Po kliknięciu nastąpi przejście do początku, do części 1

', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#004800', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">